

MAGAZYN *razem z dodatkami*



Rozmowa z gen. bryg. Jarosławem Kraszewskim o zakupach broni

● Prof. Piotr Gliński: Musimy ujawniać całą prawdę o niemieckich zbrodniach każdego dnia...

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV

GŁOS DZIENNIK POMORZA POMORZA

Piątek
18.08.2023

Nr 191 (5043)
Nakład: 13.610 egz.

www.gp24.pl
Cena 4,90 zł (w tym 8% VAT)

Region.
Przyjechali
do legalnej pracy.
Zostali oszukani
str. 3

Słupsk.
W biały dzień
okradziono sklep
charytatywny
str. 4

Region.
Strażacy mierzą się
z bzyzącym
problemem **str. 4**

Nr ISSN 0137-9526

Nr indeksu 348-570



Maluchem objechał Bałtyk



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Wielka podróż małym fiatem. Młody koszalinianin zakochał się w modelu 126p **TYGODNIK REGIONÓW - STR. 16**

Z wizytą na Wyspach
Pan Krystian ze Słupska zwiedził
dziesiątki krajów i wielkich miast.
Wszystko na rowerze

TYGODNIK REGIONÓW - STR. 14-15



REKLAMA

0910861059

TOTALIZATOR SPORTOWY

EDYCJA

WYGRYWAMY ZACZYNA SIĘ OD WY

Mieszkańcy woj. zachodniopomorskiego grajcie w punktach LOTTO i na lotto.pl

- 300x karta podarunkowa 4F 500 zł
- 100x Garmin vivosmart® 5
- 25x koszulka 4F z autografami zawodników LOTTO 3x3 Team
- 25x koszulka 4F X RL9 z autografem Roberta Lewandowskiego
- 200x karta podarunkowa 4F 400 zł
- 25x piłka do koszykówki 3x3 Bounce
- 25x piłka Adidas Oceanuz Competition z autografem Roberta Lewandowskiego

Szczegóły i regulamin loterii promocyjnej na gramywygrywamy.pl. Okres sprzedaży produktów promocyjnych uprawniających do udziału w loterii trwa od 17 sierpnia do 16 września 2023 r.

Udział w loterii poprzez głosowanie na wybrany obiekt sportowy lub kulturalny możliwy jest od 17 sierpnia do 18 września 2023 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA

● Złot po latach. Wspomnienia już nie są piętnem

PONIEDZIAŁEK

● Sportowy24: Grała PKO Ekstraklasa - wyniki, opinie

WTOREK

● Strefa Biznesu: W świecie finansów z nami nie zginiesz

ŚRODA

● Strona Zdrowia: Stwardnienie zanikowe boczne

CZWARTEK

● Pod Paragrafem: Olejnik, morderca z ulicy Senackiej

PIĄTEK

● Puls i Tygodnik Regionów: Dziennikarstwo z górnej półki

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Najwięcej pracy mamy zawsze w weekend. To też czas, kiedy jest najwięcej utonięć

Grażyna Rakowicz
Rozmowa

Z Maciejem Banachowskim, ratownikiem WOPR.

To pytanie pada co roku, ale co roku można je zadawać, licząc, że coś się zmieniło... Jakże są najczęstsze przyczyny utonięć?

Niestety, ciągle na pierwszym miejscu lokuje się spożywanie alkoholu nad wodą. Po nim osoby nabierają jakiejś „supermocy”. I na przykład rzeka, która do tej pory wydawała się im nie do pokonania, teraz - pod wpływem promili - nagle się zwęża i staje się... strumykiem. Bezmyślnie decydują się na jej przepłynięcie i dochodzi do tragedii. Brawura też przesądza o tym, że zdarzają się wypadki nad wodą i utonięcia. Niektórzy uważają, że jeśli przez tyle lat pływali w tym jeziorze to i tym razem się im nic nie stanie... Dochodzi jeszcze brak umiejętności pływania. My wodniacy powtarzamy, że jeśli uczymy nasze dzieci jeździć na rowerze, to uczymy je też pływać. Mocno stawiamy na prewencję, czyli patrolowanie obszarów wodnych, bo tam, gdzie tych patroli jest dużo, to nie ma wypadków. Albo są mniej tragiczne w skutkach, bo obecni nad wodą ratownicy mogą szybko zareagować. Najwięcej utonięć jest w weekendy, dlatego też w tym czasie wspólnie z policją i ze strażą pożarną organizujemy jak najwięcej patroli.

Przed sezonem były obawy o obsadę kapielisk. Ratownicy wystarczą?

Mamy ratowników na etatach i posiłkujemy się ratownikami ochotnikami, więc jak na razie problemów z kadrą nie mamy. Staramy się, aby w jednym strzeżonym przez nas miejscu, służbę na wodzie pełnił co najmniej dwuosobowy zespół. Dyżury są 12-godzinne. Dodatkowo pracuje dla nas dyspozytor, który przez 24 godziny pod numerem 601 100 100 odbiera telefony alarmowe, również jako Wojewódzkie Centrum Koordynacji Ratownictwa Wodnego. Jeśli na ten numer zadzwonimy, zaraz przekieruje on rozmowę



Maciej Banachowski: - Mamy aplikację Ratunek. W naszym przypadku służy do lokalizacji zaginionych na wodzie. Każdy może ją ściągnąć do telefonu komórkowego

do tych jednostek, które są jak najbliżej zdarzenia. Mamy też aplikację Ratunek. W naszym przypadku służy do lokalizacji zaginionych na wodzie. Każdy może ją ściągnąć do telefonu komórkowego i to bezpłatnie. Po jej uruchomieniu, kiedy naciśniemy trzy razy odpowiednie miejsce na ekranie telefonu, to spowodujemy automatyczne wysłanie sygnału do dyspozytora WOPR. Pozwoli on zlokalizować z dokładnością do trzech metrów każdą zaginioną na wodzie osobę. A jeśli kontakt z zaginionym się urwie, to dyspozytor może wysłać koordynaty GPS również do policji, straży pożarnej czy do zespołu ratownictwa medycznego, który szybko do niego dotrze. W aplikacji można wypełnić książeczkę zdrowia. Jeżeli wzywający pomocy napisze w niej, że jest głuchoniemy, to dyspozytor będzie się z nim kontaktował za pomocą wiadomości tekstowych.

Co ratownikom najbardziej ułatwia codzienną pracę?

Oczywiście sprzęt, który wymieniamy cały czas na nowy, z czego bardzo się cieszymy. Nie mamy już łodzi motorowych ze starymi silnikami, które trudno było odpalić i na dodatek emitowały dużo spalin. Teraz są łodzie ratownicze kabinowe, które służą

także w najgorszych warunkach atmosferycznych. Są wyposażone m.in. w radar szerokopasmowy, który bardzo pomaga w akcjach ratowniczych podczas białego szkwału, kiedy nic na wodzie nie widać, czy w nocy. Do tego mamy całą elektronikę pomiaru głębokości. Dzięki niej omijamy mielizny bądź przeszkody ulokowane w wodzie. Mocno stawiamy na bezpieczeństwo i ochronę indywidualną ratownika, dlatego każdy ma do dyspozycji bardzo dobrą kamizelkę i suchy kombinizon. On chroni nas termicznie, gdy przedłuża się akcja poszukiwawcza w wodzie albo jest prowadzona zimą. Bardzo wspierają nas drony. Są wyposażone w kamerę termowizyjną, dzięki niej możemy poszukiwać osób zaginionych w terenie przez 24 godziny. Ale też możemy poprzez te drony przekazywać komunikaty głosowe, jeżeli okazało się, że na zaludnionej plaży zaginęło jakieś dziecko. Z kolei do patrolowania obszarów przywodnych wykorzystujemy quadry z przyczepką do ewakuacji osoby poszkodowanej. Nimi udajemy się tam, gdzie nie może dojechać zespół ratownictwa medycznego. Wtedy to my musimy taką osobę zabezpieczyć i jak najszybciej przekazać ratownikom. ©

KALENDARIUM

18 SIERPNI URODZILI SIĘ 1611

Ludwika Maria Gonzaga, księżniczka mantuańska, królowa polska, żona Władysława IV i Jana II Kazimierza, energiczna, czytana i ambitna. Sprowadziła do Polski trzy zakony: Księży Misjonarzy, Sióstr Miłosierdzia oraz Wizytek. Założyła w 1661 roku pierwszą polską gazetę - „Merkuriusz Polski”. Prowadziła też pierwszy salon literacki w Polsce.

1788

Jean Lugol, francuski lekarz, który opracował i udoskonalił metodę leczenia powiększenia tarczycy przy pomocy roztworu jodku potasu i samego jodu, zwanego od jego nazwiska płynem Lugola.

1933

Roman Polański, reżyser i producent filmowy. Za obraz „Nóż w wodzie” został nominowany do Oscara w 1962 roku, co otworzyło mu drzwi do międzynarodowej kariery reżyserskiej. Twórca filmów: „Wstręt”, „Matnia”, „Tess”, „Dziecko Rosemary” i „Dziwiate wrota”. Jego „Pianista” z 2002 roku otrzymał aż trzy statuetki Oscara - za najlepszą reżyserię, scenariusz adaptowany oraz rolę męską.

ZMARLI

1227

Czyngis Chan, twórca i władca imperium mongolskiego. Zjednoczył koczownicze ludy Azji Środkowej, podbił północne Chiny, uzależnił Syberię i spustoszył wschodnią Europę. Jeden z największych zdobywców w dziejach świata urodził się w 1155 (według źródeł muzułmańskich) lub w 1162 roku (według źródeł chińskich i mongolskich).

1976

Ksiądz Roman Kotlarz, kapelan robotników radomskiego Czerwca 1976 roku i działacz opozycji. Wzywany na przesłuchania, przechodził „ścieżki zdrowia”. Kilka razy w brutalny sposób został pobity do nieprzytomności przez „nieznanych sprawców”. 15 sierpnia 1976 roku odprawił w parafii w Pelagowie mszę świętą za zamordowanych i pobitych robotników. W jej trakcie zasłabł. Po trzydniowym pobycie w szpitalu zmarł.

ZDJĘCIE TYGODNIA



To wciąż jedna z ulubionych rozrywek. Piłkarski mecz. Na wielu boiskach w regionie rozkręca się już nowy sezon



Michał Elmerych

PRZESUNIĘTE ŚWIĘTA DZIELNYCH ŻOŁNIERZY

Zauważyliście Państwo, że nam się migracja świąt przydarzyła? Obchodzone przez lata Święto Odrodzenia przestało obowiązywać 22 lipca. I nasze niepodległościowe święto świętujemy w dżdżystym listopadzie. Za to Święto Ludowego Wojska Polskiego przewędrowało w ze słotnego października (wszak obchodzone było 12) wprost w sierpniowe słońce. Straciło też po drodze przymiotnik i nie jest już świętem ludowego wojska. Jest po prostu świętem najdzielniejszych żołnierzy świata. I nie przewiduję nad powyższym zdaniem żadnej dyskusji. Bo takich żołnierzy, jakich przez wieki miała Polska, żaden inny kraj nie miał. Udowodnili to pod Grunwaldem, Wiedniem, wąwozem Somosierry (to wówczas Napoleon Bonaparte powiedział: „Dla moich Polaków nie ma rzeczy niemożliwych”), Warszawą i w końcu pod Lenino. Zresztą oba święta polskich żołnierzy, które obchodziliśmy i obchodzimy, mają coś wspólnego z Sowietami. To sprzed trzech dni obchodzimy przecież na pamiątkę tego jak raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę pogoniliśmy ze wschodniego przedpola stolicy. A to październikowe było pamiątką niby pierwszego boju I dywizji im. Tadeusza Kościuszki pod Lenino. A tak naprawdę, to powinno być podziękowaniem Bogu, że ktoś w ogóle przeżył tę jatkę.

Dziś armia znowu zaczyna się rozwijać, jest dozbrajana, a mundur polskiego żołnierza znowu oznacza fachowca z fantazją - taką, jaką może mieć tylko potomek husarzy i ułanów. I tylko wciąż są tacy, którym się to nie podoba. I to wcale nie za granicą. ©

Nasz REGION

REGION

W nocy ze środy na czwartek doszło do śmiertelnego wypadku w okolicach Głuszynka (gm. Potęgowo). Kierowca samochodu ciężarowego najechał na 21-letniego mężczyznę leżącego na jezdni. Badanie alkomatem wykazało, że kierowca był trzeźwy. Ciało mężczyzny decyzją prokuratora zostało zabezpieczone do badań sekcyjnych. Po nich okaże się, czy mężczyzna był pod wpływem alkoholu lub innych środków. **LES**



FOT. GP24.PL

DYŻURNY GŁOSU

Wojciech Lesner,
tel. 510 026 924
Na naszych Czytelników czekamy w redakcji Głosu Pomorza w Słupsku przy ul. Henryka Pobożnego 19 oraz pod adresem: alarm@gk24.pl

Wszyscy pracowali na czarno i bez zezwoleń

Tomasz Tuczyń
Powiat sławieński

119 osób z Kolumbii, Wenezeli, Peru, Meksyku pracowało nielegalnie w jednej z firm w powiecie sławieńskim. Według Straży Granicznej zostali oszukani przez swojego pracodawcę.

Funkcjonariusze z Placówki Straży Granicznej w Kołobrzegu zakończyli kontrolę legalności zatrudnienia cudzoziemców w agencji pracy tymczasowej, weryfikując zatrudnienie 119 cudzoziemców. Działająca w województwie opolskim agencja pracy współpracowała z firmą z powiatu sławieńskiego. Według pograniczników cudzoziemcy byli zatrudnieni w branży produkcyjnej na stanowiskach pracownika produkcji.



FOT. MOSG

Funkcjonariuszki Straży Granicznej w trakcie kontroli dokumentacji dotyczącej zatrudnienia

- Funkcjonariusze objęli kontrolą 119 cudzoziemców - informuje komandor podpo-

ručnik SG Andrzej Juźwiak z Morskiego Oddziału Straży Granicznej w Gdańsku. -

W większości byli to obywatele Kolumbii. Wśród zatrudnionych znaleźli się również

obcokrajowcy z Peru, Wenezeli i Meksyku. We wszystkich przypadkach stwierdzono nielegalne powierzenie im pracy przez pracodawcę, który wprowadził cudzoziemców w błąd odnośnie legalności zatrudnienia. Utrzymywał ich w mylnym przekonaniu, że pracują legalnie. Ponadto we wszystkich przypadkach cudzoziemcy wykonywali pracę bez odpowiednich zezwoleń.

Juźwiak akcentuje, że za powyższe wykroczenia Straż Graniczna skieruje wobec pracodawcy - do Sądu Rejonowego w Sławnie - wnioski o ukaranie. Dodaje, że zgodnie z obowiązującymi przepisami za nielegalne wykonywanie pracy konsekwencje mogą ponieść również cudzoziemcy.

- Wniosek do sądu będzie z przepisów Ustawy o promo-

cji zatrudnienia i instytucji rynku pracy. W takim przypadku pracodawcy grozi grzywna do 30 tysięcy złotych - wylicza pogranicznik.

Zaznacza też, że MOSG szerzej sprawy nie komentuje z uwagi na jej dobro. Wiadomo jeszcze, że kontrola przeprowadzona przez pograniczników trwała od końca marca do końca lipca 2023 roku. Kontrolą objęte zostało zatrudnienie od 2022 roku i stąd też zostało zakwestionowane zatrudnienie 119 cudzoziemców.

- Uogólniając, obcokrajowcy mogli pracować określony czas i na tym się kończyło, ale później trafiały do firmy z powiatu sławieńskiego kolejne osoby z zagranicy, których legalność zatrudnienia kwestionujemy - mówi Juźwiak. ©©

MATERIAŁ INFORMACYJNY MINISTERSTWA CYFRYZACJI

0010884128



mObywatel 2.0 zrób to prościej

Najważniejsze dokumenty i usługi w jednej aplikacji

Nowoczesna aplikacja mObywatel 2.0 jest już dostępna do pobrania. Wśród innowacji, które ułatwią życie codzienne jej użytkownikom, są między innymi mDowód, Bezpieczny autobus czy Tymczasowe elektroniczne prawo jazdy.

Właśnie dzięki tym usługom można w Polsce szybciej załatwić sprawy urzędowe, zadbać o bezpieczeństwo najbliższych czy wsiąść za kółko od razu po zdanym egzaminie. mObywatel 2.0 - oficjalny projekt Ministerstwa Cyfryzacji - to cyfrowa możliwość korzystania z usług administracji publicznej, która pozwala nie tylko zaoszczędzić czas, ale także zrobić to prościej.



mDowód

Zdarza Ci się zapomnieć dowodu osobistego? To już przeszłość! mDowód masz zawsze przy sobie - w swoim smartfonie. Możesz bezpiecznie wylegitymować się nim prawie w każdej sytuacji: w urzędach, w przychodni, na poczcie czy zawierając umowy. Od 14 lipca mDowód działa niemal jak tradycyjny dowód osobisty!



Bezpieczny autobus

Szybko i wygodnie sprawdzisz stan autokaru, którym Ty lub Twoi bliscy wyruszacie w podróż. Wystarczy, że w aplikacji wpiszesz numer rejestracyjny, a otrzymasz informacje o badaniach technicznych oraz polisie OC.

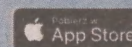
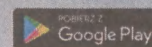
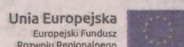


Tymczasowe elektroniczne prawo jazdy

Pozwala świeżo upieczonym kierowcom na jazdę samochodem bez czekania na plastikowy dokument. Wystarczy kilka kliknięć, aby go aktywować.



Aplikację mobilną mObywatel 2.0 pobierzesz bezpiecznie i bezpłatnie ze sklepu Google Play i App Store.



W biały dzień okradziono sklep charytatywny

Wojciech Lesner
Słupsk

Blisko pięć tysięcy złotych zabrali ze sobą złodzieje, którzy pod przykrywką zwykłych klientów okradli sklep charytatywny przy ulicy Wojska Polskiego. Fundacja Przystań prosi o pomoc w poszukiwaniu sprawców. Pieniądze z utargów przeznaczane są na rzecz osób niepełnosprawnych.

Do zdarzenia doszło w środę, 16 sierpnia, późnym popołudniem, kiedy sklep był jeszcze otwarty. Najpierw do środka weszła kobieta. Chwilę później zjawił się mężczyzna. Poprosił ekspedientkę, aby ta pokazała mu skórzaną kurtkę, która znajdowała się na tyłach sklepu.

Było tuż przed siedemnastą, dochodziła więc godzina zamknięcia placówki. Wcześniej pracownica sklepu schowała do torebki leżącą pod ladą dwutygodniowy utarg - ponad pięć tysięcy złotych. Pieniądze miały zostać wpłacone do wpłatamatu.

Ekspedientka szybko obsłużyła klienta i wróciła na przód sklepu. Zauważyła, że jej torebka już inaczej stoi i wystaje z niej portfel - wcześniej wszystko było zamknięte. Kobieta, która weszła do sklepu przed mężczyzną, prawdopodobnie zaobserwowała, gdzie chowane są pieniądze, bo wcześniej stała chwilę przed witryną i się przyglądała - relacjonuje Jolanta Książek z Fundacji Przystań.

Fałszywa klientka zabrała pieniądze i opuściła sklep. Zaraz za nią, szybkim krokiem wyszedł mężczyzna, który chwilę wcześniej odwrócił uwagę ekspedientki.

Nasza sklepowa szybko się zorientowała, że pieniądze zniknęły. Wybiegła ze sklepu

i widziała, jak mężczyzna się oddala. Zaczęła krzyczeć, że to złodziej i ją okradł. Interweniował jakiś młody przechodzień - opowiada Jolanta Książek.

Nie wiadomo co dokładnie stało się później - ekspedientka musiała wrócić do sklepu, bo wszedł kolejny klient. Złodziejom udało się uciec. Na miejscu szybko pojawiła się policja.

Policjanci dokładnie sprawdzili rejon sklepu, a także pobliskie ulice. Mundurowi wykonali oględziny, sporządzili dokumentację fotograficzną i zabezpieczyli ślady. Na ich podstawie policjanci będą ustalać dokładne okoliczności oraz sprawców tego przestępstwa - spradaje Jakub Bagiński, oficer prasowy Komendy Miejskiej Policji w Słupsku.

W sklepie charytatywnym nie ma monitoringu, ale Fundacja Przystań liczy, że sprawców uchwyciły kamery miejskiego monitoringu zlokalizowane wzdłuż ulicy Wojska Polskiego.

Na szczęście nasza ekspedientka dobrze zapamiętała sprawców kradzieży i skrupulatnie ich opisała - mówi Książek.

Mężczyzna był niski (około 165 cm), otyły, łysy, ubrany w koszulkę polo w różowym kolorze. Kobieta była podobnego wzrostu, miała włosy w kolorze blond, a charakterystycznym elementem jej ubioru były beżowe sandały z kokardami. Oboje byli w wieku około 50 lat.

Fundacja Przystań prosi o pomoc w odnalezieniu sprawców i liczy, że pieniądze uda się odzyskać. Dochód ze sprzedaży ubrań, galanterii, czy innych przedmiotów przeznaczony jest bowiem na rzecz podopiecznych Fundacji - osób z niepełnosprawnościami, które również zaangażowane są w prowadzenie sklepu. ©©

Strażacy muszą się mierzyć z bzycającym problemem

Sylvia Lis
Region

Nie ma chyba dnia, podczas którego strażacy nie otrzymaliby wezwania do usunięcia gniazd os, pszczoł i szerszeni, które zagnieździły się w pobliżu domostw.

O pomoc możemy prosić tylko w wyjątkowych sytuacjach. Takimi są tylko te, które, gdy owady zagrażają zdrowiu i życiu ludzi.

Niestety, wzywaniem nas na pomoc w takich przypadkach bywa częstokroć przez mieszkańców nadużywane - mówią strażacy. - Owady trudno jest w sposób kontrolowany ograniczyć. Charakterystyczny słodki zapach, owoce, czekoladki, jedzenie potrafią szybko skusić pojedyncze sztuki. Nie są to natomiast przypadki wymagające natychmiastowych interwencji. Ważniejsze jest zapobieganie przed przypadkowym użądleniem oraz prowokowaniem owadów do pojawiania się w naszym obejściu.



Przed usunięciem gniazda owadów strażacy ubierają specjalne kombinezony chroniące przed ukąszeniami

Jednym z przykładów bezzasadnych wezwań straży pożarnej są zgłoszenia o latających owadach na działkach w pobliżu drzew lub na terenach zalesionych poza obszarami zamieszkania. Tymczasem są to naturalne miejsca pobytu tych owadów.

Takich zgłoszeń już w tym roku mieliśmy bardzo dużo - potwierdza - Tomasz Malek, komendant gminy Ochotniczej Straży Pożarnej w Czarnej Dąbrówce. I dodaje, że strażacy interweniują tylko wtedy, gdy zagrożone jest życie i zdrowie ludzi. - A gniazda znajdują się

na przykład w domu - mówi komendant.

Gniazda os lub szerszeni odkryte poza miejscami stale zamieszkanymi przez ludzi (altany, tereny zalesione poza obszarami zamieszkania), nie kwalifikują się do usunięcia, jako bezpośrednio zagrażające życiu.

Strażacy radzą, aby nie pozostawiać odkrytych owoców, butelek ze słodkimi napojami, resztek jedzenia. Warto też unikać wzorzystych, jaskrawych ubrań.

Aby pozbyć się niepożądanych owadów właściciele posesji powinni prowadzić działania prewencyjne. Łatwiej bowiem jest zapobiegać niż walczyć z już założoną kolonią szerszeni czy os - mówią strażacy. - Aby zniechęcić osy do zakładania kolonii, należy wiosną przegłądać szopy, altanki, poddasza budynków mieszkalnych i usuwać z nich zauważone zaczątki gniazd. Wszystkie otwory w budynku, którymi osy mogą przedostać się do środka (także otwierane okna), warto zabezpieczyć siatkami. ©©

FOT. SYLVIA LIS

W kaszubskich lasach jest wysyp borowików

Sylvia Lis
Region

Wyjątkowo wcześnie, bo w połowie sierpnia nastąpił wysyp borowików na Kaszubach. Warto ruszyć do lasu, pogoda sprzyja.

Każdy, kto lubi grzyby właśnie teraz powinien wybrać się do lasu. Sezon rozkręcił się na dobre. Warto więc wybrać się na przyjemny spacer po lesie, by przynieść do domu pachnące zbiory.

Aby jednak grzyby wyszły nam na zdrowie, trzeba pamiętać o kilku ważnych zasadach. Do koszyków zbieramy tylko te grzyby, co do których mamy pewność, że są jadalne. Nie zbieramy zbyt młodych okazów, bo te trudno odróżnić i jeszcze nie widać cech charakterystycznych dla danego gatunku.

Co zrobić, gdy nie mamy pewności, czy dany grzyb jest jadalny? Można udać się do miejscowej stacji sanitarno-epidemiologicznej. Tu pracow-

nicy powinni pomóc w klasyfikacji grzybów. Na przykład w Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Bytowie można bezpłatnie sprawdzić czy dany grzyb jest jadalny. W placówce pracuje trzech klasyfikatorów grzybów, którzy posiadają uprawnienia do oceny wyłącznie grzybów świeżych. Klasyfikacja grzybów odbywa się w godz. 7.25-15 od poniedziałku do piątku.

Wiele osób uważa, że robaczywe grzyby nadają się do suszenia. To błąd.

Grzyby robaczywe nie nadają się do spożycia, nawet po obróbce termicznej - wyjaśnia pracownica bytowskiego sanepidu. - Pod wpływem wysokiej temperatury „robaki” opuszczają grzyb, natomiast pozostawiają w nim swoje szkodliwe dla zdrowia odchody.

Tak więc grzybów robaczywych nie zabieramy do domu, zostawiamy w lesie, aby grzybobranie nie zaszkodziło naszemu zdrowiu. ©©

0010886656

Panu
Krzysztofowi Młynarczykowi
Prokuratorowi Okręgowemu w Słupsku

wyrazy współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają
prokuratorzy i pracownicy
prokuratur
okręgu słupskiego

0010886149

Wyrazy głębokiego współczucia
Rodzinie

z powodu śmierci naszego pracownika

Wojciecha Lemieszka

składają

Zarząd i Pracownicy firmy Scania Production S.A. w Słupsku

0010885904

Pani Zdzisławie Lemieszek
wyrazy szczerego żalu i współczucia z powodu śmierci

Syna

składają

Zarząd i Pracownicy Usteckiego Towarzystwa
Budownictwa Społecznego Sp. z o.o. w Ustce

Nekrologi

zamówisz tutaj:

Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, 59 848 81 03
Szczecin, ul. Nowy Rynek 3, 91 481 33 67
Koszalin, ul. Mickiewicza 24, 94 347 35 11
Szczecinek, ul. Plac Wolności 6, 94 374 23 89

reklama.słupsk@polskapress.pl

Zawsze na służbie. Czuwają i ratują

Piotr Jasina
Pomorze

Nad bezpieczeństwem polskiego wybrzeża, Zalewu Szczecińskiego i Zalewu Wiślanego non stop czuwa 71 ratowników Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa SAR. - Kwadrans, tyle czasu mają, by ruszyć do akcji po wezwaniu pomocy - podkreśla Sebastian Kluska, szef organizacji.

Całodobowy monitoring prowadzi Centrum Koordynacyjne w Gdyni i pomocnicze w Świnoujściu. Ratownicy są rozlokowani w kilkunastu bazach.

- Część morską stanowi grupa 180 marynarzy zatrudnionych na naszych 13 statkach ratowniczych. Służby lądowe to inspektorzy morskich centrów koordynacji ratownictwa, pracownicy brzegowych stacji ratowniczych (46 osób) oraz cały pion administracyjny, niezbędny do obsługi organizacji - wyjaśnia Sebastian Kluska, dyrektor Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa. - To 400 osób, z których 100 to ochotnicy.

Bazy ratownicze SAR (z jęz. ang. Search and Rescue, czyli szukać i ratować) rozlokowane są wzdłuż całego polskiego wybrzeża. Pierwsza stacja ratownicza od granicy z Niemcami znajduje się w Trzebieży (Zalew Szczeciński), ostatnia - na granicy z Federacją Rosyjską - ulokowana jest w Tolkmicku nad Zalewem Wiślanym. Pozostałe znajdują się w miejscowościach nadmorskich. Każdego dnia służbę pełni 71 ratowników.

W stałej gotowości

Jedną ze zintegrowanych baz jest Cyklon w Dziwnowie. Załoga Cyklonu to obecnie sześciu zawodowych ratowników drużyny brzegowej.

- W Dziwnowie jestem na dwutygodniowej zmianie - mówi kpt. Andrzej Figiel, dowodzący Cyklonem. Jest z Gdańska, a w SAR od 1997 roku. - Służbę pełniemy na całym wybrzeżu, miejsca się zmieniają. Jednostka w tej chwili nadzoruje obszar od latarni w Świnoujściu do Mrzeżyna.

Są w stałej gotowości. Turyści, żeglarze nie dają zapomnieć o sobie, zwłaszcza w sezonie letnim.

- W okolicy Międzywodzia pomocy wymagała załoga jachtu - wspomina kapitan zdarzenie sprzed kilku dni. - Wypłynęli w trudnych warunkach pogodowych, mieli awarię silnika. Na pokładzie było dziesięć osób. Trzeba było podjąć ludzi na naszą jednostkę, a jacht zaholować do mariny.

- Ludzie bywają nierozważni, przeceniają swoje możliwości, nie znają dobrze jednostek - kontynuuje kapitan Cyklonu. - Rybacy żyjący z morza też niekiedy nie doceniają siły żywiołu. Miałem już do czynienia z zatonięciami kutrów i śmiercią załóg - wspomina. - To ciężka praca i nie zawsze jesteśmy w stanie zapobiec tragediom. Ale każde uratowane życie to największa satysfakcja, nadająca sens naszej służbie.

Służba w każdych warunkach

W strukturze organizacji funkcjonują zintegrowane bazy z załogą statku ratowniczego - taka właśnie jest w Dziwnowie - oraz brzegowe stacje, w których działają ochotnicze drużyny ratownicze. Służba jest całodobowa.

- W każdych warunkach, jakie zafunduje nam natura, podejmujemy akcje, by ratować ludzi - podkreśla Kluska. - Jednostki morskich stacji ratowniczych nie mają ograniczeń co do zasięgu, łodzie baz brzegowych działają do sześciu mil od brzegu. W ubiegłym roku podjęliśmy ponad 350 akcji ratowniczych. Udało się uratować życie 89 osobom. W tym roku w połowie sezonu odnotowaliśmy już 264 akcje.

Dyrektor podkreśla bardzo duże zaangażowania lokalnych mieszkańców.

- Zawsze tak było - dodaje. - To bowiem rybacy, marynarze jako pierwsi zaczęli się organizować, by w razie potrzeby nieść pomoc swoim współbraciom po fachu. To oni dali początek naszej organizacji w obecnym kształcie i dziś stanowią trzon naszych drużyn.

By wstąpić w szeregi brzegowej ochotniczej drużyny ratowniczej, oprócz sprawności fizycznej potrzebny jest patent sternika motorowodnego, czy prawo jazdy kategorii B, C, E. Na statkach służb ratowniczych pływają już wyłącznie osoby, które wypełniają wymogi zawodu marynarza.

Szef SAR nie ukrywa, że przydałoby się w szeregach służb znacznie więcej ratowników medycznych. - Wykwalifikowany personel medyczny na pokładzie to możliwość udzielania bardziej zaawansowanej pomocy, mówiąc wprost to gwarancja większej przeżywalności ludzi w stanie zagrożenia życia - wyjaśnia. - Często godzinę, dwie potrzebujemy, by dotrzeć do lądu z osobami potrzebującymi pomocy... Niestety, MSPIR to jednostka budżetowa i funkcjonuje w określonych ramach płacowych. A trudno konkurować z jednostkami służby zdrowia i przycią-



FOT. POLSKA MORSKA

Sebastian Kluska, dyrektor Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa SAR mówi: - W ubiegłym roku udało się uratować życie 89 osobom (na zdjęciu ratownicy z Dziwnowa)

gnąć do siebie ratowników medycznych bez atrakcyjnych wynagrodzeń.

- Tym bardziej, że to nie jest praca w karetkie, na lądzie. Warunki na morzu, sztormy itd., są często skrajnie trudne - zaznacza Kluska. Dyrektor liczy na to, że rozwiązaniem problemu będzie pomysł fachowców Komendy Wojewódzkiej Państwowej Straży Pożarnej w Szczecinie - rozszerzenia kompetencji medycznych ratowników SAR czy PSP. - Trwają już rozmowy międzyresortowe w tej sprawie - dodaje.

Kluska przypomina, że w Morskim Ratowniczym Centrum Koordynacyjnym w Gdyni oraz w pomocniczym w Świnoujściu prowadzony jest 24-godzinny nasłuch na kanale ratowniczym 16. Do komunikacji służy także kanał 11.

- Jednostki nieposiadające radia, znajdujące się bliżej brzegu, mogą kontaktować się telefonicznie, korzystając np. z nr do centrum koordynacyjnego 50 50 971 - dodaje dyrektor Kluska. - Za pomocą nr 112 informacja także dotrze do naszych służb. Sygnał za pomocą środków pirotechnicznych - wystrzelenie trzech czerwonych rakiet - też zostanie odebrany przez ratowników SAR i nasze drużyny ruszą na ratunek.

Studia przypadków, czyli: Kuter na... dziobie kontenerowca

Wczesnym rankiem rybacy 12-metrowego kutra z Dziwnowa wybierali flandrę z sieci kilkanaście mil od brzegu. Nagle wyrósł przed nimi 160-metrowy kontenerowiec Nordic Italia. Staranował jednostkę. Kuter z rybakami zawieszony na dziobowej gruszcze pchany był przez ponad godzinę z prędkością 17 węzłów.

- Sygnał dotarł do centrum koordynacyjnego SAR po godzinie - wspomina wydarzenie sprzed roku nasz rozmówca. - Kontenerowiec, uderzając w kuter, zniszczył antenę na nim, rybacy nie mogli wezwać pomocy.

Wystrzelili w kierunku sterówki kontenerowca, bezskutecznie. Dodzwonili się, dopiero gdy znaleźli się w zasięgu sieci komórkowej. Na pomoc ruszyły jednostki z Dziwnowa i Kołobrzegu. Rybacy w wyniku uderzenia doznali licznych złamań. Konieczna była natychmiastowa ewakuacja. Jednego z rannych zabrał śmigłowiec. Wszyscy przeżyli. Zabezpieczono kuter przed zatonięciem z bakiem pełnym paliwa.

Jak wykazało śledztwo, oficer wachtowy kontenerowca przysnął, nie zauważył staranowanego kutra, z który na dziobie płynął ponad godzinę!

Ludzie za burta

Na kanale 16 nadano komunikat: „Kobieta z dzieckiem za burta”. Centrum Koordynacyjne SAR w Gdyni skierowało do akcji m.in. załogę ratowniczą śmigłowca swoich służb. Okazało się, że do zdarzenia doszło na jednym z promów Stena-Line. Ratownicy podjęli z wody dwie osoby, kobietę i dziecko transportując je do szpitala.

- Mimo reanimacji nie udało się uratować kobiety, a dziecko już w momencie podjęcia z wody nie wykazywało żadnych oznak życia - mówi Kluska. Dodaje, że w wyniku wstępnych ustaleń zdarzenie zakwalifikowano jako zbrojstwo rozszerzone. Matka wrzuciła martwego syna z promu i sama skończyła do morza.

W tym dramatycznym zdarzeniu ratownicy nie mogli wiele zrobić.

- Chciałbym podkreślić jednak fakt, że po sygnale na kanale 16 o kobiecie i dziecku za burta,

na pomoc ruszyły trzy inne śmigłowce i jednostki pływające szwedzkich, fińskich czy niemieckich służb ratowniczych. Taka solidarność w trudnych momentach jest naprawdę budująca.

Kąpiel na niestrzeżonym

Mężczyzna zniknął pod wodą na niestrzeżonym kąpielisku w miejscowości Karwia. Na ratunek ruszyli ratownicy bazy we Władysławowie, na pontonie od strony wody i samochodem od strony lądu. Udało się szybko odnaleźć tonącego i przywrócić mu czynności życiowe. Śmigłowiec zabrał go do szpitala.

- To przykład z początku miesiąca, ale podobnych zdarzeń odnotowujemy bardzo wiele - przyznaje dyrektor SAR. - Możemy jedynie ponawiać apele. Kąpmy się na plażach strzeżonych. Nie lekceważmy czerwonej flagi, bo to sygnał, że jest niebezpiecznie. Bądźmy rozsądni i odpowiedzialni, a wrócimy z urlopów wypoczęci i zrelaksowani, bez tragicznych doświadczeń. ©©

ŹRÓDŁO: POLSKA MORSKA

PARTNEREM CYKLU JEST ORLEN

051080318

Bartosz Zmarzlik wygrywa Grand Prix Łotwy

Dziewiąte w historii żużlowe Grand Prix Łotwy zakończyło się wspaniałym triumfem Bartosza Zmarzlika. Dzięki kolejnemu sukcesowi zawodnik ORLEN Team powiększył swoją przewagę w klasyfikacji mistrzostw świata i jest coraz bliżej zdobycia czwartego tytułu.



Siódma runda żużlowych mistrzostw świata rozegrana została w Rydze, stolicy Łotwy, która po raz pierwszy znalazła się w kalendarzu Speedway Grand Prix. Zmarzlik rozpoczął swój udział w zawodach od czwartego biegu, w którym po fantastycznym pojedynku z Fredrikiem Lindgrenem dojechał do mety na pierwszym miejscu. W szóstym biegu Polak był drugi, a w wyścigu nr 11 na nierównym torze motocykl Zmarzlika zarzuciło, powodując upadek Macieja Janowskiego. Zgodnie z regulaminem obrońcą tytułu wykluczono z powtórki wyścigu. Natomiast bieg dwudziesty Zmarzlik ukończył tuż za Jasonem Doyle'm, co zapewniło mu awans do półfinału.

Od tego momentu wydawało się jakby trzykrotny mistrz

Woffinden ruszył z miejsca zanim jeszcze taśma startowa poszła w górę. Sędziowie wykluczyli Brytyjczyka i w drugiej powtórce finału rywalizowało już tylko trzech zawodników. Po starcie szybszy był Lindgren, ale na drugim okrążeniu Zmarzlik wyprzedził szwedzkiego rywala i do mety już tylko powiększał nad nim przewagę. Jako trzeci finiszował Vaculik.

- Gdy zobaczyłem flagę na mecie wyścigu finałowego, przypomniałem sobie, że wygrałem 22 Grand Prix na żużlu - tyle samo co mój idol i mentor Tomek Gollob. Bardzo się z tego cieszę - podsumował swój start Bartosz Zmarzlik.



Do finałowego biegu Zmarzlik wybrał drugie pole startowe, ale niedługo po rozpoczęciu wyścigu przerwano z powodu upadku Lindgrenna. Do powtórki dopuszczono wszystkich czterech żużlowców, ale wyścig znów został przerwany, bo

Ignorancja w imię pojednania

Gdańsk nigdy nie był niemieckim miastem. Był okupowany przez Krzyżaków, Prusaków czy niemiecką III Rzeszę, ale zawsze był polski. W ostatnim czasie pojawiają się jednak proniemieckie akcenty i wydarzenia w mieście, które kończą się skandalami. Dlaczego tak się dzieje?

Maciej Naskręt

Obserwując działalność władz Gdańska, posłów i senatorów identyfikujących się z obozem liberalnym, można odnieść wrażenie, że jednym z najważniejszych celów politycznych samorządowców (oprócz utrzymania władzy) jest przekazywanie wartości polsko-niemieckiego pojednania. Jak zgubna jest to polityka, wspomniani politycy przekonali się wielokrotnie.

Sygnal, że takie podejście to pole minowe dla polityków, przyszedł w 2006 r. Wówczas noblista Günter Grass w liście przesłanym do Pawła Adamowicza tłumaczył m.in., jak trafił do Waffen-SS w Gdańsku.

W sali Ratusza Głównego Miasta list odczytał aktor Jerzy Kisz-

kis. Słów noblisty słuchali przedstawiciele różnych środowisk.

Lech Wałęsa, który zapowiedział zrzeczenie się tytułu Honorowego Obywatela Gdańska z powodu ujawnionych faktów o nobliście podkreślił, że ma satysfakcję z listu, mimo że nie pada w nim słowo „przepraszam”. Stwierdził, że jego zdaniem Grass „rzeczywiście zrobił spowiedź, a nie reklamę książki”.

- Sprawa jest zakończona. Teraz możemy dalej pracować dla dobrej stosunków polsko-niemieckich - spuentował Wałęsa.

Do dzisiaj padają zarzuty, że Polak z Wolnego Miasta Gdańska, pisarz Brunon Zwarra nie doczekał się swojej ławeczki. Tymczasem Günter Grass ma swoją galerię i ławeczkę we Wrzeszczu i władzom nie przeszkadza jego przeszłość.

Polityka współpracy z Niemcami była prowadzona w kolejnych latach. Dowód? Gdańsk jest miastem partnerskim Bremy nad Wezerą. Paweł Adamowicz wraz z gdańską delegacją odwiedził w 2016 roku, z okazji 40-lecia współpracy, to niemieckie miasto. Podczas wystąpienia w bremskim ratuszu prezydent Gdańska mówił, że na gdańsz-

czanach i bremeńczykach spoczywa obowiązek pilnowania demokracji, tolerancji i otwartości.

- Tak, jak pokój w Europie ma fundament w postaci trwałego sojuszu niemiecko-francuskiego, tak drugim filarem, fundamentem pokoju w Europie jest sojusz polsko-niemiecki - mówił Adamowicz w 2016 r. Słowa przeszły bez większego echa, ale pokazują one podejście do kwestii niemieckiej w Gdańsku.

„Na początku było słowo, złe słowo”

Jednak najwięcej wpadek z niemieckimi akcentami pojawiło się w 2019 r. Mocnym wystąpieniem 8 maja 2019 r. zasłynął zastępca prezydent Gdańska, Piotr Grzelak.

- Jesteśmy nieopodal Poczty Gdańskiej [prawidłowo: Poczty Polskiej - przyp. red.] i warto przypomnieć tutaj, przywołać historię pierwszej ofiary-dziecka II wojny światowej, Erwiny Barzychowskiej, 11-letniej wychowanki dozorky, który tą Poczta Polską w Gdańsku się opiekował - mówił Grzelak.

Jak jednak zwraca uwagę Radio Gdańsk, przywołana przez



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Günter Grass doczekał się ławeczki we Wrzeszczu. Na podobne uhonorowanie polskiego pisarza Brunona Zwarry wciąż prowadzona jest oddolna zbiórka publiczna

zastępcę Aleksandry Dulciewicz Erwina Barzychowska została żywcem oblana benzyną i podpalona przez Niemców z zemsty za bohaterską obronę Poczty Polskiej. Stało się to, gdy próbowała uciec z obłożonego gmachu. Dziewczynka zmarła po 7 tygodniach męczarni. Do tragicznej historii małej Polki wiceprezydent Gdańska porównał postać anonimowej niemieckiej

dziewczynki, która podczas alianckich nalotów na Berlin zносиła do schronu swój domek dla lalek. Zabawka jest teraz eksponatem w gdańskim Muzeum II Wojny Światowej.

Już po uroczystościach Piotr Grzelak przeprosił. Jak zapewnił, nie miał zamiaru relatywizować niemieckich zbrodni.

- W żadnym wypadku nikt nie podważa tego, kto jest odpowie-

dzialny za II wojnę światową, że jest to III Rzesza i w drugiej części Związek Radziecki. Natomiast mówię o tym, że dzisiaj jesteśmy odpowiedzialni za to, żeby Europa pozostała zjednoczona, żeby ta tragedia już się nie powtórzyła - Radio Gdańsk cytuje polityka.

Radosne tańce

W sierpniu 2019 r. na gdańskim portalu miejskim poinformowano o „planie wydarzeń, organizowanych przez władze Gdańska z okazji 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. O godz. 4.45 na Westerplatte ma pojawić się polsko-niemiecka delegacja”.

Zaplanowano też „radosny pochód” oraz „tańce i wspólne świętowanie”. Do Gdańska miało przyjechać ponad 200 obywateli RFN, którzy chcą zademonstrować poczucie odpowiedzialności za trudną historię ich ojców i dziadków - sprawców krzywd II wojny światowej - informuje miejski portal.

W ramach wydarzeń zaplanowanych na 1 września o godz. 4.45 na Westerplatte miała pojawić się polsko-niemiecka delegacja. Ponadto na godz. 15 tego dnia zaplanowano „marsz życia”, czyli „radosny pochód”, który rozpocznie

REKLAMA

0010873635

URZĄDZENIA CZYSZCZĄCE SERWIS I SPRZEDAŻ

Nilfisk

KÄRCHER



PROFESJONALNA OBSŁUGA Z WIELOLETNIM DOŚWIADCZENIEM

Zapraszamy do Autoryzowanego Serwisu Punktu Sprzedaży firmy Nilfisk oraz serwisu i Punktu Sprzedaży Firmy Karcher.

76-200 Słupsk, ul. Przemysłowa 34

tel. 602 442 117

e-mail: mariusz-zawacki@wp.pl

www.jmk-serwis.pl



AUTOMATYCZNA PRALNIA DYWANÓW

- TRZEPANIE MECHANICZNE
- PRANIE AUTOMATYCZNE
- PŁUKANIE
- WIROWANIE
- SUSZENIE
- OZONOWANIE
- TRANSPORT OD / DO KLIENTA

**PUNKT PRZYJĘĆ:
SŁUPSK**

**UL. PRZEMYSŁOWA 34
(SERWIS KÄRCHER)**

☎ 504 710 352

☎ 602 442 117

www.pralniadywanow-slupsk.pl

się nieopodal Teatru Szekspirowskiego. Stamtąd uczestnicy marszu przejdą przed Zieloną Bramę, gdzie „zaplanowano koncert, tańce i wspólne świętowanie”.

„Boże, teraz jest gorzej niż za komuny!”

W publicznym programie pierwszym niemieckiego radia puszczono reportaż pod tytułem „Tramwaj o nazwie Danzig. Kampania PiS przeciwko Gdańskowi”. Jego autorzy porozmawiali między innymi z Dulkiem - a ta w jego trakcie wygłosiła wiele skandalicznych słów.

„Tworzona jest alternatywna historia Polski, która ma pokazać, że wszystko, co nie zostało stworzone przez Prawo i Sprawiedliwość, jest nieprawdziwe albo pokazuje nieprawdziwą historię, albo inaczej rozkłada akcenty” - stwierdziła Dulkiem. Oskarżyła rząd PiS o to, że „przepycha przemocą ustawy” i nie szanuje praw człowieka. „Moja mama płacze i mówi: Boże, teraz jest gorzej niż za komuny!” - dodała.

Wiele osób odebrało słowa prezydent Gdańska jako kalandr własnego gniazda.

Aleksandra Dulkiem opublikowała też na Twitterze wpis o „pokojoyej rewolucji”. Rozpoczęła się ona w Lipsku w 1989 roku, doprowadzając ostatecznie do upadku Muru Berlińskiego. Prezydent Gdańska opublikowała ten sam wpis w języku polskim i niemieckim. Po-

pełniła w nich jednak poważny błąd.

„30. rocznica pokojowej rewolucji w Lipsku, Gdańsk specjalnym gościem. Jestem szczęśliwa, że dzisiaj, kiedy nie dzieli nas żelazna kurtyna, gdy jesteśmy wolni i zjednoczeni we wspólnocie europejskiej, z dumą możemy powiedzieć o sobie: ich bin eine Europäerin, ich bin ein Europäer!” - napisała Aleksandra Dulkiem.

Problem w tym, że Lipsk nigdy nie był odgradzony od Polski żelazną kurtyną...

Danke für alles

W Gdańsku, w siedzibie miejskiego portalu Gdansk.pl, Donald Tusk nagrał też głośne podziękowania dla Niemców w języku niemieckim. Tusk podziękował CDU za postawę w czasie pandemii koronawirusa. Z tego nagrania pochodzi sformułowanie „danke für alles”. Dotyczy ono fragmentu, gdy polityk określa rządy CDU „błogosławieństwem”.

- Nie tylko dla Niemiec, ale dla całej Europy - powiedział były premier.

Heidi, heido, heida

Kilka dni temu portal Gdańsk Strefa Prestiżu w mediach społecznościowych opublikował nagranie, na którym niemiecka delegacja z Frankonii na Jarmarku św. Dominika śpiewa kojarzącą się nad Wisłą z Wehrmachtem i jego zbrodniami piosenkę. Utwór od-

śpiewano w samym sercu Gdańska - w Parku Świętopełka.

Utwór „Ein Heller und ein Batzen”, znany też jako „Heili, Hailo”, to niemiecka pieśń ludowa z 1830 roku. Później stała się popularną pieśnią marszową. Ubolewanie wyrazili organizatorzy Jarmarku św. Dominika, czyli spółka miejska Międzynarodowe Targi Gdańskie.

„Piosenkę wykonywał zespół ludowy, który przyjechał z oficjalną delegacją Środkowej Frankonii i promował tradycyjne produkty na Jarmarku św. Dominika. Zespół wykonywał ją w oryginalnej, ludowej wersji

w oświadczeniu w mediach społecznościowych.

Aleksandra Dulkiem nie skomentowała całej sprawy. Są naziści, są hitlerowcy, jest III Rzesza. Nie ma Niemców.

To, co jeszcze uderza, to treści przygotowywane we wszelkiego rodzaju mediach, w komunikatach, we wpisach, postach, komentarzach władz Gdańska i polityków identyfikujących się z obozem liberalnym, to fakt, że o zbrodniach poczynionych przez sąsiadów z Zachodu na Polakach, nie mówi i nie pisze się wprost.

Używa się określeń: „naziści”, „hitlerowcy” lub „obywatele III

UŻYWA SIĘ OKREŚLEŃ: „NAZIŚCI”, „HITLEROWCY” LUB „OBYWATELE III RZESZY”. TYMCZASEM POWINNO SIĘ PISAĆ PO PROSTU „NIEMCY”

z XIX w. i nie miał świadomości jej jednoznacznie negatywnego skojarzenia w Polsce. Zwróciliśmy uwagę na niestosowność takiego zachowania. Przepraszamy za zaistniałą sytuację. Warto podkreślić, że delegacja Środkowej Frankonii rozpoczęła swoją wizytę na Pomorzu od złożenia wieńca pod pomnikiem Obrońców Wybrzeża na Westerplatte” - napisano

Rzeszy”. Tymczasem powinno się pisać po prostu „Niemcy”.

- Niedobry sentyment dla czasów Wolnego Miasta Gdańska, czy szerzej: niemieckiej przeszłości naszego miasta, to oczywiście nie jest żaden przypadek. Wystarczy sprawdzić, ile publicznych pieniędzy Gdańsk wydał na utrwalanie kultu Gün-tera Grassa, ochotnika do Waffen SS, który przez wiele dekad

ukrywał ten fakt i nie zamierzał przeproszać za służbę w zbrodniczej formacji - mówi Kacper Płażyński, gdański poseł PiS.

Jego zdaniem „Platforma Obywatelska, a środowisko tej partii pod różnymi szyldami rządzi Gdańskiem od bardzo dawna, to partia proniemiecka. Ludzie Platformy korzystali i korzystają z przychylności niemieckich polityków i pieniędzy niemieckich fundacji. Hołubienie nazistów, idealizowanie strasznych dla Polaków czasów WMG, zacieranie różnic między katami (Niemcami) a ofiarami (Polakami) w narracji dotyczącej II wojny światowej - to w moim przekonaniu świadomy kurs tej ekipy. Ten kurs musi podobać się w Berlinie”.

- Ostatni akord wybrzmiał z okazji skandalu podczas Jarmarku św. Dominika. To jest miejska impreza, władze polskiego miasta powinny potępić bezczelne zachowanie Niemców. W rytm tej przysięwki mordowano w Polsce ludzi. Nasi dziadkowie kojarzą tę melodię z kroczącym przez Polskę Wehrmachtem. Tymczasem Aleksandra Dulkiem nie raczyła nawet zabrać głosu - podkreśla poseł PiS.

- Polityka historyczna Gdańska musi się zmienić, mówię o tym od lat. Jak widać nie zmieni się jednak, dopóki rządzi tu Platforma Obywatelska. W tej chwili my, polscy patrioci, musimy więc robić swoje. Pokazywać, jakie było prawdziwe oblicze niemiec-

kiego Wolnego Miasta Gdańska, domagać się zaprzestania kultu nazistów i esesmanów, promować piękne karty polskiej historii naszego miasta. To nasze zadanie i powinność wobec Polski - zaznacza Płażyński.

Dobrze, że ktoś umie dziękować

Pytany o politykę historyczną władz miasta poseł Platformy Obywatelskiej Jerzy Borowczak nie dopatruje się proniemieckiej postawy.

- To raczej zachowania antygdańskie przejawiają rządzący Polską w Warszawie. Choćby ostatnio efekt fuzji Lotosu z Orlenem. Nie ma już kojarzącej się z Gdańskiem marki stacji paliw. Jest węgierski MOL - tłumaczy poseł PO.


Dopytywany o kwestie nagrania niemieckich podziękowań przez Donalda Tuska na tle gdańskiego Żurawia stwierdza, że nie widzi w tym nic złego.

- Donald Tusk wypowiedział na nagraniu podziękowania. Nie widzę tu problemu. Należy dziękować, zawsze gdy taka sposobność się pojawia, bez znaczenia, czy kierujemy słowa do Niemców, Czechów, Ukraińców, czy nawet Rosjan - mówi Borowczak.


Za co parlamentarzysta Platformy Obywatelskiej/Koalicji Obywatelskiej chce dziękować Rosjanom? ©©

REKLAMA

0010980213

 **Bank Pekao**

BIERZ ŻYCIE ZA ROGI

 **Program Pierwsze Mieszkanie**

RZĄDOWY PROGRAM „PIERWSZE MIESZKANIE” DOSTĘPNY W BANKU PEKAO S.A.



Szczegóły w oddziałach banku lub na pekao.com.pl

KRÓTKO

WROCLAW

Koniec laboratoriów narkotyków

Dolnośląscy policjanci wspólnie z kolegami z Centralnego Biura Śledczego Policji zlikwidowali trzy miejsca produkcji narkotyków. Funkcjonariusze do sprawy zatrzymali dwie osoby oraz zabezpieczyli około 150 kilogramów różnego rodzaju narkotyków. Policjanci w wytypowanym gospodarstwie rolnym znaleźli kompletną linię produkcyjną służącą do wytwarzania klefedronu oraz 27,5 litra płynnego klefedronu i 40 kg skryształizowanego mefedronu. Podczas ak-

cji funkcjonariusze zatrzymali dwie osoby, które zajmowały się produkcją narkotyków. - Oprócz narkotyków, do policyjnego depozytu trafiły urządzenia służące do ich produkcji, m.in. mieszadła magnetyczne, szkła laboratoryjne, a także niezbędne do produkcji środków odurzających prekursorzy - wyliczał rzecznik komendanta wojewódzkiego policji we Wrocławiu. Decyzją sądu podejrzani zostali aresztowani na trzy miesiące.
oprac. WSiPAP

WARSZAWA

Apel o etaty w Służbie Leśnej



Stołeczna radna zwróciła uwagę na problem częstych potrażeń m.in. łośi w kilku dzielnicach Warszawy. Radna zaapelowała o zwiększenie etatów w Służbie Leśnej, twierdząc, że brak pracowników w tej jednostce przyczynia się do tego, iż zwierzę po wypadku musi bardzo długo czekać na pomoc.

KRAKÓW

Coraz więcej utonięć

Strażacy wyłowili z zalewu Bagry w Krakowie zwłoki 70-latką, którego zaginięcie zgłosiła żona. To w ostatnich trzech dniach czwarty topielec w województwie małopolskim. - Był to drugi dzień poszukiwań mężczyzny. W środę wieczorem wyłowiono jego zwłoki. W akcji poszukiwawczej uczestniczyli strażacy i policjanci - powiedział rzecznik

prasowy małopolskiej PSP Hubert Ciepły. To w ostatnich dniach czwarty topielec w Małopolsce. W poniedziałek na stawach w Mostkach w powiecie nowosądeckim utonęli 12- i 20-latek, którzy surfowali na jednej desce. We wtorek na kąpielisku w Przylasku Ruseckim w Krakowie utonął 37-letni mężczyzna.
oprac. WSiPAP

WASZYNGTON

- Bardzo uważnie przyglądamy się działaniom Białorusi wobec państw wschodniej flanki NATO - powiedział rzecznik amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego John Kirby. Dodał, że nie jest jasne, na ile stacjonujący na Białorusi najemnicy Grupy Wagnera stanowią „terytorialne zagrożenie” dla Polski i państw bałtyckich. Odnosząc się do wagnerowców, przyznał, że nie ma pełnych informacji na temat tego, ilu ich jest i gdzie przebywają.

”

Z pewnością podchodzimy poważnie do prowokacyjnych działań i wojowniczej retoryki władz Białorusi

John Kirby, rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA

Sejm przyjął wniosek rządu o zarządzenie referendum

oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

Nie oznacza to jeszcze zarządzenia referendum. Teraz wniosek rządu trafi do Komisji Ustawodawczej, która przygotuje projekt uchwały o zarządzeniu referendum.

W czwartek odbyła się w Sejmie debata nad wnioskiem, a następnie głosowanie. Za przyjęciem wniosku głosowało 233 posłów, 211 było przeciw, a 8 wstrzymało się od głosu. Większość bezwzględna konieczna do przyjęcia wniosku wynosiła 227 głosów.

Teraz wniosek trafi do Komisji Ustawodawczej, która przygotowuje projekt uchwały Sejmu o przeprowadzeniu referendum. Projekt opracowany przez komisję nie może zmieniać merytorycznej treści pytań.

Sejm podejmuje uchwałę o przeprowadzeniu referendum ogólnokrajowego bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. Przyjęcie przez Sejm uchwały oznacza, że referendum zostaje zarządzane.

Uchwałę Sejmu o zarządzeniu referendum ogłasza się w Dzienniku Ustaw.

We wniosku rządu zawarto cztery pytania zapowiadane wcześniej przez polityków PiS. Pierwsze brzmi: „Czy popierasz sprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty



Przyjęciu wniosku rządu towarzyszyła burzliwa debata między członkami Zjednoczonej Prawicy i opozycji

kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?”. Drugie: „Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?”. Trzecie: „Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?”. Czwarte: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliższego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?”. Według opozycji referendum

może być sposobem na nielegalne finansowanie kampanii wyborczej PiS.

- Mam ogromne przekonanie, że Donald Tusk boi się tego referendum jak diabeł święconej wody, dlatego że obywatele mogą związać tymi rozwiązaniami jego przyszłe decyzje - mówił podczas debaty w Sejmie rzecznik rządu, poseł PiS Piotr Müller.

Müller, przedstawiając stanowisko PiS, wskazywał, że najbliższe tygodnie będą stały pod znakiem debaty nad pytaniami referendalnymi. Takie są - jak mówił - prawa demokracji.

Stwierdził, że posłowie opozycji uważają, że pytania, które przedstawił rząd, nie są znaczące dla państwa.

Jego wystąpieniu towarzyszyły komentarze i okrzyki posłów opozycji. Prowadzący obrady wicemarszałek Ryszard Terlecki (PiS) apelował o ciszę, ostrzegając, że będzie wykluczał z posiedzenia posłów, którzy zakłócają obrady.

- To, co dzisiaj proponujecie, to nie jest żadne referendum, tylko polityczna hucpa do partyjnych przepychanek - powiedziała w Sejmie wiceszefowa klubu Lewicy Magdalena Biejat.

- Rządu wcale nie interesuje zdanie Polek i Polaków. Obywatele nie pytano o zmiany dotyczące np. handlu w niedzielę, kwestię aborcji czy energetyki prosumenckiej - podkreśliła z kolei szefowa koła parlamentarnego Polski 2050 Paulina Hennig-Kloska.

- Demokracja bezpośrednia w wykonaniu PiS to oszustwo i kłamstwo. Robią to, żeby manipulować wyborcy, żeby doprowadzić do tego, że będziemy znowu podzielonym społeczeństwem, żeby nie odpowiadać na pytania, które dzisiaj są naprawdę ważne - powiedział prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz.

- Wszystkie cztery pytania referendalne są niezwykle ważne dla narodu polskiego, jego przyszłości i przyszłości Europy - zaznaczył poseł PiS, minister edukacji Przemysław Czarnek. PAP

Sejmowa komisja za projektem uchwały w sprawie obcej ingerencji w proces wyborczy w Polsce

oprac. Robert Szulc
Warszawa

Przygotowany przez posłów PiS projekt uchwały „w sprawie obcej ingerencji w proces wyborczy w Polsce” został w czwartek zalekondorniany przez komisję z kilkoma redakcyjnymi poprawkami.

„Rzeczpospolita Polska wszelką obcą ingerencję w polski proces wyborczy uznaje za akt wrogi wobec państwa polskiego i be-

działającą zdecydowanie zwalczać” - głosi projekt uchwały Sejmu, za którym opowiedziała się w czwartek sejmowa komisja spraw zagranicznych.

Projekt uchwały jest m.in. odpowiedzią na słowa szefa EPL Manfreda Webera, który w wywiadzie dla telewizji ZDF mówił o „zwalczeniu PiS-u”. Stwierdził też, że „każda partia musi zaakceptować państwo prawa”. - To jest zapora przeciw przedstawicielom PiS-u w Polsce, którzy systematycz-

nie atakują państwo prawa i wolne media - dodał Weber.

Przewodniczący komisji spraw zagranicznych Radosław Fogiel (PiS), uzasadniając projekt uchwały, podkreślił, że to Polacy decydują o tym, kto będzie rządził w Polsce. Jego zdaniem proponowana uchwała obniży jednak rangę polskiego Sejmu. - Odnosimy się do słów człowieka, który nie jest ani prezydentem, kanclerzem czy ministrem spraw zagranicznych - mówił poseł Kamiński. PAP

gerencji w proces wyborczy w Polsce - powiedział poseł.

Krytycznie projekt uchwały oceniła opozycja. Krystian Kamiński (Konfederacja) przyznał, że to Polacy decydują o tym, kto będzie rządził w Polsce. Jego zdaniem proponowana uchwała obniży jednak rangę polskiego Sejmu. - Odnosimy się do słów człowieka, który nie jest ani prezydentem, kanclerzem czy ministrem spraw zagranicznych - mówił poseł Kamiński. PAP

**HISTORIA**

Księża i kapelani na wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku
str. 3

ROZMOWA

Profesor Piotr Gliński: Musimy ujawniać całą prawdę o niemieckich zbrodniach, każdego dnia... **str. 8-9**

Zakupy broni dla polskiej armii: to jest prawdziwa rewolucja, o skali której wielu nie zdaje sobie sprawy
str. 4-5

PULS

#73

Adam Jakuc, red. nac. „Kuriera Porannego” i „Gazety Współczesnej”

DONALD TUSK „UNIEWAŻNIA”
REFERENDUM I DEMOKRACJĘ

Uderz w stół, a nożyce się odezwią. Zjednoczona Prawica ogłosiła, że razem z wyborami do Sejmu i Senatu zorganizuje referendum, a opozycja już nawołuje do jego bojkotu. W tej sytuacji należy postawić zasadnicze pytanie: Kto w Polsce faktycznie broni demokracji?

Zjednoczona Prawica chce w referendum zapytać nas o cztery kwestie: 1. Czy popierasz wyprzedzić majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki? 2. Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn? 3. Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską? 4. Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?

– Uroczycie przed wami unieważniam to referendum – odpowiedział już Donald Tusk w trakcie Rady Krajowej PO. Z kolei na łamach „Wyborczej” Wojciech MaziarSKI zaapelował: Opozycja powinna wezwać wyborców do nieuczestniczenia w referendum. A TVN już instruuje widzów, jak skutecznie nie wziąć udziału w referendum...

W sumie to nic nowego, bo Tusk i jego ekipa rzeczywiście nie miała w zwyczaju pytać o zgodę wyborców na swoje reformy (m.in. podwyższenie wieku emerytalnego, zabranie pieniędzy z OFE, obowiązek szkolny dla sześciolatków, zgoda na nakaz przyjmowania nielegalnych imigrantów).

Jednym słowem, samozwańcza opozycja demokratyczna dziś zdejmuje maski i bezwstydnie pokazuje antydemokratyczne oblicze. Nie chce dopuścić do publicznej dyskusji na temat niezwykle ważnych spraw dla Polski i Polaków. Pytania referendalne są okazją dla wszystkich partii politycznych do pokazania swoich programów i pomysłów na gospodarkę, problemy demograficzne, relacje Polska – UE i bezpieczeństwo.

Zniechęcanie ludzi do korzystania z praw zapisanych w konstytucji, którą opozycja chętnie nosi na koszulkach, to jednak rzecz zdumiewająca. Przecież PO ma w nazwie przymiotnik „obywatelska”. A społeczeństwo obywatelskie to takie, które jest aktywne i „bierze sprawy w swoje ręce”.

Tymczasem w Polsce od lat mamy i tak problem z udziałem w wyborach czy referendum. U nas frekwencja w wyborach parlamentarnych (61%) wypadła gorzej niż m.in. we Włoszech (63%), Hiszpanii (66%), Anglii (67%), Niemczech (76%), Norwegii (77%) czy Szwecji (84%).

Referenda nie są naszą mocną stroną. Trzeba przyznać, że polscy politycy rzadko nas pytali o zdanie w ważnych sprawach. W III RP było zaledwie pięć ogólnopolskich referendów. Najwyższa frekwencja była w 2003 roku w referendum ws. akcesji Polski do Unii Europejskiej (58,85%), frekwencja najniższa w 2015 r. w referendum w sprawie wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych w wyborach do Sejmu (7,80%). Aktywności obywatelskiej możemy uczyć się od Szwajcarów: oni w latach 2000-2018 głosowali w co najmniej 150 ogólnonarodowych referendach.

Nawet jeśli opozycja chciałaby zadać inne pytania, to powinna zachęcać Polaków do wzięcia udziału w referendum. Bo każde takie święto demokracji w Polsce jest na wagę złota. Po pierwsze, zmusza władzę do liczenia się z głosem obywateli. Po drugie, wciąga społeczeństwo do debaty publicznej i wzięcia odpowiedzialności za losy państwa. Wygląda na to, że opozycja nie chce ani słuchać obywateli, ani ich przekonywać do swojego zdania. Tusk stchórzył: woli „unieważnić” demokrację niż jej bronić.

Marcin Kędryna, publicysta

DEFILADA



Spóźniłem się na defiladę. Wyszedłem z domu niby bezpiecznie. Bolt przyjechał szybko. Ukraiński kierowca klimatyzację ustawił tak, że w aucie było dobre piętnaście stopni chłodniej niż na zewnątrz. Dość szybko się okazało, że nie ma szans na to, żebym zdążył, bo miasto stało. Znaczący samochody, a ludzie szli. W połowie drogi dotarło do mnie, że szybciej dojdę niż dojadę. Dałem się więc porwać tłumowi. Przez chwilę próbowałem jechać elektryczną hulajnogą. Niestety, ulica akurat była brukowana. A chodnikiem, między ludźmi, jechać nie szło. Ludzie szli. Rodziny z dziećmi. Z flagami. Gdyby szli w innym celu niż celebrowanie Święta Wojska Polskiego, usłyszeliśmyby pewnie, że było ich ze sto tysięcy. Albo więcej.

Spóźniłem się na defiladę. Przyszedłem, gdy przemawiał minister obrony. Po chwili skończył. W defiladach z komponentem lotniczym bardzo ważne jest pilnowanie czasu. Samolot zazwyczaj nie może się w powietrzu zatrzymać, by wyrównać obsuwę programu. Później przemawiał prezydent. Strzelały armaty. W logiczną, bo wschodnią stronę.

Dosiadłem się do znajomego pułkownika. Ostrzegł, że miejsce słabe, bo nic nie osłania przed słońcem. Odpowiedziałem, że kto ustał na Monte Cassino, przeżyje wszystko. Pułkownik służył wcześniej w Pułku Reprezentacyjnym. Byliśmy razem na cmentarzu naprzeciw klasztoru. Rocznicą jest w maju. Jest tam strasznie gorąco. Żołnierze stoją w pełnym słońcu przez całą uroczystość, apel poległych, przemówienia, mszę. Zdarza się, że padają. Nic dziwnego: ja leżąc dałem radę, choć nie musiałem stać na baczność.

Oficer obserwujący defiladę nie ma łatwo. Musi przez cały czas oddawać honory. Ręka przy czapce to nie jest naturalna dla człowieka pozycja. Widziałem różne taktyki. Twardzieli, którzy wytrzymywali cały czas, i zdroworozsądkowców, którzy raz za razem podnosili i opuszczali rękę. Wybierali wycinek Wisłostrody o szerokości jakiegoś pół metra i odsalutowywali

przez moment, kiedy salutujący trybunie żołnierz przez ten wycinek przechodził.

Po raz pierwszy defilujący pododdział wystawiły wojska od cyberprzestrzeni. Dowodzący tym komponentem bardzo ponoć przeżywał. Niepotrzebnie.

Socjalmediowe oburzenie wywołał przemarsz psów. Z przewodnikami. Że w upale to zbrodnia. Nasz pies w upał zwykle leży. Chyba że nie leży, tylko biega. I wtedy mu upał nie przeszkadza. Okazało się później, że specjalnie schłodzono asfalt, żeby psom się lepiej szło. Ale pewnie dla oburzonych nie ma to znaczenia, bo przecież chodzi o to, żeby się oburzyć.

Byłem na wielu defiladach. Po raz pierwszy sprzęt jechał z pół metra obok trybun. Wcześniej, gdy w defiladzie występowały T-72 czy Twardy, nie było to możliwe. Gdy ich spaliny mogły zabić. Czarny dym, w nim jakieś reszki niedopalonej ropy. Ruskie czołgi to zło. Większym złem były sowieckie BWP-y (Bojowe Wozy Piechoty). Ukraińcy natłukli ich na froncie ponad osiem tysięcy. Całkiem niedawno był u nas plan, żeby je modernizować. Widziałem taki jeden zmodernizowany. Słuchający prezentacji funkcjonariusz Służby Ochrony Państwa miał wyraźny problem z zachowaniem powagi. Gdy go zapytałem, o co chodzi, odpowiedział, że widział ich tyle zniszczonych w Iraku, że trudno mu uwierzyć, żeby dołożenie nowej elektroniki w jakikolwiek sposób mogło przedłużyć ich żywot na polu nowoczesnej walki. Nie było sowieckich BWP, za to były Borsuki. Tyle lat o nich słyszałem, że miałem przez chwilę problem z uwierzeniem w to, że je widzę. A widziałem. Jechały.

Byłem na wielu defiladach. Ta była inna niż wszystkie wcześniejsze. Krótsza. Kiedy przejechały ostatnie pojazdy, przeszła grupa podchorążych z biało-czerwonymi flagami. I koniec. Nie było przebiegających, wojów z dzidami, powstańców z wystruganymi z drewna granatami, szlachty w żupanach. Było tylko prawdziwe wojsko. Z prawdziwym sprzętem. I jak nam pokazuje wojna w Ukrainie, samym pokazanym na tej defiladzie sprzętem, tym, co przejechało Wisłostradą, na froncie można by zrobić naprawdę niezłe zamieszanie.

Generał Reudowicz, człowiek zwykle mało mówny, powiedział, że chyba po raz pierwszy w historii defilada 15 sierpnia w Warszawie była większa niż ta moskiewska, 9 maja. Takie czasy.

Czasami ziemia po bitwie była tak usłana rannymi, że pojazdy ewakuacyjne przejeżdżały przez przypadek, w chaosie, po ich ciałach

Bitwa Warszawska w sierpniu 1920 r. znana jest jako „osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata”. Symboliczną i legendarną postacią z okresu walk w obronie Warszawy stał się odważny ochotnik - kapelan wojskowy ks. Ignacy Skorupka, poległy w boju pod Ossowem 14 sierpnia 1920 r., pośmiertnie awansowany do stopnia majora i odznaczony orderem Virtuti Militari klasy 5 i Krzyżem Niepodległości (1933), w 2010 r. uhonorowany Orderem Orła Białego. Lecz nie był samotnym duchownym, kapelanem w szeregach żołnierzy broniących swojej ojczyzny. Takich jak on był Legion. Wojna polsko-sowiecka spowodowała mobilizację wielu grup społecznych. Jedną z nich było duchowieństwo. Księża diecezjalni i zakonni podjęli zadania kapelanów wojskowych. W całym okresie wojny szeregi Wojska Polskiego zasilili 631 księży. Stanowili oni czynnik budujący i utrzymujący morale żołnierzy na pierwszej linii frontu.

Zagrożenie ze Wschodu

Niepodległa Polska, mająca ambicje odgrywania ważnej roli w gronie państw Europy Środkowo-Wschodniej, musiała irytować wroga nastawionych sąsiadów; szukali więc sposobów, by umniejszyć lub zniszczyć jej pozycję. Ponadto odrodzona Polska była państwem katolickim, co w komunistycznej Rosji wzbudzało nienawiść ideologiczną. Kościół w Polsce, cieszący się z odzyskanej niepodległości, nie mógł nie przeciwstawić się zagrożeniu ze Wschodu.

Polski Kościół z walczącym narodem

W czerwcu 1920 r., wobec ofensywy wojsk bolszewickich i cofania się naszych oddziałów, zaczął się exodus ludności Kresów. Do Warszawy napływali uchodźcy, z czasem coraz liczniejsi; w końcu ze stolicy też co bardziej przerażeni ewakuowali się w kierunku zachodnim. 27 lipca 1920 r. podczas Konferencji Episkopatu Polski w Jasnogórskim Sanktuarium hierarchowie poświęcili naród i kraj Najświętszemu Sercu Jezusa oraz przypomnieli, że Matka Boża jest Królową Polski. Również jasnogórscy paulini rozesłali pisma, w których wspominali o Augustynie Kordeckiego i wzywali do obrony Ojczyzny. Wielokrotnie biskupi polscy zbiorowo lub indywidualnie zwracali się też do wiernych. W liście z 7 lipca 1920 r. szczegółowo opisali, na czym polega zagrożenie bolszewickie:

„Wróg to tym groźniejszy, bo łączył okrucieństwo i żądę niszczenia z nienawiścią wszelkiej kultury, szczególnie zaś chrześcijaństwa i Kościoła. Za jego stopami pojawiają się



14 sierpnia 1920 roku ksiądz Ignacy Skorupka zginął od postrzału w głowę podczas toczącej się pod Ossowem bitwy, będącej częścią Bitwy Warszawskiej

„DLA CIEBIE, POLSKO, KREW I CZYNY MOJE”

Byli na pierwszej linii frontu, dodawali żołnierzom odwagi i sił, nieśli duchowe wsparcie - księża i kapelani w wojnie 1920 roku.

Oprac. Jędrzej Lipski

mordy i rzezie, ślady jego znaczą palące się wsie, wioski i miasta, lecz nade wszystko ściga on w swej ślepej zapamiętałej zawiści wszelkie zdrowe związki społeczne, każdy zaczyn prawdziwej oświaty, każdy ustrój zdrowy, religię wszelką i Kościół. [...] Bądźcie w służbie Ojczyzny ofiarni, bo tylko wielką ofiarą okupicie nadal jej wolność i siłę. [...] Dawajcie jej wasze mienie, gdy was dziś Ojczyzna wzywa, do pożyczki Odrodzenia. Dawajcie jej ofiarę z waszego życia, gdy zagrożona o nią woła. [...] wzywamy was, abyście też dali zastępy ochotnicze dla ratowania narodu i Polski. W dzisiejszym naszym

położeniu, w armii ochotniczej, obok istniejącego wojska, jest nasza nadziejka i przyszłość. Przez jej szeregi dajemy wojsku naszemu niezbędne rezerwy; wielkim czynem narodowym rozniecamy ogień zapału w całym społeczeństwie, ożywiamy nowym duchem zwątląłe siły armii [...].

W lipcu 1920 r. kard. Kakowski zwrócił się do duchownych, domagając się od nich rygorystycznego wykonywania obowiązków duszpasterskich i obywatelskich. Metropolita nakazał proboszczom i rektorom kościołów warszawskich trwać na stanowiskach w czasie zagrożenia bolszewickiego. 10 sierpnia wy-

stosował do swoich księży apel o pozostanie w parafiach i na wyznaczonych im placówkach. „Tylko najemnik, a nie pasterz, opuszcza owce swoje w chwili niebezpieczeństwa. Gdyby jednak, co nie daj Boże, najemnik taki się znalazł i z jakichkolwiek pobudek opuścił stanowisko, obciążam go ipso facto suspensą ab officio et beneficio. Przy czym dodaje, że zbiegły kapłan na dawne stanowisko nie powróci”.

Armia Ochotnicza i kapelani wojskowi

Polski rząd w obliczu zagrożenia stolicy państwa polskiego złożył wniosek o utworzeniu Rady Obrony Państwa

z Józefem Piłsudskim na czele. Ta z kolei wniosowała o powołaniu Armii Ochotniczej, co nastąpiła 7 lipca z mocy decyzji Ministra Spraw Wojskowych K. Sosnkowskiego. Na czele Armii Ochotniczej stanął gen. Józef Haller. Wcześniej, 3 lipca, ROP wydała odezwę pt. „Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie!”. W szeregi armii mogły zgłaszać się osoby w przedziale wiekowym 17-50. Na apel Rady Obrony Państwa, podpisany przez Józefa Piłsudskiego: „Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej. Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!”, odpowiadało całe społeczeństwo. W ciągu kilku dni w szeregi Armii Ochotniczej wstąpiło ponad 100 tysięcy osób, w tym 30 tysięcy mieszkańców Warszawy.

Decyzją Marszałka Józefa Piłsudskiego ochotników wcielano do oddziałów już istniejących, „w których podnosiliby morale, a sami od starych żołnierzy uczyli się wojennego rzemiosła”. W trakcie walk okazało się to słusznym posunięciem. Do 10 sierpnia ok. 25 tys. ochotników było gotowych zasilić walczące oddziały. Był to wynik szerokiej akcji agitacyjnej duchownych, władz państwowych, samorządowych, organizacji społecznych. Zaciąg był spontaniczny; najmłodszymi ochotnikami byli piętnastoletni uciekinierzy z domu, najstarszym sześćdziesięcioletni mężczyzna. Ważną rolę odegrało zaangażowanie katolickich kapłanów i ich stosunku do sprawy narodowej, poczynając od organicznej dbałości o utrzymanie tożsamości, tradycji historycznej i kulturowej, po różne formy wspierania bezpośrednio walki zbrojnej. Biskupi, odpowiadając na apel Piłsudskiego o dobrych kapłanów, zgodzili się oddać do wojska 5 proc. kapłanów ze swoich diecezji. Wielu prefektów zgłosiło się do służby. W odezwie z 9 lipca 1920 r. kard. Kakowski wzywał kapłanów:

„Wobec powiększenia się kadrów wojskowych i płynącej stąd potrzeby obsługi duchowej, wzywam kapłanów archidiecezji do zgłaszania w Kurii Metropolitalnej swej kandydatury na kapłanów wojskowych, a tymczasem wszyscy kapłani powinni stać na powierzchniach swoich przez władzę stanowiskach. Całemu podwładnemu duchowieństwu polecam z jak najbardziej wyteżoną gorliwością spełniać wszystkie obowiązki pasterzowania nie tylko za siebie, lecz i za tych, co obsługiwani będą zastępy ochotnicze obrońców Ojczyzny”.

Odpowiedział na ten apel między innymi ks. Ignacy Skorupka, kapelan-ochotnik,

który stał się symbolem Cudu nad Wisłą i całej batalii z bolszewikami w 1920 r. Jego postać przesłoniła innego kapłana - ks. Stanisława Rozumkiewicza, o. Cypriana w zakonie franciszkanów konwentualnych, kapelana 36 pp Legii Akademickiej. Wymuszono na nim przejście na tyły z powodu choroby; wówczas transport sanitarny pod Lidą został zaatakowany przez kozaków, którzy zarabali szablami ks. Rozumkiewicza. Został on pośmiertnie odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i pochowany w Lidzie, skąd go później ekshumowano i złożono na Cmentarzu Orłąt we Lwowie.

Bitwa o Warszawę zwana „Cudem nad Wisłą”, w której żołnierz polski odparł bolszewicką nawałę stała się wyjątkowym egzaminem dla Polski, Polaków i również dla polskiego Kościoła. Patrząc na fenomen tamtych chwil, nie można nie dostrzec zaangażowania katolickich kapłanów wspierających żołnierzy walczących o wolność i broniących ojczyzny. Już w pierwszych oddziałach, formowanych w chwili wybuchu I wojny światowej, znaleźli się księża, pragnący nieść pomoc duchową żołnierzom niepodległości. Pierwszy kapelan legionowy, o. Kosma Lenczowski, swoją decyzję o dołączeniu do żołnierzy Pierwszej Kadrowej wyruszających z Krakowa wspominał następująco: „nie wiele stracę, gdy zginę, bo tylko życie doczesne, a mogę dużo dobrego uczynić. [...] Jakież los zgotował mi to szczęście?”. Kapelani polskich formacji niepodległościowych okresu wojny 1914-1918 towarzyszyli żołnierzom Legionów Polskich, formacjom w Rosji, Armii Polskiej we Francji, konspiratorom z Polskiej Organizacji Wojskowej. Generał Józef Haller wskazywał dobitnie potrzebę służby kapłanów: „Od zrozumienia swego zadania i patriotyzmu swego kapłanów zależy w dużej mierze stan psychiczny wojska, o które w czasach wojny więcej niż kiedykolwiek dbać należy, gdyż tylko siła moralna, popierająca siłę fizyczną, decyduje o zwycięstwie”. Kapelani lat 1914-1920, służąc w Wojsku Polskim, służyli Bogu i Ojczyźnie, kierując się przesłaniem sformułowanym przez honorowego kapelana I Brygady Legionów Polskich, bp. Władysława Bandurskiego, który napisał: „Dla Ciebie, Polsko, krew i czyny moje”.

17 marca 1921 r. Sejm Ustawodawczy przyjął ustawę o budowie świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie w poczuciu wdzięczności za odzyskaną Niepodległość, a także powołał Obywatelską Komisję Budowy Świątyni pod przewodnictwem kard. Edmunda Dalbora, prymasa Polski, i kard. Aleksandra Kakowskiego, metropolity warszawskiego.

KRASZEWSKI O ZAKUPACH BRONI: LUDZIE SOBIE NIE ZDAJĄ SPRAWY Z TEGO, JAKA TO JEST REWOLUCJA

– Z uporem maniaka pytam, jakie procedury zastosować, żeby wybrać coś, co jest pilnie potrzebne teraz, a nie coś, co ci ktoś obieca, że zaprojektuje i za 15 lat będzie gotowe...

Marcin Kędryna

Zauważyłeś, jak krótka była to defilada? Nie było tych wszystkich przebierańców z pikami, wojów Chrobrego, partyzantów.

Bo ta defilada miała pokazać silną biało-czerwoną. Więc to nie było miejsce dla grup rekonstrukcyjnych. Jeżeli tutaj pokazujemy coś, co ma obywateli naszego państwa przekonać do tego, że jesteśmy bezpieczni. To nie jest to grupa rekonstrukcyjna.

Na defiladzie w 2018 roku, pamiętam, że uzbrojenie, którego było najwięcej, to były pikki. Najwięcej było ludzi z dzidami.

Bo wtedy nowoczesnego sprzętu nie pokazano zbyt dużo, bo go zbyt dużo nie mieliśmy.

Poza tym, jak jeździły T72 dwójki to...

Ogrom spalin, pamiętam, że na trybunie ciężko było oddychać. Wyglądało to, jak zadymianie, a to był tylko spalony olej.

Teraz czołgi jechały na pół metra od trybuny i dało się oddychać.

Wygląda na to, że rozwiązaliśmy problem śmigłowców. AW 101, AW 149, mamy Black Hawki, minister Błaszczak zapowiedział, że mają być kupione Apacze (chyba 96). Tak, wygląda na to, że mamy rozwiązany problem śmigłowców.

Mieliśmy brać te Caracale, bo zakłady w Polsce nie są w stanie zrobić niczego porządnego, a się okazuje, że jednak mogą. 7 lat minęło.

Jeszcze byśmy wszystkich Caracali nie mieli, a już tyle krajów się z nich wycofało. Pojawiają się głosy, że śmigłowce są kupowane z pominięciem jakichś procedur, a siedem lat minęło. No to pytam, to jakie jeszcze trzeba procedury wymyślić, żeby ten czas wydłużyć? A chyba powinniśmy dążyć do tego, żeby go skrócić do niezbędnego minimum.

Pytanie, komu, na czym zależy.

Właśnie. Plan zakupów jest realny i pilnie potrzebny. Od dekad o tym rozmawialiśmy. Jeżeli chodzi o system obrony powietrznej, przeciwlotniczej i obrony przeciwrakietowej to mówiło się już o tym za czasów świętej pamięci Lecha Kaczyńskiego. Ludzie mówią, że procedur się nie przestrzega, to pytam, czy te procedury są adekwatne do sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Bo można narzekać na MON, że nie przestrzegał jakichś procedur, ale niech mi ktoś pokaże lepszy czołg niż Leopard i Abrams. Leopard i szczególnie Abrams są to czołgi sprawdzone w boju. Leopardy walczą na Ukrainie. Jedynie K2 nie brały udziału w żadnym konflikcie. To z tej trójki jedyna konstrukcja z XXI wieku, ale nie są sprawdzone w boju. Ja nie mówię, że to źle, bo to jest zgrabna konstrukcja, oparta na niemieckiej technologii. K2 przypomina mocno Leoparda. Jak ktoś się nie zna, to pomyśli te czołgi. Dlatego z uporem maniaka pytam, jakie procedury zastosować, żeby wybrać coś, co jest pilnie potrzebne teraz, a nie coś, co ci ktoś obieca, że zaprojektuje i za 15 lat będzie gotowe...

Chyba że nie będzie...

Ktoś powie, że mu się nie udało. Prosty przykład konstrukcja PLO1 zrobiona z tektury, pokazywana na targach w Kielcach ładnych parę lat temu. Co z tego pozostało? Nic.

A co to było PLO1?

PLO1 to miał być pierwszy skonstruowany w Polsce czołg. Zmarnowano mnóstwo czasu, mnóstwo pieniędzy. Dziś minister obrony narodowej, który wziął na siebie ciężar modernizacji armii, podjął słuszne decyzje zakupowe. My potrzebujemy wymiany sprzętu postwojewódzkiego. Pilnie. Natychmiast. Zwłaszcza że do czasu ostatnich zakupów, średnio 70% sprzętu, na którym wojsko operowało, to był sprzęt radziecki.

T72, jak rozumiem, już nie mamy.



Bojowy Wóz Piechoty Borsuk na defiladzie z okazji Święta Wojska Polskiego. To jeden z najlepszych wozów bojowych. Gen. Kraszewski: Borsuk będzie kolejnym naszym sztandarowym produktem eksportowym. Państwo polskie może zarobić na jego eksporcie potężne pieniądze

To źle zabrzmiało, ale całe szczęście, że jest wojna na Ukrainie i tam je wysłaliśmy, gdzie są niezbędnie potrzebne Ukraincom, którzy z marszu weszli do nich i zaczęli z powodzeniem wykorzystywać je na polu walki. Pieniądze, które były przeznaczone na ich modernizację, lepiej alokować w Leopardy w wersji PL.

W defiladzie jechały za to Borsuki.

Na produkowanych na koreańskiej licencji podwoziach. W 2014 roku, na odprawie modernizacyjnej w MON, zaproponowałem takie rozwiązanie. Tylko ówczesny inspektor wojsk lądowych gen. Janusz Bronowicz widział w tym sens i logikę.

A inni?

*OPOWIEŚCI O OBRONIE NA LINII
WISŁY NALEŻY ODŁOŻYĆ
DO HISTORII I NAJWYŻEJ UCZYĆ
O TYM, JAKO PRZYKŁADZIE
MILITARNEGO BŁĘDU.*

mówię, że proponuję, żeby odstąpić od pomysłu zakupu PzH 2000, bo zakup samych haubic, pokazałem te zdjęcia, bez wozów dowodzenia, bez systemu kierowania ogniem, bez amunicji - to zakup zabawek. Ten zakup nie ma sensu, czego doświadczyli Chorwaci. Niemcy, jak doliczyli wozy dowodzenia, system kierowania ogniem i amunicję, to cena za PzHv2000 wzrosła pięciokrotnie. Poza tym to jest bardzo ciężka haubica, za ciężka. I w związku z tym, panie ministrze, proponuję, żeby prezes Huty Stalowa Wola dogadał się z Koreańczykami i zakupił, na podstawie licencji otwartej, podwozie K9, które będzie multiaplikacyjne i można je wykorzystać np. do Borsuka. Osadzimy na nich część wieżową KRABA, która jest już przygotowana, jest perfekcyjnie zrobiona przez konstruktorów z HSW. Wprowadzimy modyfikacje w postaci aparatury filtro-wentylacyjnej i agregatu prądowręcznego, żeby nie obciążać silnika głównego i będziemy mieli jedną z najlepszych haubic na świecie. Przy wsparciu inspektora wojsk lądowych, wiceminister Mroczek powiedział: tak robimy. I po tym w nagrodę byłem jedynym po 89 roku szefem Wojsk Rakietowych i Artylerii, który podczas pełnej kadencji nie był awansowany do stopnia generała brygady.

Moim zdaniem, utrzymanie w mocy propozycji zakupu PzH2000 skutkowałoby upadkiem i likwidacją HSW. Biorąc pod uwagę fakt, że już wtedy HSW była na skraju bankructwa, ponieważ cały dywizjon Krabów zrobiono z środków własnych. To był sierpień albo wrzesień 2014 roku i huta już nie miała na wypłaty dla pracowników, czyli by upadła, bo poza tym nic więcej nie robili. Kiedyś zażartowałem, że powinni mi tu pomnik postawić. Dzięki umowie na podwozia HSW dalej działa, a Polska może chwalić się Krabami na całym świecie. I to jest powód do dumy. Ponadto, jak

widać jest jedną z najbardziej prężnie rozwijających się firm z przemysłu obronnego. Choć nie jestem jakimś tam wybitnym ekspertem, ale uważam, że Borsuk będzie kolejnym naszym sztandarowym produktem eksportowym. Jeżeli Polska Grupa Zbrojeniowa dobrze to rozegra, to na tym państwo zarobi potężne pieniądze.

Borsuk, Rak, Krab, koreańskie czołgi też w Stalowej Woli.

To są miliardy. Na 30 lat mają zamówień. Po korek. I tak właśnie powinno się wprowadzać nowy sprzęt do użytkowania w Siłach Zbrojnych.

Na defiladzie nie było szturmowych śmigłowców Mi 24. Leciały Apacze amerykańskie, ale już się na nich szkolą polscy piloci. Leciały FA-50.

To jest samolot szkolno-bojowy. Słuchałem ze zdziwieniem innych ekspertów. A po co nam tyle? Chociażby po to, żeby w Polsce na tym zarobić - na szkoleniu innych. A żeby to robić, potrzebujemy więcej takich maszyn. Mamy F-16 już ładnych parę lat. Mamy lotników doświadczonych w misji w Kuwejcie, kilka zmian się przewaliło przez misję w Kuwejcie. Wykonują zadania bojowe w NATO Air-Policing. Będziemy mieli F-35. To czas najwyższy, żebyśmy otworzyli centrum ekspercko-szkoleniowe dla lotników z NATO i UE. Skoro Grecy mogli, to dlaczego nie my? Ucieszyło mnie, gdy usłyszałem, że MON ma ideę, że będziemy tworzyli centrum eksperckie dla Himarsów. Będziemy mieli najwięcej Himarsów i haubic 155 mm w Europie i będziemy na tym zarabiać pieniądze, bo w państwach natowskich na takich ośrodkach zarabia się dużo pieniędzy poprzez szkolenie innych. Proszę popatrzyć, jaką część wydatków na sprzęt zajmują szkolenia. Posiadając nowoczesne centra szkoleniowe, wyposażone również w symulatory i trenery, będziemy w obszarze zainteresowania wielu państw

sojuszniczych. To samo dotyczy również śmigłowców.

Słychać narzekanie, że się zadłużamy, a zaraz się okaże, że dzięki naszej zbrojeniówce zaczniemy zarabiać potężne pieniądze.

No tak, zadłużamy się, ale ten sprzęt wojskowy jest nam teraz pilnie potrzebny. Z drugiej strony OK, możemy się nie zadłużać, ale wtedy zabraknie na służbę zdrowia, na świadczenia emerytalne, na rozwój szkolnictwa itd. Bo my musimy to kupić. Ale Polska Grupa Zbrojeniowa będzie jednym z głównych motorów napędowych naszej gospodarki, państwowej i prywatnej. Będziemy sprzedawać uzbrojenie. W ten sposób będziemy spłacali ten dług zaciągnięty wobec np. Korei. Druga sprawa - twórzmy centra szkoleniowe, np. mając potencjał FA-50 róbmy w Dęblinie, w Mińsku Mazowieckim dla śmigłowców, w Mirosławcu dla BSP, gdzie będą przyjeżdżali i będą płacili za to, że będą się szkolili na polskim sprzęcie. Stwórzmy bazę w Toruniu, gdzie będą szkolili się na Himarsach i na 155. Róbmy to. Problemem będzie liczba poligonów - okazuje się, że mamy ich za mało.

Mamy kilka.

Zbyt małych. Kupiliśmy ATA-CAMS-y. Gdzie będziemy z nich strzelać na 300 kilometrów?

Kiedyś się jeździło do Kazachstanu.

Na Kapustin Jar, poligon do dziś istniejący.

No to będziemy jeździć na Ukrainę.

Daj Boże.

General Reudowicz, podsumowując defiladę, powiedział, że po raz pierwszy w historii była większa niż ta w Moskwie.

No tak, warto też zauważyć, że od wielu, wielu lat nie musieliśmy z defilady zholowywać żadnego sprzętu. A Rosjanom rozkraczyła się najnowsza Armata.

Jak to było z planami obrony Polski? Jeszcze kilka lat temu mieliśmy się bronić na Wiśle czy na Warcie nawet?

Generalnie zakładano, że oddajemy ziemię do Wisły. Wisła to jest ostateczna rubież obronna. I od tej rubieży zaczynamy, wspólnie z siłami wzmocnienia Sojuszu, w którejś tam dobie walki odzyskiwać teren.

To znaczy, że Warszawa jest na linii frontu, czyli generalnie zakładamy jej zniszczenie?

Tak. Znaczący to nie było wprost powiedziane, ale per analogia należy tak przyjąć, że Białystok jest zrównany z ziemią, Suwałki, Przesmyk Suwalski, Brama Brzeska i Brama Prze-

myska, czyli Przemysł, Lublin, Rzeszów narażone są na największe straty.

Zakładaliśmy, że walkę zaczniemy prowadzić dopiero na naszym terenie.

Koncepcja była taka, że my wpuszczamy, stwarzamy przestrzeń do rozwinięcia wojsk Sojuszu i stwarzamy warunki do wykonania przeciwuderzenia przez NATO.

Jak to w Niemczech nazywano - skracanie frontu?

Chodziło o to, żeby wpuszczając przeciwnika na własne terytorium, wykrwawić go maksymalnie, dać czas na przyście sił wzmocnienia Sojuszu i stworzyć im warunki do tego, żeby rozwinęli się do przeciwuderzenia.

Czyli, by przy braku planów ewentualnościowych NATO, w którym dniu wojny miały się te wojska pojawić? 180?

No jakoś tak wychodzi. Pamiętamy, że wtedy NATO nie patrzyło na swój obszar odpowiedzialności przez pryzmat pełnoskalowego konfliktu, bo wszystkie predykcje dotyczyły jakiegoś lokalnego małoskalowego, o małym nasyceniu, nawet nie tyle konfliktu, co ważni pomiędzy jakimiś grupami etnicznymi. Ćwiczyło scenariusze lokalnej wojny o ropę itp. Był to czas, kiedy NATO, świat zachodni patrzył na siły zbrojne przez pryzmat misji poza granicami kraju - misji stabilizacyjnych i pokojowych. I był to czas, gdzie wiele państw zachodnich, w tym niestety też Polska, powiedziała sobie, że tak duże siły zbrojne są niepotrzebne, bo pokoju na świecie nie zaprowadza się ciężką artylerią, jeszcze cięższymi czołgami. Podjęto proces redukcji jednostek wojskowych, przekształcania z brygad w pułki. Pułki bywały silniejsze, większe niż brygady. Tworzono takie byty, dziwolągi, na świecie nikt nie mógł tego zrozumieć. Nie mówię tylko o Polsce, ale podam przykład Beneluxu. Holendrzy i Belgowie wyprzedali wszystko, cały prawie sprzęt. Teraz Holendrzy albo Belgowie - nie pamiętam - leasingują te same czołgi, które kiedyś sprzedali.

W sumie jest to logiczne. Kto miałby ich napaść i kądędy? Anglicy przez kanał czy Francuzi?

Czy Hiszpanie.

Hiszpanie już tam kiedyś byli...

Gdy w 2014 nastąpił niespodziewany atak Federacji Rosyjskiej, wszyscy zachłystnęli się wojną podprogową, hybrydową. A to jest to samo, co od wieków zna sztuka wojenna. Tylko że wcześniej nazywano to myleniem, wprowadzaniem w błąd, dezinformacją, teraz mówią brzmni

wojna hybrydowa. Świat zachodu podzielił się na tych, którzy patrzyli na wschód, i tych, którzy patrzyli na południe. Polska, na szczęście, zaczęła wieść prym w dwóch ważnych inicjatywach, czyli B9 - Bukaresztańskiej dziewiątki i najważniejszej dla nas - Trójmorza. Inni koncentrowali się na problemie uchodźców, mówiąc: słuchajcie, radźcie sobie jakoś, wytrzymajcie. NATO zajmowało się problemami Turcji, Włoch, Grecji, Hiszpanii. Jakoś wzmacniano flankę wschodnią, ale to były śladowe ilości. Dopiero dzięki ciężkiej pracy prezydenta Dudy udało się doprowadzić do tego, że amerykańska brygada zaczęła stacjonować rotacyjnie na terenie lubuskiego i dolnośląskiego. I do stałej obecności wojsk NATO na Przesmyku Suwalskim. Zaczęto wtedy dużo mówić na temat Przesmyku. Generał Hodges, już wtedy emerytowany, zaczął mocną kampanię opowiadając, jak strategicznie ważny jest Przesmyk Suwalski. No i stało się. 2022 rok. Po drodze były różne inicjatywy. Szczyt NATO w Warszawie przyniósł wiele dobrego dla podniesienia poziomu bezpieczeństwa. Bo nagle zorientowaliśmy się, że nie mamy wystarczających zdolności obronnych.

My jako NATO, czy my jako Polska?

My jako Polska. NATO to jest planowanie i struktura stanowisk dowodzenia, a siły zależą od państw członkowskich. I są standardy, do których trzeba dążyć. Zorientowaliśmy się, że trzeba przystąpić do natychmiastowej odbudowy tych zdolności. Gdyby nie inicjatywy Trójmorza i B9, sytuacja 2022 roku mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. Mówię o dwudziestym czwartym lutego. Moim zdaniem te inicjatywy doprowadziły do, po pierwsze, konsolidacji naszych sąsiadów, po drugie do chyba najsilniejszej w dziejach relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Zaczęliśmy odbudowywać zdolności obronne. Ale nie zrobimy tego w ciągu dwóch lat, bo to trzeba kilkunastu lat na to, żeby powiedzieć, że niebo mamy bezpieczne, są siły wojska lądowe, mamy Marynarkę Wojenną dobrą na tyle, na ile ona nam jest potrzebna. Mamy jedno z najlepszych, jeśli nie najlepszych, wojska specjalne i mamy dobre relacje z sąsiadami.

Może nie ze wszystkimi.

Mówię o B9, o krajach Wschodniej Flanki NATO.

Rozumiem że nastąpiła zmiana podejścia. To jest niesamowita rzecz, że my historycznie wiemy, co to znaczy, przejście przez nas armii rosyjskiej, radzieckiej. Wiemy, co to znaczy, z czym się to wiąże. Pomysł

na to, że oddajemy wszystko do linii Wisły, sprawia wrażenie tak jakbyśmy o tym nie pamiętali.

Podjęliśmy decyzję, że nie możemy sobie pozwolić na coś takiego. Musimy pamiętać o tym, że wojnę musimy prowadzić na wschód od naszych granic. Zaczęliśmy zakupy sprzętu. Nie ma czegoś takiego, jak czołg ofensywny i defensywny. Nie ma czegoś takiego, jak haubica ofensywna i defensywna. Ta haubica i ten czołg służą jednemu - zabijaniu. Możemy powiedzieć o tzw. dobrym zabijaniu.

Nazwijmy to niszczeniem siły przeciwnika.

Dobra, niech będzie bardziej humanitarne. I teraz dzięki zakupom sprzętu, mamy takie zdolności, że byłoby poważnym albo wręcz karygodnym błędem strategicznym, jeżeli byśmy dalej utrzymywali, że będziemy bronić linii Wisły. Absolutnie nie. Będziemy bronić linii Bugu. Wiem, że ciężko jest politykom to mówić, bo NATO jest z natury sojuszem defensywnym, ale obrona polega na niszczeniu celów, czy to w obrębie Obwodu Królewieckiego czy Białorusi. Nie zamierzamy nikogo atakować. Wojna nie jest kwestią jednego dnia. Czyli ona nie wybuchła jako totalne zaskoczenie. W tej chwili przy rozpoznaniu satelitarnym wszystko widać. I jeżeli ktoś rozmieszcza elementy gotowe do natychmiastowego użycia, trzeba temu komuś wyraźnie dać do zrozumienia: chłopie, kilometr dalej i nie będziemy czekać. I taki jest przekaz. Prezydent Biden i całe NATO mówią, że nawet centymetra kwadratowego terytorium nie oddamy. A to znaczy, że przeciwnik powinien myśleć o tym, że zaczniemy razić, już wtedy, gdy sytuacja eskaluje.

Jeżeli żołnierz przeciwnika postawi stopę na terenie NATO, to znaczy, że całe kwadratowe pod stopą są już oddane.

Tak. Więc uważam, że musimy reagować wcześniej. Przeciwnik prowadząc dezinformację będzie mówił, że to my byliśmy agresorem.

No tak, ale to właściwie to jest bez znaczenia. Cała rzecz polega na tym, że tu nie o moralne zwycięstwo chodzi. Chodzi o zwycięstwo realne.

Dokładnie. Ale też zwycięstwo realne wcale nie musi być związane bezpośrednio z tym, że my tam zagony pancerne wysłaliśmy, eskadry lotnictwa, które wykonują zmasowane uderzenia. Można to inaczej rozegrać i pokazać przeciwnikowi: „naprawdę wam się nie oplaca”.

Czyli po to kupujemy rakiety, po to kupujemy czołgi, które strzelają dalej niż te radzieckie? No i mają lepsze pancernie i są szybsze i działają dłużej, bo

mają więcej paliwa i silniki mniej paliwożerne.

Poza tym jesteśmy w innej sytuacji, bo wiemy, że większa część opowieści o tej drugiej armii świata, która stała się drugą armią na Ukrainie, jest nieprawdziwa. Opowieść o tym, że oni nam zniszczą wszystko, swoimi raketami, w ciągu pierwszego dnia, pierwszych 15 minut, okazała się niezbyt spójna z rzeczywistością. Trzeba jednak pamiętać, że rosyjski potencjał jest wciąż bardzo duży. I jeżeli Rosja zaatakuje całym swoim potencjałem, to wystrzelanie ich nie będzie takie proste.

No tak, tylko że zanim oni tę masę przerzucą...

Będziemy o wszystkim wiedzieli. Wracamy do początku. Opowieści o rubieży ostatecznym błędem załamania natarcia przeciwnika na Wiśle należy odłożyć do historii i najlepiej nikogo nie uczyć na ten temat.

Raczej uczyć i pokazywać, że to nie tak.

Uczyć jako o przykładzie błędu militarnego.

Ta koncepcja była efektem decyzji politycznych.

Oczywiście, że to był efekt decyzji politycznych. Nie używaliśmy nazw państw, z którymi byśmy walczyli, pokazywaliśmy, że jesteśmy defensywni, że bronimy się na obszarze naszego terytorium itd. Wojsko jest zawsze elementem będącym w rękach polityków. Problem polega na tym, że w Polsce ani politycy nie potrafią rozmawiać z wojskowymi, ani wojskowi z politykami.

Polityk, który zostaje ministrem obrony narodowej, szybko się orientuje, jak krzyknąć, jak paru generałów wyrzuci, to i temat jest załatwiony. Wojsko jest jego.

Kończy się to tak: Minister pyta, panie generale, czy jeżeli obniżymy liczbę sił zbrojnych do jednej trzeciej, obronicie Polskę? Obronimy! A jak któryś powie prawdę, że się tego nie da zrobić, to natychmiast zostanie zwolniony. Tak to wyglądało.

Przez całe lata obowiązywała doktryna, że jeżeli wojna wybuchnie, to i tak jesteśmy gdzieś, więc lepiej pieniądze na zbrojenia wydajmy w sposób oplacalny politycznie. I teraz, chyba po raz pierwszy w historii, jest podejście nieco inne.

Mam wrażenie, że to nie jest wystarczająco rozgrywane komunikacyjnie. Że ludzie sobie nie zdają sprawy z tego, jaka to jest rewolucja.

Widziałem ten tłum, który oglądał defiladę. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, to nie jest impreza, gdzie ci

chodzą ludzie z dzidami. Jedzie sprzęt, który, po tym, jak obserwujesz wojnę na Ukrainie, sam ten konkretny sprzęt, te kilkadziesiąt pojazdów mogłoby zrobić niezłe zamieszanie na froncie. Ile tam jechało Himarsów?

Sześć.

Mówi się, że dziesięć Himarsów zrobiło Ukraincom ofensywę. Sześć to spora liczba.

Myśmy nie mieli niczego, co by strzelało na odległość większą niż 40 kilometrów, więc to jest już to coś, co może zrobić duże kuku.

Nowe czasy:

A przecież wiadomo, że będzie to napływać. Mnie denerwuje, gdy słyszę narzekania, że to będzie napływać latami. Ale to przecież nie jesteśmy Ukrainą. Nie jesteśmy na wojnie. Jesteśmy w NATO. NATO jest zobowiązane do tego, żeby tu przyjechać, jakby co.

Więcej, po raz pierwszy w historii NATO przygotowuje się do tego.

Tak. Mało tego, przecież sami widzieliśmy jak było. W 2016 roku przyjechało do Polski 1000 Amerykanów i myśmy szaleli ze szczęścia. I się modlili, żeby powstał Fort Trump - jakaś ich baza. A teraz jest ich przeszło 10 tysięcy. Nikt nie mówi o Forcie Trump. A de facto taki fort jest w Rzeszowie, w Jasionie.

I patrzmy na to. Nie patrzmy, że dwa śmigłowce na minutę wleciały. Bo nie jest tak, że co sto, dwieście metrów stoi żołnierz z Gatlingiem (działkiem wielolufowym) i czeka, aż mu coś wleci przed łufą, wystrzeli w minutę trzy tysiące pocisków i na pewno w coś trafi. Zresztą pytanie, czy była to prowokacja, czy poziom wyszkolenia pilotów jest tak mizerny, i oni po prostu nie wiedzieli. Ja uważam, że drugie jest bardziej niebezpieczne.



Jarosław Kraszewski General brygady, artylerzysta. Dowodził 23. Śląską Brygadą Artylerii w Boleśławcu i Wielonarodową Brygadą w Lublinie, był szefem Wojsk Rakietowych i Artylerii Wojsk Lądowych, dyrektorem Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego.

W jakimś momencie przed wrześniem 1991 roku Karadžić przeszedł osobistą i polityczną przemianę. Jej dowody można dostrzec w jego przemówieniach, wyobrażeniach i działaniach z września, kiedy dał się ponieść wściekłości wskutek konfrontacji z rywalami. W miarę jak rosła jego frustracja wywołana brakiem kontroli nad przebiegiem wydarzeń, zaczął je interpretować w wypaczony sposób i z głębokim cynizmem patrzeć na intencje swoich przeciwników. Fantazjował o zniknięciu Boszniaków en masse, zdradzając bezduszną obojętność wobec życia nie-Serbów. Jego mroczne, gorzkie urojenia miały wywrzeć doniosły wpływ na przyszłość Bośni, a szczególnie Boszniaków.

Sarajewo, przybrany dom Karadžića, zmienia się w rytmie pór roku. Zgodnie z rytuałem, zdawałoby się równie odwiecznym jak okoliczne wzgórze, liczni mieszkańcy miasta co roku we wrześniu powracają z leniwych wakacji na wybrzeżu Adriatyku, by ponownie napełnić je pulsującą energią. Zwykle po powrocie z wakacji zastają miasto niemal takie samo, jakie opuścili latem. Tymczasem jesienią 1991 roku przybyli do Sarajewa pełnego złowroźnych pogłosek i narastających napięć politycznych.

Niepokój wisiał w powietrzu, a co bardziej zorientowanych politycznie zaczął ogarniać strach. Gospodarka pikowała. Poczucie bezpieczeństwa malało w oczach. Z cienia wyszli gangsterzy dopuszczający się coraz zuchwalszych i bardziej ostentacyjnych przestępstw. Trzy nacjonalistyczne partie spierały się zażarcie o konstytucyjny stosunek Bośni względem Jugosławii. Zdobycywały broń dla świeżo sformowanych organizacji paramilitarnych. Złe wróżyło to, że odkąd wojna rozlała się na Chorwację, Serbowie i Chorwaci ruszyli przelewać nawzajem swoją krew. Sarajewskie media donosiły o potyczkach, po których w miasteczkach na rozdrożach w pobliżu bośniackiej granicy zostawały dziesiątki zabitych. Co jeszcze bardziej niepokojące, incydenty coraz częściej przenosiły się na sąsiadujące z Chorwacją tereny Bośni.

Wielu zasiedziały mieszkanców Sarajewa w znacznie większym stopniu niż za Serbów, Chorwatów czy Boszniaków uważało się za sarajewian, obywateli Bośni, Jugosłowian lub miastowych (w dowolnej kolejności). Wielu obawiało się, że coraz gwałtowniejsze starcia między grupami nacjonalistów zniszczą ich wygodny, miejski styl życia. Chyba najbardziej lękali się miejscowi

Karadžić wydawał się nie tyle fanatykiem, ile bandytą i aspirującym tyranem: pienił się z wściekłości na każdego, kto stanął mu na drodze - pisze Robert J. Donia, amerykański historyk Uniwersytetu Michigan



Radovan Karadžić na początku lat 90. był wschodzącą gwiazdą polityki w krajach dawnej Jugosławii. Od początku zdradzał cechy dyktatorskie (zdjęcie z 1992 r.)

KARADŽIĆ. PILNY UCZEŃ MILOŠEVICIA

Serbowie, których długo nierzucająca się w oczy tożsamość narodowa stała się nagle krępująco widoczna w życiu publicznym. Niektórzy wspierali Miloševicia, Karadžića i nacjonalistów z SDS, lecz inni martwili się, że z powodu agresywnego serbskiego nacjonalizmu przedstawiciele innych nacji zaczną ich uważać za pariasów, słusznie lub niesłusznie podejrzewając o separatyzm, a nawet zdradę.

Pośród niepewności i lęku każdy dobrze poinformowany sarajewianin poświęcał kilka myśli przywódcy serbskich nacjonalistów Radovanowi Karadžićowi, tajemniczemu wschodzącej gwiazdzie bośniackiej polityki. Niektórzy słyszeli o jego poetyckich osiągnięciach z lat studenckich, inni znali go jako psychiatrę, lecz tylko nieliczni rozpoznali w nowym wcieleniu wojowniczego, krzykliwego serbskiego nacjo-

nalisty. Pod koniec lata 1991 roku zniknął wszelki ślad po przyjacielskim ojcu rodziny, którego wielu sarajewian znało - a przynajmniej tak sądzili. Pracował ciężko, rezygnując z wypoczynku. Silnie uzależniony od Miloševicia często latał prywatnym samolotem na spotkania do Belgradu, regularnie kontaktował się z prezydentem Serbii telefonicznie i posłusznie wypełniał wskazówki otrzymywane od liderów ze stolicy. Spędzał długie godziny w głównej siedzibie SDS w budynku parlamentu i do późnej nocy odbywał długie rozmowy telefoniczne z prywatnego mieszkania w sarajewskim osiedlu wysokociowców.

Równocześnie wiódł gorączkowo ożywione życie publiczne jako obiekt zainteresowania szerokiego świata. Dziennikarze odkryli, że jest charyzmatyczny, przystępny

i elokwentny. Jego zniszczona, fotogeniczna twarz pasowała do stereotypu prymitywnego bałkańskiego górala. Jego kalendarz wypełniały wywiady dla zagranicznych reporterów, konferencje z europejskimi dyplomatami, dyskusje z liderami innych partii politycznych oraz spotkania z Serbami zabiegającymi o posadę lub przyszłość.

Pod każdym względem był najbardziej znaczącym, najnowszym i najbardziej niekonwencjonalnym graczem w zróżnicowanym krajobrazie politycznym Sarajewa. Mieszkańcy z mieszaniną nadziei i niepokoju zastanawiali się, jak daleko posunie się Karadžić w narzucaniu nacjonalistycznego entuzjazmu swoim stronom i całej republice.

We wrześniu 1991 roku dyplomaci WE podjęli intensywnie wysiłki, by doprowadzić do zakończenia wojny

w Chorwacji. Przystając 2 września na wynegocjowane przez wspólnotę zawieszenie broni, JNA i chorwackie siły bezpieczeństwa otwały drogę dla wspieranych przez WE rozmów pokojowych w holenderskiej Hadze. Zarówno Milošević, jak i Tudjman z miejsca poinformowali europejskich negocjatorów, że strona przeciwna planuje prowokacje, a zarazem obaj starali się utrzymać na wodzy własne siły. Gdy tylko 7 września zaczęły się oficjalne rozmowy, Milošević zdwoił wysiłki, by pohamować uzbrojonych Serbów - z JNA, lokalnych organizacji paramilitarnych czy z policji - przed otwarciem ognia. Podobnie Tudjman powściągał własne oddziały, równocześnie w tajemnicy pracując nad sprowokowaniem serbskiego odwetu.

Pierwszy z czterech jesiennych kryzysów wybuchł w gminie Bratunac we wschodniej Bośni 3 września, pierwszego dnia chorwackiego zawieszenia broni. Na uczęszczonej drodze pomiędzy wsią Glogova zamieszkaną niemal wyłącznie przez Boszniaków (1901 na 1913 mieszkańców) a pobliską prawie czysto serbską Kravicą (357 z 363 mieszkańców) wiozący czterech Boszniaków. Napastnicy zabili dwóch mężczyzn i ranili dwóch pozostałych. Sarajewska gazeta „Oslobodjenje” nazwała ich pierwszymi ofiarami międzyetnicznych niesnasek w Bośni od drugiej wojny światowej.

Był to zaledwie pierwszy z wielu niewyjaśnionych i niejednoznacznych incydentów w tamtej okolicy. Przedstawiciele lokalnej SDS poinformowali o nim telefonicznie Koljevića i Krajišnika, a ich relacja w znacznej części została potwierdzona przez doniesienia prasowe. Kilka dni przed zasadzką przedstawiciele JNA skonfiskowali urzędnikom gminnym listy rezerwistów podlegających poborowi do wojska. W odpowiedzi Boszniacy zorganizowali protest, podczas którego - wedle oskarżeń Serbów - oddali strzały w kierunku dwóch urzędników serbskich, choć żaden nie został trafiony. Lokalni funkcjonariusze SDS twierdzili, że następnie zwolennicy SDA dokonali „inwazji” na zdominowaną przez Serbów Kravicę, choć relacje prasowe nic o tym nie wspominają. Wedle wszelkich doniesień uzbrojeni Serbowie zaatakowali w efekcie z zasadzki czterech Boszniaków, których samochód zbliżał się do Kravicy od strony boszniackiej Glogovej.

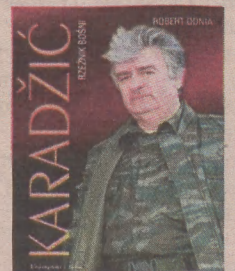
Zabójstwa w Kravicy nasiliły obawy, że Bośnia znalazła się na krawędzi wojny. Zgodnie z ustaloną praktyką bośniackie przywództwo oddelegowało swoich członków reprezentujących

zwaśnione narodowości, by uspokoił lokalne napięcia. Podśledczy telefonicznie dowiedzieli, że 4 września Krajišnik poprosił Karadžića o zgodę na wyjazd na zaproszenie Muhameda Čengića, przywódcy SDA i wiceprezydenta (zastępcę premiera) Bośni.

Szef przyznał, że obaj politycy powinni razem pojechać do Kravicy, lecz zasugerował także, by Krajišnik wykorzystał misję rozjemczą do przekazania Čengićowi starannie przygotowanego ustnego ostrzeżenia, iż Boszniacy przez swoje prowokacje narażają się na „zniknięcie”. Krajišnik miał powtórzyć Čengićowi: „Widzisz, dokąd to prowadzi, oto dokąd prowadzi twoja polityka!” oraz: „Czy zdajesz sobie sprawę, że przez to wszystko znikniecie?”. Karadžić kazał też ostrzec: „Człowieku, znikniecie. Wielu z nas zniknie także, ale wy zostaniecie unicestwieni!”.

Ostrzeżenie wskazuje na źródła wściekłości Karadžića. Jego gniew koncentrował się nie na tym, kim są Boszniacy; nie na jakichkolwiek ich cechach fizycznych czy kulturalnych jako narodu, lecz raczej na tym, czego nie chcieli uczynić. Nie uznali słuszności serbskiej sprawy narodowej; nie skapitulowali przed żądaniem Karadžića i SDS; nie zamierzali przyznać, że Serbowie zabijają, tylko jeśli zostaną sprowokowani przez polityków boszniackich. Karadžić był wściekły na Boszniaków, ponieważ przeszkadzali w realizacji utopijnego marzenia Serbów. Swoje gniew kierował głównie przeciw boszniackim liderom politycznym i elitom. Inni Boszniacy mogli zginać w ostatecznej apokaliptycznej zemście, lecz ich śmierć byłaby stratą uboczną, nieuniknioną konsekwencją uporu przywódców. Srożył się jak ktoś, kto poczuł się upoważniony do zdominowania ludzi sprzeciwiających się jego dyktatowi. Jesienią 1991 roku Karadžić wydawał się nie tyle fanatykiem, ile bandytą i aspirującym tyranem: pienił się z wściekłości na każdego, kto miał czelność stanąć mu na drodze.

KSIĄŻKA



Robert J. Donia
„Karadžić. Rzeźnik Bośni”,
tłumaczenie: Hanna Pasiarska, wyd. Prószyński
& S-ka, Warszawa 2023,
cena 99,99 zł



FOT. ADAM JASTRZEBOWSKI

Biblioteki pozostają ostojami czytelnictwa. Na zdjęciu - wewnątrz Biblioteki Raczyńskich, w której nie odnotowano spadku liczby czytelników, a przeciwnie - wzrost.

POŻEGNANIE Z KSIĄŻKĄ. CZYTELNICTWO UMIERA?

Dla części to ucieczka w inny świat. Dla innych - strata czasu. Pierwsi czytają bez przerwy, ostatni wzruszają ramionami. I już od pewnego czasu są w przewadze.

Marta Jarmuszczyk

Dla jednych czytanie jest jak oddychanie. Równie niezbędne i oczywiste, czytają od kiedy nauczyli się samodzielnie składać litery w słowa. Inni w swoim życiu nie przeczytali żadnej książki. A jeśli nawet, to dawno. Często jeszcze w szkole. I takich osób dość szybko przybywa.

Według badań Krajowego Instytutu Mediów, aż 56 proc. Polaków nie przeczytało w ciągu roku ani jednej książki. Przez 15 lat, od 2008 roku odsetek nieczytających książek w ogóle wzrósł o 18 punktów procentowych. Z czego wynika ta statystyka?

Czytający przyczyn szukają w cenach książek, zniechęcającym przymusie czytania lektur i niedopasowanym do współ-

czesności kanonie, ofercie rynku wydawniczego, zdaniem jednych zalewającego czytelników przeciętnymi, masowymi produkcjami, zdaniem drugich - tak obfitym, że łatwo się na nim zagubić.

Nieczytający? Tak naprawdę to oni mają klucz do rozwiązania tej zagadki.

Strata czasu

Damian, student politechniki otwarcie przyznaje, że nie lubi czytać książek, nie robi tego i... nie zamierza.

- Czas poświęcony na czytanie wolę przeznaczyć na inne aktywności - mówi. - Często włączam po prostu serial lub muzykę, ponieważ wtedy mogę jednocześnie chociażby przygotowywać projekty na studia i czuję, że czas upływa mi wtedy przyjemniej - podkreśla.

Nie czuje się wyjątkiem. Jak twierdzi, w jego otoczeniu wiele osób stawia na inne formy przekazu, między innymi seriale, a zamiast książki wybiera jej adaptację filmową.

- Nie lubię czytać, bo mam też problem ze skupieniem. Żeby zrozumieć odpowiednio dany fragment tekstu, często muszę przeczytać go co najmniej dwa razy i to mnie zniechęca - mówi Damian. - Wybieram raczej krótkie formy tekstowe, a dużo czasu pochłania telefon, w którym najczęściej czytam krótkie publikacje dotyczące różnych tematów. Nawet kiedy jakiś naukowy film ma więcej niż 20-30 minut, to często go pomijam, bo jest dla mnie zbyt długi - wyjaśnia.

Jak przyznaje, ograniczenie korzystania z różnych urządzeń

elektronicznych poprawiło jego koncentrację.

- Podczas przygotowań do obrony mojej pracy inżynierskiej odłożyłem telefon, odstaawiłem telewizję i inne rozpraszające mnie rzeczy. Wtedy dopiero poczułem, że mogę się skupić na czytaniu i to było coś naprawdę przyjemnego. Staram się teraz coraz częściej ograniczać użytkowanie tych urządzeń - mówi.

Czy otworzy mu to drogę do książek? Dziś sam nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Droga bez nagrody

O tym, że czujemy się przebodźcowani, mówią zarówno stroniący od książek, jak i ci, którzy lekturze poświęcają całkiem sporo czasu. Natłok krótkich form przekazu stał się tak duży, że nie możemy znaleźć przestrzeni w swoim umyśle, aby przyswoić dłuższą treść. Zdaniem psycholożki Agnieszki Lewicz-Durki sprawa jest bardziej złożona.

- Nie jest to może do końca przebodźcowanie, ale na pewno jesteśmy przyzwyczajeni do pozyskiwania gotowych informacji, a książka wymaga poszukiwania i skupienia - twierdzi specjalistka. - Problemem jest brak umiejętności samodzielnego myślenia, refleksji i koncentracji. Część ludzi nie ma takiej potrzeby i nie czerpie przyjemności z tego, że samemu myśli, skupia się na tym i poświęca czas. Tym niemniej narody takie jak Czesi, Szwedzi czy Skandynawowie, pomimo nadmiaru informacji w internecie, wskaźnik czytelnictwa mają wyższy niż w Polsce.

Problem natłoku informacji nie jest zatem stuprocentowym wy tłumaczeniem spadku czytelnictwa w Polsce.

- Ludzie zapewne chcą myśleć, ale nie widzą przyjemności z tego, że wyrażają własną opinię, a wolne i samodzielne myślenie nie jest nagradzane - mówi psycholożka.

Istotną kwestią wskazaną przez psycholożkę jest dbanie o poziom czytelnictwa wśród młodzieży w szkole.

- Myślę, że powodem, dla którego Polacy nie czytają, może być fatalna edukacja. Mamy jeden z najgorszych sposobów nauczania, być może najgorszy w Europie. W polskim systemie edukacji jest przymus wykuwania na pamięć i przymus czytania fatalnych lektur. Uczniowie nie mają wyboru ani tego, czego się uczą, ani tego, co czytają - mówi Agnieszka Lewicz-Durka.

Przez kanon do serca?

Zdaniem Damiana obowiązujący kanon lektur z pewnością nie stanowi dobrej podstawy do zaprzyjaźnienia się z książką.

- Przymus czytania konkretnych lektur w szkole podstawowej czy dawnym gimnazjum, ponieważ zniechęcił mnie do czytania. Mam wrażenie, że w spisie książek znajdują się albo

publikacje fantastyczne, albo całkowicie poważne - tłumaczy Damian. - Przez cały okres nauki znalazła się jedna lektura, od której nie mogłem się oderwać - „Pan Samochodzik i Templariusze” - były tam opisy architektury, budynków, co od zawsze mnie interesowało, ale np. w „Opowieściach z Narnii” występowało zbyt wielu bohaterów, aby to wszystko zrozumieć. W liceum również pojawiały się książki poruszające poważne tematy, ale umieszczanie tego typu pozycji w spisie lektur było zrozumiałe i moim zdaniem słuszne ze względu na wiek dorastania, w którym byliśmy i konieczność rozwoju osobistego.

Czy zatem kanon lektur powinien zostać zreformowany? I czy rzeczywiście jest on konstruowany na zasadzie przeszkakiwania ze skrajności w skrajność?

Zapytaliśmy o to nauczycielkę języka polskiego w jednej z poznańskich szkół.

- Jest coś takiego jak kod kulturowy, który trzeba uszanować. Jest pewien kanon lektur, który młodzi ludzie muszą poznać. Oczywiście, są niektóre teksty, które w spisie obowiązkowych lektur mogłyby nie występować, jednak znajomość innych zapewnia ciągłość wspomnianego kodu kulturowego w społeczeństwie - wyjaśnia.

Nauczycielka stawia tezę, że problem nie tkwi w samym kanonie lektur, ale istotne jest za to jak wartości, które on niesie, zostaną podane.

- Problemem jest sposób, w jaki kanon powinien zostać przekazany - mówi polonistka. - Nie wychodzę z założenia, że każdy musi paść na kolana przed „Panem Tadeuszem”, ale bywają takie przypadki, że uczniowie sceptycznie nastawieni do lektury po przeczytaniu są zachwyceni. Trzeba pamiętać, że mówi się do młodych ludzi i chociaż część z nich ten przekaz kupi.

Zdaniem polonistki wyzwaniem, które staje przed nauczycielami, jest sposób rozmowy o przeczytanych książkach. Scen jak z filmu „Stowarzyszenie Umarłych Poetów” raczej próżno szukać w polskich szkołach. Czy tego chcą uczniowie?

- Kiedy omawiam z uczniami lekturę, szukam odwołań do życia codziennego. Pragmatyczne podejście pozwala im odnaleźć się w konkretnej sytuacji przedstawionej w utworze. Choćby mały fragment ich dotyczący może być powodem do zajęcia konkretnego stanowiska, a wtedy wywiązuje się dyskusja, o którą właśnie powinno chodzić - tłumaczy polonistka.

Gdy chodzi o sam system nauczania w polskiej szkole, przykładający największą wagę do pamięciowego opanowania materiału, ponieważ zgadza się z Agnieszką Lewicz-Durką.

- Uważam, że nie jest najważniejsze, żeby uczniowie

znali szczegółowe opisy postaci czy miejsc. Dla mnie ważna jest rozmowa, która zmusza młodych ludzi do myślenia i uczy ich tego, a na tę rozmowę, niestety, brakuje czasu. System edukacji powinien zatem być odchudzony, aby ze spokojem można było wchodzić w świat lektury i odnajdywać się w nim - tłumaczy polonistka. - Sama widzę, że za czasów mojej edukacji w szkole dawano więcej swobody w myśleniu niż dzisiaj. Pisaliśmy wypracowania na dany temat i sami wówczas dobieraliśmy lektury. Teraz, niestety, testy - nie jestem ich zwolenniczką - oraz system oceniania wypracowań ucznia schematycznego myślenia - wyjaśnia.

I dodaje, że brak rozmowy i swobodnego pozatestowego myślenia odsuwa uczniów od książek.

Czytają i... przestają

Paradoksalnie to młodzież właśnie podnosi statystyki czytelnictwa. I sięga nie tylko po lektury. Pokazują, że najchętniej czytana literatura są gatunki przeznaczone właśnie dla młodzieży.

- Z tego co można zauważyć, coraz popularniejsza staje się literatura z kategorii young adult i książka dziecięca. Tytuły te królują na listach bestsellerów. Trendy uległy dość dużej zmianie na przestrzeni ostatnich kilku lat - tłumaczy Daniela Skowronek z wydawnictwa Rebis.

Faktycznie literatura dla tzw. młodych dorosłych, czyli nastolatków i osób nieco starszych znajduje się na szczytach list sprzedażowych księgarń. Nietrudno się domyślić, że sięgają po nią w większości osoby, do których jest skierowana. Czy można traktować to jako dobry znak, a czytająca młodzież będzie darzyć książki sympatią w dorosłym życiu? Pokażą to statystyki w kolejnych latach.

Nadzieja dla czytelnictwa

Choć ogólnopolskie badania wyraźnie sygnalizują spadek czytelnictwa, to poznańska Biblioteka Raczyńskich takiego nie odnotowała.

Jak poinformowała Anna Kozłowska z działu koordynacji działalności kulturalnej i promocji BR, dzięki poznańskim czytelnikom instytucja notuje stały wzrost zainteresowania swoją ofertą. Liczba czytelników w 2022 roku w porównaniu do 2021 wzrosła w Bibliotece Raczyńskich o 12,6 proc., natomiast odwiedzin w instytucji aż o 24,7 proc. Co raz więcej ludzi wypożycza też książki. Biblioteka odnotowała wzrost wypożyczeń o 15,1 proc.

Póki co można sądzić, że biblioteki są ostoją czytelnictwa. Czy staną się źródłem jego renesansu?



FOT. MAŁGORZATA GENCA

Zdaniem ministra Piotra Glińskiego Polska po roku 1989 miała być krajem politycznie i gospodarczo całkowicie od Niemiec zależnym

PROFESOR PIOTR GLIŃSKI:

Musimy ujawniać całą prawdę o niemieckich zbrodniach, każdego dnia...

Współczesny świat jest przestrzenią bardzo silnej rywalizacji również w obszarze kultury. Bo kultura stanowi najważniejszy element tożsamościowy narodów - mówi minister kultury i dziedzictwa narodowego

Krzysztof Maria Zahuski

Historia Pomorza Gdańskiego podczas II wojny światowej jest wyjątkowo bolesna. Zwłaszcza dla nas, mieszkańców Pomorza. Niemcy wymordowali w tutejszych lasach około 14 tysięcy Pomorzan - Kaszubów, Kociewiaków, przedstawicieli polskiej inteligencji. A mimo to ten tragiczny epizod nie jest tak powszechnie znany, jak choćby mord w Katyniu, gdzie Sowieci rozstrzelali ponad 20 tysięcy polskich jeńców wojennych. Panie Premierze, dlaczego, Pańskim zdaniem, tak się dzieje?

To prawda, że tylko w Lasach Piaśnickich i w Wejherowie Niemcy zamordowali około 14 tysięcy osób. Natomiast na całym Pomorzu - w 400 różnych miejscach - ofiar niemieckich zbrodni było około 30 tysięcy. Niemcy rzeczywiście likwidowali przede wszystkim polskie elity intelektualne, kulturalne i polityczne, bo to one - zdaniem nazistowskich ideologów - były nosicielami polskiej świadomości narodowej. Jednak eksterminacji podlegali wszyscy, którzy w okresie międzywojennym przyznawali się do polskości i angażowali w działalność polonijną - zarówno społeczną, polityczną, kulturalną, oświatową, religijną, jak i sportową. Niemcy mordowali naszych rodaków całymi rodzinami - mężczyzn, starców, kobiety i dzieci. Zabijali tu zresztą nie tylko Polaków. Ofiarą padali również zwożeni na Pomorze z Rzeszy Czesi i Niemcy. Oddziały SS i miejscowy Selbstschutz likwidowały - zgodnie z nazistowskimi zasadami eugeniki i teoriami rasowymi - także nieuleczalnie chorych, pacjentów zakładów psychiatrycznych, Żydów, Romów i Sinty. Ale rzeczywistość - polskie elity były zasadniczym celem Niemców, bo oni doskonale wiedzieli, że aby obezwładnić naród, trzeba pozbyć go autorytetów i przywódców - intelektualnych i politycznych.

Jeśli zatem mówimy o 30 tysiącach ofiar na Pomorzu i zestawimy tę liczbę z eksterminacją 20 tysięcy polskich oficerów w Katyniu, to jaki mógł być powód, dla którego ten mord przez dekady był przemilczany? Zarówno w tzw. Polsce Ludowej, jak i w III RP. To rzeczywiście jest haniebane zaniechanie. Wielki wstyd dla PRL-u, ale także wielki wstyd dla III RP. Pamiętajmy, że po roku 1989 roku świadomie zaniechano budowania czy odbudowywania podstaw kulturowych i tożsamościowych polskiego narodu. I to jest straszliwy grzech - zarówno postkomunistów, jak i tzw. liberałów.

No właśnie... Dlaczego tak się działo? Dlaczego przez tyle lat

polские władze nie przypominały Niemcom pomorskich zbrodni ich przodków? Nie budowano muzeów, nie uczono o tym w szkołach...

A jaki interes mieli Niemcy, żeby przypominać Polakom o swoich grzechach, swoich zbrodniach? Jaki interes mieli Rosjanie, żeby Polacy budowali swoją tożsamość na prawdzie historycznej? Niestety, w III RP i jedni i drudzy mieli tak przemożne wpływy w naszych strukturach władzy i w mediach, że latami udawało im się wiele kompromitujących faktów przemilczać. Większość rządów po 1989 roku nie tylko nie sprzeciwiała się takiej „polityce historycznej”, ale postkomuniści i liberałowie świadomie starali się nie tworzyć ani instytucji, które by pamięć o tamtych straszliwych zbrodniach przywracały, ani tym bardziej nie upominali się realnie i skutecznie o zadośćuczynienie od Niemców. Masowa eksterminacja ludności polskich miast, pacyfikacje wsi, Intelligenzaktion, zbrodnia w lasach piaśnickich i szpegawskich, publiczne egzekucje, niewolnicza praca, porwania i germanizacja 200 tysięcy polskich dzieci, zbrodnia na jeńcach wojennych, na pacjentach szpitali psychiatrycznych, zagłada Warszawy, katownia Gestapo, obozy koncentracyjne czy wreszcie rabunek dzieł sztuki i planowe niszczenie dóbr kultury narodowej... Niestety, te przykłady aktywności niemieckich zbrodniarzy, to jedynie ułamek niewygodnej dla Niemców prawdy. Niewygodnej zwłaszcza od czasu, kiedy rząd Prawa i Sprawiedliwości wystawił im rachunek na ponad 6 bln zł za zbrodnie straty wojenne, których Polska doznała podczas II wojny światowej. Raport o naszych stratach wojennych powstał na bazie solidnych kwerend i analiz, które zespołowi wybitnych polskich naukowców, kierowanemu przez ministra Arkadiusza Mularczyka, zajęły pięć lat. I to jest właśnie nasza - racjonalna i systemowa - odpowiedź na niemiecką arogancję i próby wykręcania się od odpowiedzialności za ich niewyobrażalne wręcz zbrodnie.

Odnoszę wrażenie, że po ogłoszeniu przez polski rząd tych roszczeń, Niemcy jeszcze bardziej się usztywnili i nie widzą powodów do rozmów na temat reparacji wojennych. Co gorsza, zmianę tę widać nie tylko w ich polityce wobec Polski, lecz także w polityce unijnej, która została przez Niemców w pewnym sensie zmonopolizowana... To jest właśnie ta niemiecka arogancja czy wręcz buta, która prowadzi do narzucania niemieckiego interesu całej

Europie. Wystarczy przypomnieć choćby to, co przez ostatnie lata działo się z tak zwanymi uchodźcami - z „polityką otwartych drzwi”, w wyniku której do Europy napłynęła niekontrolowana fala emigrantów ekonomicznych. Tych ludzi, którymi Niemcy chcą się teraz z nami „podzielić”. To są działania zupełnie nieodpowiedzialne, a jednocześnie zatrważające... Inny przykład to przyjazne relacje z Władimirem Putinem i Rosją. Przecież fakt zatrudniania byłych polityków najwyższej rangi, z kanclerzem Schröderem włącznie, przez rosyjskie państwowe konsorcja jest rzeczą niewyobrażalną, niemieszczącą się w żadnych demokratycznych, „europejskich” standardach. Notabene, Schröder nie jest jedynym byłym politykiem zachodnim, który za swoją przychylną Rosji politykę, został nagrodzony sowitymi apanażami. To jest rzecz niepojęta, co się stało z Europą... I to właśnie Niemcy są za taki stan rzeczy odpowiedzialni... Ja wiem, że ktoś może się dziwić, że my tu snujemy analogie pomiędzy zbrodniami wojennymi a obecną, nieodpowiedzialną polityką niemiecką, ale te paralele same się narzucają. Jeżeli Niemcy po dokonaniu takich zbrodni nadal nie mają żadnych zahamowań, żeby narzucić nam swoją rację stanu, żeby modelować Europę według własnych fantasmagorii i twardej interesów, to jest rzecz, o której trzeba mówić. I to główno. Każdego dnia. Ostatecznie mamy przecież w Europie znowu wojnę i zbrodnie wojenne. I nie pozostaje to bez związku z latami prowadzenia prorosyjskiej polityki przez współczesne Niemcy.

Czyli rozumiem, że powodem zaniechań w ujawnianiu niemieckich zbrodni - w tym tych na Pomorzu - do roku 2015 był interes polityczno-gospodarczy Niemiec?

Niestety... Polska po roku 1989 miała być krajem politycznie i gospodarczo całkowicie od Niemiec zależnym. Dlatego m.in. zlikwidowano nasz przemysł stoczniowy czy polskie cukrownie. Dlatego też m.in. za rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz wyprzedawano masowo polskie spółki. Często za bezcen. W ten sposób „sprywatyzowano” Ciech, Telekomunikację Polską, PKP Energetykę... Tak pozbyliśmy się wielu spółek komunalnych, banków. Rząd koalicji PO-PSL sprzedał prawie tysiąc spółek skarbu państwa. W roku 2007 państwo miało jeszcze udziały w 1343 przedsiębiorstwach. Osiem lat później było ich już tylko 393. Tą rabunkową transformację własnościową powstrzymaliśmy dopiero w roku 2016.

Czemu w Niemczech nie działa się podobnie? Czemu nie zamykano stoczni, hut, kopalni? Dlaczego tylko polski przemysł ciężki musiał ulec likwidacji?

Na tym właśnie polegała niemiecka polityka wobec Polski. Uzależnienia poprzez kapitał i „soft power”. My - po okresie komunizmu i wcześniejszych zniszczeniach wojennych - tego kapitału nie posiadaliśmy. Nie mieliśmy też państwowych fundacji działających za granicą. A Niemcy to mieli. Bo mieli Plan Marshalla, dzięki któremu po wojnie odbudowali gospodarkę i stali się największą potęgą gospodarczą w Europie. Co istotne, Niemcy stały się krajem, który doskonale te narzędzia ekonomiczne nauczył się wykorzystywać. Nic więc dziwnego, że Berlinowi tak bardzo odpowiadała sytuacja, w której Polska - we wszystkich wymiarach, bo także w sensie kulturowym - rozwijała się jako państwo zależne, a nie suwerenne i autonomiczne. I również dlatego teraz Niemcy są tak wściekli, że wyrwali się spod ich kontroli. Dlatego Manfred Weber - następca Donalda Tuska na stanowisku przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej - wygaduje takie głupstwa... Ale głupstwa doskonale przemyślane, stanowiące narzędzie nacisku politycznego. A nie jest przecież jedynym prominentnym niemieckim i europejskim politykiem, który jawnie i bezczelnie ingeruje w nasze sprawy wewnętrzne - między innymi w demokratyczne procesy wyborcze.

Z punktu widzenia interesu niemieckiego to wszystko jest jasne. Ale jakie korzyści z blokowania koniunktury gospodarczej w Polsce miał Donald Tusk i jego oboz polityczny?

Postkomuniści i tak zwani liberałowie - mówię tak zwani, bo oni z prawdziwym liberalizmem nie mają wiele wspólnego - raczej z darwinizmem społecznym, postawili po prostu na kartę niemiecką. Takie postrzeganie świata pchnęło ich zresztą do koncepcji, która zakładała zależność Polski od dużego, silniejszego, zachodniego sąsiada. Przy czym ten duży zachodni sąsiad ma z kolei dużego wschodniego sąsiada, z którym robi znakomite interesy. Taka polityka w sposób oczywisty wyklucza traktowanie nas po partnersku. A przy okazji stawia nas w pozycji wasala - zarówno Niemiec, jak i Rosji. I tu na suwerenną Polskę miejsca nie ma.

Panie profesorze, wybaczy pan, ale nadal nie rozumiem, jak to możliwe, żeby elitom politycznym, gospodarczym i kulturalnym, jakiegokolwiek państwa na świecie, mo-



Istniejące od 2015 r. Muzeum Piąsne otworzono w docelowej siedzibie, w Wejherowie, 11 sierpnia tego roku

gło zależeć na tym, aby ich kraj traktowany był jak jakis bantustan? Zwłaszcza w przypadku polskich elit, wydawać by się to mogło wręcz niemożliwe. Czy po doświadczeniach zaborów, latach okupacji niemieckiej i półwieczu sowieckiej dominacji, pragnienie pełnej wolności nie powinno być oczywistym priorytetem każdego polskiego rządu?

Po II wojnie światowej polscy i sowieccy komuniści stworzyli, w miejsce wymordowanej w poważnym stopniu przez Niemców i Sowieców elity, nową pseudoelitę Polski Ludowej, tzw. „nową inteligencję”. Po roku 1989 również III RP wyhodowała swoich notabli, którzy weszli w różnego rodzaju koligacje z postkomunistami i ich dawnymi tajnymi służbami. Akcesja do tych „elit” następowała także często poprzez symboliczną deklarację, polegającą na bezkrytycznej akceptacji działań tych grup. Komuniści przez prawie pięćdziesiąt lat tworzyli swoje, całkowicie zależne od Związku Sowieckiego i niesamodzielne intelektualnie kadry gospodarcze i medialne. Postkomuna, własnie rękami byłych agentów służb, stworzyła później bardzo wpływowy koncern medialny, który z kolei wypączkował całymi sieciami powiązań towarzysko-biznesowych. Wszyscy, którzy mieli cześć mieć własne zdanie lub choćby patrzeć trzeźwo na rzeczywistość, byli rugowani i niszczeni. Natomiast potulnych ten układ sowiecnie nagradzał. To w dużym stopniu urwało się od 2016 roku.

A jak to wyglądało w obszarze gospodarczym?

Do roku 2015 polska gospodarka w dużej mierze była kontrolowana przez zagra-

niczne koncerny i - niestety - polskie grupy przestępcze, które korzystały na tym, że państwo nie działa. Proszę sobie przypomnieć te wszystkie mafie watowskie, paliwowe, śmieciowe, deweloperskie, prywatyzacyjne - cały ten nieuczciwy biznes, który po zwycięstwie Zjednoczonej Prawicy został w poważnym stopniu zlikwidowany bądź ograniczony. Dopiero przywrócenie przez Prawo i Sprawiedliwość normalnego funkcjonowania państwa dało polskim przedsiębiorcom możliwość prowadzenia uczciwego i konkurencyjnego biznesu. Przy czym należy podkreślić, że znakomita większość naszych biznesmenów to normalni, uczciwi ludzie, którzy w zderzeniu z praktykami szarej strefy nie mieli szans. Paraliż i patologia naszej gospodarki za rządów Platformy Obywatelskiej jest najlepszym dowodem na to, że gdy państwo nie funkcjonuje lub jest zdominowane przez obcy kapitał, to wygrywają nie najlepsi, lecz najsilniejsi i najbardziej cwani, często stosujący nieuczciwe praktyki. Szara strefa jest dobra jedynie z punktu widzenia interesów jej uczestników. Natomiast państwo i całe społeczeństwo na jej działalności traci. Polski cud gospodarczy ostatnich lat jest m.in. efektem likwidacji tej patologii.

Panie ministrze, jak pan uważa - czy w przypadku przegranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborów prowadzona przez ostatnie osiem lat sanacja państwa została zatrzymana czy byłaby kontynuowana przez ekipę Donalda Tuska?

Dzięki Bogu, powrót Donalda Tuska do władzy nigdy nie nastąpi. Przede wszystkim dla-

tego, że Polacy są zbyt mądrzy, żeby wybrać lenia, który będzie znowu harował w gałę zamiast pracować. Ale ważniejszy jest argument systemowy, niejako ontologiczny. PO, jako partia zewnętrzna, zależna od elit europejskich, systemowo nie jest w stanie, po prostu nie może, realizować programu dobrego dla naszego społeczeństwa. Obietnice Tuska na temat utrzymania naszych programów społecznych czy kontynuowania polityki prorodzinnej Prawa i Sprawiedliwości, nie są funta kłaków warte...

Dlaczego?

Ponieważ od niego niewiele by zależało. Tusk nigdy nie był suwerennym premierem. Gdyby na nieszczęście został szefem polskiego rządu, wróciłby do wypełniania poleceń swoich partnerów z Berlina, Brukseli i Moskwy. Tych wszystkich, którzy zresztą zupełnie otwarcie zapowiadają, że będą go wspierać w „robieniu porządków” w Warszawie. Ponadto PO jest także zakładnikiem krajowych grup interesu - tych wszystkich mafii gospodarczych, które chcą wrócić do prowadzenia przegranych przez PiS ciemnych interesów. To jest sytuacja zupełnie oczywista. Polacy nie mają alternatywy polegającej na tym, że oto pojawił się jakiś nowy, niezależny polityk, który będzie miał możliwość realizowania tego, co zapowiada. On już miał okazję pokazać, co potrafi, i jak bardzo interesuje go los Polaków. Teraz splanowałby jedynie zobowiązania, jakie zaciągnął w Brukseli i u tych, którzy go wspierają, i których on tutaj reprezentuje.

Na pewno zna pan anegdotę o Churchill, któremu

adiutant przyniósł projekt budżetu wojennego Zjednoczonego Królestwa... Premier przejrzał dokument i zapytał: „A gdzie są pieniądze na kulturę?” „Mamy wojnę, więc na kulturę, zabrakło”, odpowiedział oficer. Churchill miał podobno zareagować na to pytaniem: „To o co w takim razie toczymy tę wojnę?”

Panie profesorze, mamy amerykańską, francuską i niemiecką kulturę. I hollywoodzkie kino. Może wystarczyłoby podłożyć dubbing pod te produkcje? Współczesny świat jest przestrzenią bardzo silnej rywalizacji również w obszarze kultury. Bo kultura stanowi najważniejszy element tożsamościowy narodów. Silniejsi próbują swoją narrację narzucać słabszym. Robią to za pomocą filmu, literatury, muzyki, sztuki, nowoczesnego muzealnictwa. Poprzez kulturę można kształtować wyobrażenie o sobie albo tworzyć wizerunek swoich sąsiadów. I potrafią robić to całkiem sprawnie nawet nieduże państwa. My, niestety, wciąż mamy w tej kwestii olbrzymie zaległości przede wszystkim z okresu komunizmu. Ale nie tylko - również w czasach III RP Polska na wielu obszarach bardzo dużo przegrała. Nie wypromowała np. fenomenu polskiej „Solidarności”. My to zmieniamy, budujemy instytucje broniące i promujące polską kulturę i wizerunek. I dlatego teraz mamy tak wielki opór ze strony środowiska liberalno-lewicowego - oni mają ogromną siłę medialną i wsparcie podmiotów zagranicznych... Tak, mamy kłopot, żeby się wybić na niezależność. Zwłaszcza jeżeli chodzi o wizerunek Polski. Myślę, że w coraz większym stopniu nam się to udaje, ale

jest to zadanie niebywale trudne i wymagające czasu oraz nakładów. Między innymi dlatego, że inni od lat budowali swój wizerunek, a Polska w tym zakresie jest dla wielu państw konkurencją i zagrożeniem dla ich dobrego samopoczucia. Pozostawili nam zatem rolę niespecjalnie szlachetną. Od lat słyszymy o „polskich obozach koncentracyjnych”, o „współwinie za wybuch drugiej wojny światowej”, o antysemityzmie czy przesładowaniu Rusinów na Kresach Wschodnich. Takie historie mają nam zamknąć możliwość budowania pozytywnego wizerunku państwa i narodu, narodu, który zasługuje na szacunek i partnerskie traktowanie. Tak, to jest naprawdę bardzo trudna sytuacja, bo albo Polska będzie miała szansę na suwerenność we wszystkich obszarach, w tym w obszarze kultury, albo zrobią z nas pariasów i lokajów Europy. Prawo i Sprawiedliwość przez osiem lat buduje suwerenność i bezpieczeństwo - energetyczne, gospodarcze i obronne, ale również w obszarze kultury. I to z pozytywnym skutkiem, jak chociażby nasza ofensywa w muzealnictwie, której przykładem jest m.in. otwarte właśnie Muzeum Piąsne. Ale presja tego, co się dzieje w kulturze globalnej, tego ewidentnego kryzysu globalnej kultury na Polskę jest ogromna.

Mam pan jakąś konkretną dziedzinę na myśli?

No na przykład teatr... Przecież widzimy, co się dzieje we współczesnym teatrze, w którym coraz mniej jest miejsca na klasykę. Dlatego powołaliśmy ostatnio Teatr Klasyki Polskiej. Podejrzewam, że gdyby Polską rządziła od tej pory ekipa Donalda Tuska, już dawno zatracilibyśmy kulturową indywidualność niezależność. Polska kultura byłaby jedynie kopią i powieleniem zachodniej popkultury i modnych trendów kultury radykalnej. I to jest bardzo przykre, bo przez te wszystkie dekady nauczyliśmy się robić dobre filmy, ale wybitnych nadal nie potrafimy. Podobnie jest z literaturą, historią, sztuką, informacją, a nawet nauką... A najgorsze jest to, że do świadomości zachodniej opinii publicznej przebija się wciąż to, co nas, Polaków, dyskredytuje, o co dbają właśnie publicyści „salonu”... My te krzywdzące Polaków stereotypy staramy się prostować, ale ten proces musi jeszcze trochę potrwać. Chodzenie pod prąd popularnym i dominującym trendom wymaga czasu i determinacji. Ale warto ten trud podejmować. A determinacji i skuteczności nam nie zabraknie.

Marek Kamiński to nie tylko zdobywca biegunów, ale też odkrywca sensu wewnętrznego życia. Budowanie odporności psychicznej i niezłomnej siły to kluczowe aspekty jego filozofii, którą dzieli się z młodzieżą na Marszach Mocy

Anita Czupryn

BIEGUNY ŻYCIA MARKA KAMIŃSKIEGO

„Dla mnie jedną z ważniejszych rzeczy w życiu jest to, co zostawiamy po sobie. Niekoniecznie coś wielkiego. Ale jest to coś, co powstaje w głowie i z czego mogę być zadowolony” - powiedział mi Pan 2 lata temu. Jakie myśli dziś wypełniają Pana głowę?

Zacznę od tego, że plany były zupełnie inne - miały być wyprawy, podróże; otrzymałem propozycje udziału w wyprawach na Mount Everest czy biegun południowy. Chciałem przejść w poprzek Antarktydę, pisać więcej książek. Życie skierowało mnie w inną stronę. Czas pandemii pokazał, że znaczenia nabrała kwestia odporności psychicznej. Skupiłem się na rozwijaniu programów wspierających psychiczną odporność. Prawdę mówiąc, budowałem je zaczynając już podczas mojej wyprawy na biegun z Jaśkiem Melą. To była pierwsza inicjatywa, która zrodziła się w mojej głowie. Rozpoczęliśmy ją od organizowania warsztatów, a później pracowaliśmy nad stworzeniem aplikacji. Proces trwał trzy lata, ale efekty są tego warte. Problem braku odporności psychicznej staje się coraz bardziej palący; wiele osób doświadcza spadku kondycji psychicznej, trudności narastają w zaskakującym tempie. Odpowiadając na pani pytanie, obecnie moje myśli i wysiłki skupiają się na rozwijaniu i wdrażaniu programów wspierających odporność psychiczną. To wyzwanie, które widzę jako klucz do przetrwania ludzkości i jako fundament znaczenia życia. Brakuje nam skalowalnych, niefarmakologicznych rozwiązań dla problemów psychicznych i depresji, jak też brakuje profilaktyki i edukacji w dziedzinie zdrowia psychicznego. Pracuję nad rozwojem rozwiązań praktycznych, piszę książki na temat osiągania celów i budowania wewnętrznej

siły. To, co robię, daje mi ogromną satysfakcję, ponieważ widzę, że moje wysiłki mają realny wpływ i pomagają ludziom tu i teraz.

Na tego rodzaju aspektach będzie się skupiał Kongres Mocy, jaki organizuje Pan w październiku?

To będzie nie tylko spotkanie partnerów, lecz również miejsce debat na temat roli, jaką odgrywa w naszym życiu siła psychiczna. Jakie narzędzia i praktyki mogą nam pomóc, by być silniejszymi. Wiele z naszych działań wcześniej koncentrowało się na odporności i rezyliencji, ale stwierdziliśmy, że polska terminologia nie oddaje w pełni istoty tego, co chcemy przekazać. A chcemy, by to było bardziej aktywne, związane z osiąganiem celów i radzeniem sobie z porażkami. Z tej perspektywy powstały Marsze Mocy, projekt łączący aktywność fizyczną z pomaganiem, a także zbliżający się Kongres Mocy, planowany na 27 października w hotelu Radisson w Warszawie. To wydarzenie stanowić będzie nie tylko kolejną konferencję - bo już takie na temat odporności psychicznej przeprowadzaliśmy. Wyjątkowość polega na tym, że łączymy kondycję dorosłych jako pracowników i rodziców, ale i ich dzieci, młodzież. Współpracują z nami największe firmy, jak Forglass, Orange, Nestle, Tefal. Jednocześnie pragniemy przyciągnąć osoby zainteresowane tematem ze środowiska samorządów. Chcemy rozmawiać o tym, jak żywienie wpływa na naszą kondycję psychiczną, jak ruch może pomóc w budowaniu siły wewnętrznej, co pracodawcy mogą zrobić i jak pomóc. Nasza wizja obejmuje szerokie spektrum - od aspektów czysto psychologicznych do ściśle związanych z naszym stylem życia i dbaniem o zdrowie psychiczne. Celem jest stworzenie paneli tematycznych, które nauczą uczestników, jak kształtować odpor-

ność psychiczną w różnych obszarach życia. Szczegóły można znaleźć na naszych stronach:

www.marszmocy.com oraz
www.kongresmocy.pl.

Jeśli kongres ma się skupiać na budowaniu odporności psychicznej zarówno w kontekście osobistym, jak i biznesowym, to jakie powiązania widzi Pan między tymi dwoma sferami? Dlaczego są one tak istotne?

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że to dwie oddzielne sfery, ale w rzeczywistości łączą się w istotny sposób. Odporność psychiczna, niezależnie od kontekstu, staje się fundamentem osiągnięć i stabilności. W wymiarze osobistym potrzebujemy odporności, aby radzić sobie z wyzwaniami, stresami czy nieuchronnymi zmianami w życiu. To umiejętność, która pozwala nam trwać w trudnych momentach i kontynuować dążenie do własnych celów. Jednak gdy spojrzymy na to z perspektywy biznesowej, okaże się, że odporność psychiczna jest równie kluczowa. W dzisiejszym świecie większość z nas spędza wiele godzin w miejscu pracy. Dla firm staje się to ważnym wyzwaniem, jak również swego rodzaju okazją. Przedsiębiorstwa, które inwestują w rozwijanie odporności psychicznej swoich pracowników, tworzą zdrowsze i bardziej wydajne środowisko pracy. To z kolei przekłada się na lepsze osiągnięcia i niższe koszty związane z absencją czy rotacją kadry. Firmy coraz częściej oferują szkolenia oraz wsparcie

w zakresie rozwoju osobistego swoim pracownikom. To nie tylko inwestycja w zespół, ale też sposób na zminimalizowanie problemów związanych z brakiem odporności psychicznej. Wychodząc naprzeciw temu, HR wprowadza innowacyjne praktyki, takie jak szkolenia z zakresu radzenia sobie ze stresem czy budowania odporności emocjonalnej. Te niewidoczne, lecz istotne powiązania między osobistym a biznesowym wymiarem odporności są jak most, który łączy dwie strony. To także szansa na osiągnięcie wyższego poziomu równowagi i efektywności w obu sferach. Dlatego zdecydowanie uważam, że skupienie się na budowaniu odporności psychicznej w kontekście osobistym i biznesowym jest nie tylko mądrą strategią, ale wręcz niezbędnym elementem współczesnego życia i działalności.

Poszukiwanie sensu życia jest dzisiaj wyzwaniem, które dotyczy nie tylko młodych ludzi, ale również każdego z nas. Jaki jest pierwszy krok na tej drodze?

Proces poszukiwania sensu życia nie zaczyna się nagle, za naciśnięciem magicznego przycisku. Wręcz przeciwnie - to ewolucja myśli, której źródła tkwią w naszym doświadczeniu i otoczeniu. Dawniej sens życia wiązał się częściowo z radzeniem sobie z problemami, które były pod naszą kontrolą. Mogliśmy planować przyszłość, budować dom czy oszczędzać na edukację. Jednak obecnie zmiany, których doświadczamy, są bardziej dynamiczne i trudne do przewi-

dzenia. Pandemia, konflikty zbrojne, zmieniający się rynek pracy, a nawet postęp technologiczny - te wszystkie czynniki wprowadzają niepewność i przyczyniają się do utraty poczucia kontroli. Brak stabilności i nadmiar wyzwalaczy strachu może prowadzić do utraty sensu życia. Ludzie zaczynają odczuwać bezsilność, bo wiele z tych zmian jest poza ich wpływem. W wyniku tego pojawiają się pytania o to, co tak naprawdę warto robić i dokąd zmierzamy. Niestety, takie uczucie bezradności może prowadzić do wzrostu liczby prób samobójczych, zarówno w Polsce, jak i na świecie. Czy więc szukanie sensu życia jest jedynie filozoficznym zadaniem, które bierze się nagle? Niezupełnie. To raczej proces, który angażuje naszą psychikę i emocje. Kluczowym punktem wyjścia jest budowanie odporności psychicznej. To ona stanowi pierwszy krok na tej drodze. Dzięki wzmocnieniu odporności psychicznej jesteśmy lepiej przygotowani na stawianie czoła trudnościom. Tworzy ona fundament zdolności radzenia sobie z wyzwaniami, utrzymania stabilności w zmieniającym się świecie i podtrzymywania sensu życia. Oczywiście, to tylko początek. Proces poszukiwania sensu życia jest złożony i obejmuje różnorodne aspekty. Warto jednak zacząć od budowania odporności psychicznej jako punktu wyjścia w tej inspirującej podróży. Szeroką ofertę programów można znaleźć właśnie w naszej Akademii.

Jakie strategie wykorzystuje Pan w budowaniu i utrzymaniu własnej odporności psychicznej?

To nieustanny proces. Można by go porównać do produkcji nowych przeciwciał, które stale wytwarzamy, aby być gotowym na nowe wyzwania. Jeśli przerwiemy ten proces, utracimy odporność. Warto pamiętać, że odporność psychiczna ma wiele wymiarów,

podobnie jak to, co może ją nadszarpnąć. Właściwe odżywianie i dbanie o ciało są równie ważne, jak pielęgnowanie zdrowia psychicznego. Przykładem może być unikanie substancji szkodliwych, takich jak alkohol czy narkotyki; one mogą poważnie wpłynąć zarówno na ciało, jak i umysł. Innym przykładem jest nasze otoczenie i sposób, w jaki funkcjonujemy w pracy czy relacjach. Praca do granic wyczerpania, długotrwały stres to realne zagrożenia dla odporności psychicznej. Dlatego ważne jest wychodzenie ze strefy komfortu - zdolność do stawiania czoła strachowi, zdobywania nowych umiejętności i pokonywania barier. W moim przypadku, odporność psychiczna to także umiejętność holistycznego myślenia. Widzę ciało i umysł jako nierozdzielnie związane. Nasz umysł wpływa na ciało, a ciało na umysł. Odporność psychiczna to nie tylko tarcza obronna. To cały system, który reaguje na różnorodne bodźce i wyzwania, chroni nas przed zagrożeniami. Kiedy zdobywałem bieguny w skrajnych warunkach, przy temperaturze minus 70 stopni Celsjusza, to była konfrontacja ze strachem i wyczerpaniem. Odporność psychiczna była podstawowym czynnikiem, który umożliwił mi osiągnięcie celów w ekstremalnych okolicznościach. Stanowi ona fundament, który pozwala nam radzić sobie z nieprzewidywalnymi sytuacjami i kontynuować naszą podróż nawet w obliczu zmieniającej się rzeczywistości. To wewnętrzne narzędzie, które daje nam moc, by stawić czoła wyzwaniom z determinacją i wiarą w siebie.

Powraca Pan czasem myślą do tych skrajnych momentów ze swoich podróży, tych chwil, które kiedyś uważał za najtrudniejsze? Czy były to zarazem najtrudniejsze momenty w Pana życiu?

PROCES POSZUKIWANIA SENSU ŻYCIA NIE ZACZYNA SIĘ NAGLE, ZA NACIŚNIĘCIEM MAGICZNEGO PRZYCISKU. WRĘCZ PRZECIWNIE - TO EWOLUCJA MYŚLI

Bez wątplenia, to doświadczenia, które pozostawiają trwałe ślady i wciąż stanowią dla mnie źródło inspiracji. Jednocześnie, czy można te najtrudniejsze momenty w podróży porównać do najtrudniejszych momentów w życiu jako całości? To subtelne zagadnienie. Oczywiście, życie w cywilizacji niesie ze sobą całkowicie inne, złożone wyzwania, takie jak rodzicielstwo czy codzienne troski. Niemniej jednak, jeśli chodzi o chwile zagrożenia życia, które przeszedłem w trakcie ekstremalnych podróży, to są one jednymi z najtrudniejszych, jakie przyszło mi doświadczyć. Stanowią swoiste kamienie milowe w moim życiu. Ciągłe motywują do refleksji i pogłębiania wiedzy. Jednakże istnieje wyraźna różnica między przeżyciem a zrozumieniem. Przeżywanie chwili to jedno, ale naprawdę zrozumieć i wyciągnąć wnioski to zupełnie inna sfera. Możemy przemierzać życie, ale to nie oznacza, że w pełni rozumiemy wszystko, co się w nim dzieje. Przeszłość, tak samo jak teraźniejszość, jest nieustannie źródłem nauki i odkryć. To jak podróż w nieznaną, gdzie co jakiś czas odkrywamy nowe tajemnice. Czasami sądzimy, że historia, zarówno osobista, jak i globalna, jest już zakończona i zdefiniowana. Jednakże ta perspektywa jest często złudna. Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana i wielowymiarowa, niż moglibyśmy przypuszczać. To prawda, że zdrowy rozsądek jest ważny, ale istnieją też obszary, które przekraczają granice naszej obecnej wiedzy. Współczesny rozwój, technologia i nauka to przykłady dziedzin, które posunęły się daleko od tego, co byłoby akceptowalne dla zdrowego rozsądku nawet 100 lat temu.

Jeśli poruszył Pan temat granic, to czy istnieją granice, której Pan nie przekroczy?
Rzecz jasna, istnieje wiele takich granic. Jedną z podstawowych jest granica mojej wolności, która się kończy tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka. Istnieje wiele innych, których absolutnie nie przekraczam. Wiąże się z etyką i wartościami, takie jak np. 10 przykazań.

A jeśli chodzi o granice wytrzymałości fizycznej i psychicznej?
Tu jestem przekonany, że wiele z tych ograniczeń można przesunąć. Mimo że posiadamy naturalne ograniczenia, takie jak nasza wytrzymałość fizyczna czy psychiczna, to istnieje wiele sposobów, aby je przesunąć. Wyzwania ekstremalne, jak podróże w skrajnych warunkach, pokazały mi, że te granice są plastyczne. To jest też istotne w budowaniu odporności psychicznej - wyjść ze strefy komfortu. To umiejętność stawiania



Kamiński: Chwile zagrożenia życia, które przeszedłem w trakcie ekstremalnych podróży, są jednymi z najtrudniejszych, jakie przyszło mi doświadczyć. Stanowią swoiste kamienie milowe w moim życiu

czoła strachowi, aby zdobyć nowe doświadczenia. Właśnie to podejście pozwala mi przekraczać granice wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Większość z nich można przesunąć poprzez systematyczne wyzwanie i trening.

W dzisiejszym świecie wiele osób, w tym trenerzy, coachowie, różni nauczyciele, polecają praktyki związane z rozwojem psychicznym. Jakiego Pana podejście do tych praktyk? Wpłynęły na Pana życie?
Kiedy byłem jeszcze studentem filozofii i fizyki, sceptycznie podchodziłem do praktyk związanych z umysłem, takich jak medytacja czy joga. Wydawało mi się, że są one może nieco oderwane od rzeczywistości. Podczas ekstremalnych wypraw odkryłem, że takie narzędzia mogą mieć ogromny wpływ na wytrzymałość psychiczną. Kiedy było mi tak strasznie ciężko, że myślałem, że za chwilę umrę, to liczyłem do tysiąca. To pomagało. Nie było to nic innego, jak medytacja właśnie. Praktyki te przeszły ze sfery wyłącznie ekstremalnych wypraw do codziennego życia. Takie podejście

stało się integralną częścią mojej rutyny. Mam zasadę, że rano, po obudzeniu; zanim poświęcę czas dla świata, to najpierw poświęcam pół godziny albo 20 minut, a czasem jest to 15 minut dla siebie. Budzę się wcześniej niż domownicy, po to, żeby mieć czas dla siebie, na ćwiczenia oddechowe, medytację, jogę. Mówi się, że joga zaczyna się poza matą, podobnie prawdziwa medytacja zaczyna się nie wtedy, kiedy mamy na nią czas, ale w ciągu dnia, kiedy robię krótką przerwę, aby połączyć się z oddechem. To dla mnie nie tylko narzędzie, ale także sposób życia. Uczą mnie one odnajdywania spokoju i skupienia w codziennym zabieganiu.

Jednymi z narzędzi, o których będzie mowa na Kongresie Mocy, są słowa - ważne w formowaniu naszej psychiki. Jakiego Pana słowa wpłynęły na Pana odporność psychiczną?
Odpowiem w szerszym kontekście. Jest pewne zdanie, które uważam za prawdziwe i ma ono istotne znaczenie: granica mojego języka to granica mojego istnienia. To, jak myślimy o sobie, w jaki sposób na-

dajemy znaczenie słowom, ma ogromne znaczenie. Nie dotyczy to jedynie samego słowa, ale także tego, jakie znaczenie nadajemy danym słowom. Miłość, marzenia, rodzina - to przykłady słów, którym różni ludzie nadają odmienne znaczenia. Głęboko wierzę, że granice mojego języka wyznaczają ramy mojego istnienia. To właśnie poprzez słowa na początku stworzyłem swój wizerunek, swoją tożsamość. Słowami wykreowałem wizję siebie - filozofa, podróżnika, biegacza. I to z czasem stało się rzeczywistością. Wierzę w moc słowa i w to, że to słowo tworzy nasz świat, nas samych.

Jak brzmią konkretne słowa, które wywarły na Pana największy wpływ?
Było ich tak wiele. Często fragmenty poezji Gałczyńskiego czy piosenek Grechuty, które pomagały mi w trudnych momentach. Na przykład fragment pieśni Gałczyńskiego: „Ile listów, ile rozstań, ciężkich godzin w miastach wielu? I znów upór, żeby powstać i znów iść, i dojść do celu”. Albo słowo „timszel”. Ono bardzo mi pomogło.

„Możesz”. Też czytałam „Na wschód od Edenu” i to słowo mnie zachwyciło.

Mam więc swego rodzaju repertuar słów-amuletów, które odgrywają rolę słów mocy i dodają mi sił. Niemniej uważam, że każdy powinien odnaleźć swoje osobiste słowa mocy. To indywidualne, subiektywne doświadczenie. Warto zastanowić się, jakie słowa budują, napędzają i wzmacniają nas w trudnych chwilach. Zanim zaczniemy się nimi posługiwać, musimy zrozumieć ich moc i znaczenie - to decydujący krok w kształtowaniu naszej psychiki i odporności psychicznej.

Mam jasno wyznaczony cel, pragnę go osiągnąć, lecz przytacza mnie ilość informacji, rozprasza codzienne życie. Jak podjąć wyzwanie? Jak zacząć?
Opracowałem metodę, którą po raz pierwszy zastosowałem z Jaśkiem Melą. To pięć kroków, które stanowią solidny fundament; definiują drogę do osiągnięcia celu. Przedstawię je w skrócie. Krok pierwszy to: „Odkryj swój biegun”. To umiejętność precyzyjnego zdefiniowania celu. Poznaj siebie, zrozum, dokąd zmierzasz. Krok drugi: „Stwórz mapę drogi”. Określ kroki, toruj drogę ku celowi. To tak, jakbyś układał plan podróży. Krok trzeci: „Pamiętaj, że ważna jest droga, nie cel”. Koncentruj się na motywacji, energii, umiejętności radzenia sobie z porażkami i kreatywnością. Tu tkwi siła napędowa. Krok czwarty: „Sukces czy porażka” - to pytanie na finiszu. Wartościowe jest samo doświadczenie, zarówno zwycięstwa, jak i porażki. Krok piąty: „Poznaj samego siebie”. To niezbędne, by zrozumieć, jakie działania są dla Ciebie najskuteczniejsze. To główny czynnik do planowania kolejnych kroków. Ta metoda, choć pozornie prosta, kryje w sobie głęboką mądrość. Każdy krok to element całości, jak równanie, które skrywa swoje tajemnice przy zachowaniu właściwych proporcji. Moje doświadczenia na biegunach i podczas podróży przekonują mnie, że zrozumienie wymaga praktyki, a nie tylko teoretycznej wiedzy. Jak powiedział Antoine de Saint-Exupéry, „aby zrozumieć, trzeba stawać się”. Słowa te idealnie oddają istotę tego, by doświadczyć, zrozumieć i w ten sposób naprawdę się nauczyć. Czytanie tysięcy książek i słuchanie setek wykładów to jedno, ale zrozumienie poprzez praktykę to zupełnie inna rzecz.

Przeszedł Pan 4 tysiące kilometrów do Santiago de Compostela. Po drodze napotkana kobieta powiedziała Panu, że spotka Pan tam lepszą wersję siebie. Co znaczy dla Pana ta idea?
Dla mnie idea stawania się lepszą wersją samego siebie od-

nosi się do harmonii między tym, co nosimy w naszym wnętrzu, a tym, co prezentujemy na zewnątrz. Nasze ja wewnętrzne, autentyczne i prawdziwe, zgodne z naszymi wartościami, powinno równać się naszemu obliczu zewnętrznemu. Moje podróże były okazją do zgłębienia siebie, do zasnurzenia się we własnych myślach i uczuciach, do zrozumienia mechanizmów, które nas kształtują. W życiu codziennym rzadko mamy czas na taką intymną refleksję. To jak wyruszenie w podróż do wnętrza samego siebie, gdzie odkrywamy, analizujemy i modyfikujemy te mechanizmy, które zwykle działają w nas nieświadomie. Wartościowe jest również docenienie, że pośród naszych uczuć i przekonań znajdują się także te, które przyjeśliśmy z otoczenia. To jak zdanie sobie sprawy, że kosmos, który eksplorujemy, to nie tylko wszechświat za oknem, ale także wszechświat wewnątrz nas. Te podróże były moim sposobem na zrozumienie, że nasza wewnętrzna przestrzeń jest równie obszerna, fascynująca i pełna tajemnic, co nasz zewnętrzny świat.

Powiedział mi Pan dwa lata temu: „Najważniejsze, co do tej pory udało mi się osiągnąć w życiu, to wcale nie są bieguny, choć ich zdobycie było fascynującym doświadczeniem”. Co dziś jest dla Pana spełnieniem?
Dziś moim spełnieniem jest to, co najbardziej mnie absorbuje. Jest to dynamiczny proces, w którym się rozwijam. Znajdowanie w tym sensu to jak zgłębienie wciągającej księgi, w której każda strona odsłania nową tajemnicę. Być może jest to klucz do nieśmiertelności, nie w formie ciała, ale wpływu, jaki pozostawiamy w umysłach innych ludzi, jeśli nasze myśli, programy czy ideały będą kontynuowane. Życie jest jak niekończąca się wyprawa, a granice, które wydają się materialne czy narzucone przez świat, można przekroczyć. Poszukiwanie nowości, kwestionowanie i zgłębienie nadaje sens temu, co robimy. To jak zdobywanie tajemniczego skarbu, którego nigdy nie poznamy w całości, ale za każdym razem, gdy myśli stają w obliczu tajemnicy, tworzymy kolejny fragment większej historii. Sens życia tkwi w tych niewyjaśnionych zagadkach, w ciągłym pytaniu, poszukiwaniu wciąż nowych odpowiedzi. To ciekawość, która nigdy nie wygasa, pasja, która mnie napędza. To dziedzictwo, które chcę zostawić - nie tylko jako odcisk w piasku czasu, ale jako myśl, idee, pytanie, które będzie kontynuowane przez inne umysły. To jest dla mnie prawdziwe spełnienie - niekończący się proces odkrywania i dzielenia się tym, co odkrywam.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



Atrakcje dla dorosłych - takie jak sauna - najlepiej „smakują” w dorosłym towarzystwie

URLOP BEZ „BOMBELKÓW”

Dzieci kochamy, ale... niekoniecznie chcemy w ich towarzystwie spędzać urlop. Przed dekadą hoteli tylko dla dorosłych szukaliśmy za granicą. Teraz są już u nas.

Małgorzata Oberlan

Splajtuje! - ostrzegła mnie koleżanka, gdy ruszaliśmy z naszym pomysłem. To było ponad osiem lat temu. Okazało się jednak, że trafiliśmy w tak zwaną niszę rynkową w Polsce. Właściwie przez cały czas mamy pełne obłożenie - mówi Ewa Mieruszewska, która wraz z mężem Markiem prowadzi Siedlisko Gacanek w Borach Tucholskich.

„Siedlisko przyjazne dorosłym. Zapraszamy bez dzieci i młodzieży” - lojalnie uprzedza Gacanek wszędzie, gdzie się da - na stronie internetowej, profilu facebookowym, podczas telefonicznej informacji. I jest już jednym z wielu miejsc w Polsce, które ma taką ofertę i bez obaw przed hejtem ją prezentuje.

Dorosły urlop w Borach Tucholskich: pełen wiekowy przekrój gości

Ach, jak tu pięknie. I ta cisza, spokój... To zazwyczaj pierwsze wrażenia gości, którzy przyjeżdżają pierwszy raz do Gacanek. Potem okazuje się, że aż tak całkowicie spokojnie być nie musi. To siedlisko w gminie Cekcyn w Borach Tucholskich jest bowiem połączeniem agroturystyki z regionalną galerią sztuki. Ciekawych wydarzeń zatem tu nie brakuje, a gospodarze są nie tylko serdeczni, ale i towarzyscy.

Kim są nasi goście, pragnący odpoczynku bez obecności dzieci i nastolatków? Zdziwi się pani. To naprawdę pełen przekrój wiekowy ludzi. Od studentów i studentek (często z psami; u nas są mile widziane), przez pary i singli w średnim wieku po emerytów - opowiada Ewa Mieruszewska.

Gospodyni zaznacza, że sama bardzo lubi dzieci. Ba, nie może doczekać się wnuków i o tym mogłaby naprawdę długo rozmawiać. Wraz z mężem postawili jednak przed laty na pomysł, który w Polsce dopiero kielkował, nazywany był „zachodnią modą”, a przez całkiem spore grono rodaków bywał wówczas krytykowany. Szybko jednak się okazało, że goście spragnieni odpoczynku bez towarzystwa „bombelków” - własnych i cudzych - jest moc.

Motywacje gości bywają różne, ale to już ich sprawa. Ktoś może nie lubić hałasu. Ktoś inny dzieci lub wnuki przez cały rok ma blisko siebie i może chcieć odetchnąć od nich. Jeszcze inni, np. ludzie młodzi, są na etapie fascynacji własnym towarzystwem. W Gacanku wszyscy znajdują: spokój, piękno przyrody i borowiackiej architektury, wspomniany

kontakt ze sztuką regionu, swoje i dodatkowe atrakcje.

Jakie to dorosłe przyjemności? Ot, na przykład sauna, łódź wiosłowa na wyprawę po jeziorze czy też wiata biesiadna z grillem nad brzegiem. Bez „bombelków” dorosły człowiek może relaksować się nawet do świtu. Warunek: nie przeszkadza przy tym innym wypoczywającym.

Początki w Polsce były niełatwe. Na niektórych wylało się sporo hejtu

„Children free” lub „Adults only” - tak prosto reklamują się hotele dla dorosłych za granicą. Turcja, Włochy, Majorka, Egipt... Kierunków nie brakuje. Od wielu lat nikt nie robi tam problemu, że jakiś hotel czy pensjonat kieruje swoją ofertą wyłącznie do osób dorosłych. W Polsce ten trend rozwija się od około dekady. Dziś już na całego. Nie brakuje hoteli pięcio- i czterogwiazdkowych czekających tylko na pełnoletnich gości, ale i skromnych apartamentów czy gospodarstw agroturystycznych. Tyle że słowa, takie jak w Gacanku („Zapraszamy bez dzieci i młodzieży”) nie każdy gospodarz ma odwagę wyartykułować. Nie wspominając o spotykanych za granicą zwrotach „Tylko dla dorosłych”.

„Azyl dla dorosłych”, „Obecność dzieci należy wcześniej uzgodnić”, „Bez atrakcji dla dzieci” - takich zwrotów używa się wciąż w Polsce. Albo oficjalnie nie używa się żadnych, tylko - szczególnie w przypadku mniejszych pensjonatów czy agroturystyk - wieść rozchodzi się pocztą pantoflową. Bywa też jeszcze inaczej - hotel oficjalnie oferuje „pokoje rodzinne”, ale opis jego oferty od razu wskazuje, że dla dzieci praktycznie niczego tu nie przygotowano, nawet miniplacu zabaw.

Przed laty hotelarze startujący z ofertą tylko dla dorosłych byli narażeni na hejt. Jakies echa tamtych sytuacji być może mają zatem wpływ na dzisiejszą ostrożność w reklamowaniu się.

Hejtu doświadczył np. hotel Leda Spa z Kołobrzegu, który przed laty zmienił profil działalności ze standardowej na „16 plus”. Poprzedziło to badanie rynku. Reakcja części społeczeń-

stwa była jednak przykry. Niedawno wspominała to Monika Różewska-Chudzik, rozmawiając z Sylwią Król, dziennikarką portalu Turystyka wp.pl: „Hejt, który nas spotkał po tym, gdy staliśmy się obiektem 16+, był ogromny” - mówiła. „Oczywiście liczyliśmy się z krytyką, ale to, co się wydarzyło, było trudne do przewidzenia” - opowiada i dodaje, że personel przez długi czas musiał mierzyć się z wieloma nieprzyjemnymi sytuacjami, a także uwagami o charakterze stricte personalnym.

Czego Polak szuka na wakacjach bez dzieci? Bywa, że dorosłych atrakcji

Joanna z Torunia właśnie wróciła z Suwalszczyzny. Wraz z mężem spędzili tu wspaniały urlop w pewnym hotelu, który oferuje „pokoje rodzinne” i oficjalnie dzieci (nawet małe) przyjmuje, ale... - Byliśmy tam już drugi rok z rzędu i „bombelków” nie ma. Goście dobrze wiedzą, że taka jest specyfika tego hotelu. Po prostu żadnych atrakcji ani udogodnień dla dzieci czy rodziców z potomstwem się tu nie oferuje. Przeciwnie - gwarantuje się to, czego szukają osoby dorosłe takie jak my: ciszę, spokój, piękno krajobrazu, spotkanie z duchowością i historią. Nie znajdziesz tu żadnej zabawki dla malucha, karuzeli, huśtawki etc. Zatem przekaz oferty jest jasny - mówi Joanna.

Szukający noclegów bez dzieci goście nie zawsze marzą tylko o ciszy i spokoju. I hotelarze dobrze o tym wiedzą. Są tacy, którzy oferują (i w tym się specjalizują) sporty ekstremalne dla dorosłych. Albo kuszą wachlarzem dorosłych przyjemności typu „bogato zaopatrzone bar” lub „sauna i basen dla beztekstylowych”. W tym drugim przypadku uprzedzają wprost, że wręcz „obowiązuje zakaz noszenia strojów kąpielowych”!

Są i takie miejsca, jak wspomniany hotel na Suwalszczyźnie, ale i np. siedliska w Bieszczadach czy Beskidzie Niskim (niektóre prawie już kultowe), które dorosłych zapraszają właśnie na spotkanie z duchowością, medytację, rekolekcje, specjalne warsztaty etc. W takich okoliczno-

ściach przyrody żaden nastolatek nie wytrzyma: nie ma zasięgu, obowiązuje zasada bycia offline.

Wyrzuty sumienia, bo szukamy miejsca bez dzieci? Coraz rzadsze

W internetach zostały ślady zagorzałych dyskusji, jakie rodzący o urlopowaniu bez „bombelków” (własnych i cudzych) toczyli przed laty. Znaleźliśmy choćby taką z roku 2011, która trwała lat kilka, na bardzo popularnym forum dla matek. Rozpoczęło ją pytanie kobiety, która wahała się, czy pojechać z mężem na urlop bez dziecka i czy da się znaleźć taki polski hotel, gdzie tych ukończonych stworzeń nie będzie.

Jedno pytanie, a potem... Kilka-kaset wpisów! Najrozmaitszych. Od porad, jak jednak pojechać z dzieckiem i być zadowolonym po ostrej krytyce hoteli tylko dla dorosłych. Zrzadka pojawiały się głosy zrozumienia i wsparcia.

Tak było przed dekadą. A obecnie?

Czasy i obyczaje się zmieniają. - Błoga cisza. Spokój. Żadnych biegających, płaczących czy rechoczących bąbelków... Wychowałam trójkę dzieci, jestem już nawet babcią, a z wykształcenia pedagogiem. Naprawdę kocham dzieci, ale niekoniecznie na urlopie, na który czekam cały rok - mówi pani Joanna. Wyrzutów sumienia żadnych nie ma. I o urlopie w hotelu bez dzieci, kolejnym już, opowiada znajomym głośno i otwarcie.

Jeszcze bardziej otwarty jest Artur, trzysiętletni singiel, również z Torunia. - Dzieci nie planuję. Niespecjalnie dobrze czuję się w towarzystwie maluchów. Przynajmniej dwa razy w roku jedziemy z paczką znajomych na męski wypad. Wiesz - rower, pływanie, skałki czasem. Wieczorem ognisko i piwo. Dzieci do tego nie pasują. My nie pasujemy z tym do dzieci. Skoro są miejsca ze specjalnymi atrakcjami dla rodzin z dziećmi, to w czym tutaj problem? - pyta retorycznie.

Takich gości przybywa. Przybywa zatem i miejsc specjalnie dla nich. Zanim jednak zaczną działać pod jasnym szyldem „Adults only” pewnie jeszcze trochę wody w Wiśle upłynie.



Sielsko - anielsko jest w Gacanku, nic dziwnego, że przyjeżdżają tutaj szukający ciszy

**HISTORIA**

Księża i kapelani na wojnie
polsko-bolszewickiej w 1920 roku
str. 3

ROZMOWA

Profesor Piotr Gliński: Musimy
ujawniać całą prawdę o niemieckich
zbrodniach, każdego dnia... **str. 8-9**

**Zakupy broni dla
polskiej armii:**
to jest prawdziwa
rewolucja, o skali
której wielu nie
zdaje sobie sprawy
str. 4-5

PULS

#73

Adam Jakuć, red. naczk. „Kuriera Porannego” i „Gazety Współczesnej”

DONALD TUSK „UNIEWAŻNIA”
REFERENDUM I DEMOKRACJĘ

Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Zjednoczona Prawica ogłosiła, że razem z wyborami do Sejmu i Senatu zorganizuje referendum, a opozycja już nawołuje do jego bojkotu. W tej sytuacji należy postawić zasadnicze pytanie: Kto w Polsce faktycznie broni demokracji?

Zjednoczona Prawica chce w referendum zapytać nas o cztery kwestie: 1. Czy popierasz wyprzedzając majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki? 2. Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn? 3. Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską? 4. Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?

- Uroczyste przed wami unieważniam to referendum - odpowiedział już Donald Tusk w trakcie Rady Krajowej PO. Z kolei na łamach „Wyborczej” Wojciech MaziarSKI zaapelował: Opozycja powinna wezwać wyborców do nieuczestniczenia w referendum. A TVN już instruuje widzów, jak skutecznie nie wziąć udziału w referendum...

W sumie to nic nowego, bo Tusk i jego ekipa rzeczywiście nie miała w zwyczaju pytać o zgodę wyborców na swoje reformy (m.in. podwyższenie wieku emerytalnego, zabranie pieniędzy z OFE, obowiązek szkolny dla sześciolatek, zgoda na nakaz przyjmowania nielegalnych imigrantów).

Jednym słowem, samozwańcza opozycja demokratyczna dziś zdejmując maski i bezwstydnie pokazuje antydemokratyczne oblicze. Nie chce dopuścić do publicznej dyskusji na temat niezwykle ważnych spraw dla Polski i Polaków. Pytania referendalne są okazją dla wszystkich partii politycznych do pokazania swoich programów i pomysłów na gospodarkę, problemy demograficzne, relacje Polska - UE i bezpieczeństwo.

Zniechęcanie ludzi do korzystania z praw zapisanych w konstytucji, którą opozycja chętnie nosi na koszulkach, to jednak rzecz zdumiewająca. Przecież PO ma w nazwie przymiotnik „obywatelska”. A społeczeństwo obywatelskie to takie, które jest aktywne i „bierze sprawy w swoje ręce”.

Tymczasem w Polsce od lat mamy i tak problem z udziałem w wyborach czy referendum. U nas frekwencja w wyborach parlamentarnych (61%) wypada gorzej niż m.in. we Włoszech (63%), Hiszpanii (66%), Anglii (67%), Niemczech (76%), Norwegii (77%) czy Szwecji (84%).

Referenda nie są naszą mocną stroną. Trzeba przyznać, że polscy politycy rzadko nas pytali o zdanie w ważnych sprawach. W III RP było zaledwie pięć ogólnopolskich referendów. Najwyższa frekwencja była w 2003 roku w referendum ws. akcesji Polski do Unii Europejskiej (58,85%), frekwencja najniższa w 2015 r. w referendum w sprawie wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych w wyborach do Sejmu (7,80%). Aktywności obywatelskiej możemy uczyć się od Szwajcarów: oni w latach 2000-2018 głosowali w co najmniej 150 ogólnonarodowych referendach.

Nawet jeśli opozycja chciałaby zadać inne pytania, to powinna zachęcać Polaków do wzięcia udziału w referendum. Bo każde takie święto demokracji w Polsce jest na wagę złota. Po pierwsze, zmusza władzę do liczenia się z głosem obywateli. Po drugie, wciąga społeczeństwo do debaty publicznej i wzięcia odpowiedzialności za losy państwa. Wygląda na to, że opozycja nie chce ani słuchać obywateli, ani ich przekonywać do swojego zdania. Tusk stchórzył: woli „unieważnić” demokrację niż jej bronić.

Marcin Kędryna, publicysta

DEFILADA



Spóźniłem się na defiladę. Wyszedłem z domu niby bezpiecznie. Bolt przyjechał szybko. Ukraiński kierowca klimatyzację ustawił tak, że w aucie było dobre piętnaście stopni chłodniej niż na zewnątrz. Dość szybko się okazało, że nie ma szans na to, że bym zdążył, bo miasto stało. Znaczący samochody, a ludzie szli. W połowie drogi dotarło do mnie, że szybciej dojdę niż dojadę. Dałem się więc porwać tłumowi. Przez chwilę próbowałem jechać elektryczną hulajnogą. Niestety, ulica akurat była brukowana. A chodnikiem, między ludźmi, jechać nie szło. Ludzie szli. Rodziny z dziećmi. Z flagami. Gdyby szli w innym celu niż celebrowanie Święta Wojska Polskiego, usłyszeliśmyby pewnie, że było ich ze sto tysięcy. Albo więcej.

Spóźniłem się na defiladę. Przyszedłem, gdy przemawiał minister obrony. Po chwili skończył. W defiladach z komponentem lotniczym bardzo ważne jest pilnowanie czasu. Samolot zazwyczaj nie może się w powietrzu zatrzymać, by wyrównać obsuwę programu. Później przemawiał prezydent. Strzelały armaty. W logiczną, bo wschodnią stronę.

Dosiadłem się do znajomego pułkownika. Ostrzegł, że miejsce słabe, bo nic nie osłania przed słońcem. Odpowiedziałem, że kto ustał na Monte Cassino, przeżyje wszystko. Pułkownik służył wcześniej w Pułku Reprezentacyjnym. Byliśmy razem na cmentarzu naprzeciw klasztoru. Rocznicą jest w maju. Jest tam strasznie gorąco. Żołnierze stoją w pełnym słońcu przez całą uroczystość, apel poległych, przemówienia, mszę. Zdarza się, że padają. Nic dziwnego: ja ledwo dałem radę, choć nie musiałem stać na baczność.

Oficer obserwujący defiladę nie ma łatwo. Musi przez cały czas oddawać honory. Ręka przy czapce to nie jest naturalna dla człowieka pozycja. Widziałem różne taktyki. Twardzieli, którzy wytrzymywali cały czas, i zdroworozsądkowców, którzy raz za razem podnosili i opuszczali rękę. Wybierali wycinek Wisłostrody o szerokości jakiegoś pół metra i odsalutowywali

przez moment, kiedy salutujący trybunie żołnierz przez ten wycinek przechodził.

Po raz pierwszy defilujący pododdział wystawiły wojska od cyberprzestrzeni. Dowodzący tym komponentem bardzo ponoć przeżywał. Niepotrzebnie.

Socjalmiowe oburzenie wywołał przemarsz psów. Z przewodnikami. Ze w upale to zbrodnia. Nasz pies w upał zwykle leży. Chyba że nie leży, tylko biega. I wtedy mu upał nie przeszkadza. Okazało się później, że specjalnie schłodzono asfalt, żeby psom się lepiej szło. Ale pewnie dla oburzonych nie ma to znaczenia, bo przecież chodzi o to, żeby się oburzyć.

Byłem na wielu defiladach. Po raz pierwszy sprzęt jechał z pół metra obok trybun. Wcześniej, gdy w defiladzie występowały T-72 czy Twardo, nie było to możliwe. Gdy ich spaliny mogły zabić. Czarny dym, w nim jakieś reszki niedopalonej ropy. Ruskie czołgi to zło. Większym złem były sowieckie BWP-y (Bojowe Wozy Piechoty). Ukraińcy natłukli ich na froncie ponad osiem tysięcy. Całkiem niedawno był u nas plan, żeby je modernizować. Widziałem taki jeden zmodernizowany. Słuchający prezentacji funkcjonariusz Służby Ochrony Państwa miał wyraźny problem z zachowaniem powagi. Gdy go zapytałem, o co chodzi, odpowiedział, że widział ich tyle zniszczonych w Iraku, że trudno mu uwierzyć, żeby dołożenie nowej elektroniki w jakikolwiek sposób mogło przedłużyć ich żywot na polu nowoczesnej walki. Nie było sowieckich BWP, za to były Borsuki. Tyle lat o nich słyszałem, że miałem przez chwilę problem z uwierzeniem w to, że je widzę. A widziałem. Jechały.

Byłem na wielu defiladach. Ta była inna niż wszystkie wcześniejsze. Krótsza. Kiedy przejechały ostatnie pojazdy, przeszła grupa podchorążych z biało-czerwonymi flagami. I koniec. Nie było przebierańców, wojów z dzidami, powstańców z wystruganymi z drewna granatami, szlachty w żupanach. Było tylko prawdziwe wojsko. Z prawdziwym sprzętem. I jak nam pokazuje wojna w Ukrainie, samym pokazanym na tej defiladzie sprzętem, tym, co przejechało Wisłostrodą, na froncie można by zrobić naprawdę niezłe zamieszanie.

Generał Reudowicz, człowiek zwykle mało mówny, powiedział, że chyba po raz pierwszy w historii defilada 15 sierpnia w Warszawie była większa niż ta moskiewska, 9 maja. Takie były.

Czasami ziemia po bitwie była tak usłana rannymi, że pojazdy ewakuacyjne przejeżdżały przez przypadkiem, w chaosie, po ich ciałach

Bitwa Warszawska w sierpniu 1920 r. znana jest jako „osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata”. Symboliczną i legendarną postacią z okresu walk w obronie Warszawy stał się odważny ochotnik - kapelan wojskowy ks. Ignacy Skorupka, poległy w boju pod Ossowem 14 sierpnia 1920 r., pośmiertnie awansowany do stopnia majora i odznaczony orderem Virtuti Militari klasy 5 i Krzyżem Niepodległości (1933), w 2010 r. uhonorowany Orderem Orła Białego. Lecz nie był samotnym duchownym, kapelanem w szeregach żołnierzy broniących swojej ojczyzny. Takich jak on był Legion. Wojna polsko-sowiecka spowodowała mobilizację wielu grup społecznych. Jedną z nich było duchowieństwo. Księża diecezjalni i zakonnicy podjęli zadania kapelanów wojskowych. W całym okresie wojny szeregi Wojska Polskiego zasilili 631 księży. Stanowili oni czynnik budujący i utrzymujący morale żołnierzy na pierwszej linii frontu.

Zagrożenie ze Wschodu

Niepodległa Polska, mająca ambicje odgrywania ważnej roli w gronie państw Europy Środkowo-Wschodniej, musiała irytować wrogo nastawionych sąsiadów; szukali więc sposobów, by umniejszyć lub zniszczyć jej pozycję. Ponadto odrodzona Polska była państwem katolickim, co w komunistycznej Rosji wzbudzało nienawiść ideologiczną. Kościół w Polsce, cieszący się z odzyskanej niepodległości, nie mógł nie przeciwstawić się zagrożeniu ze Wschodu.

Polski Kościół z walczącym narodem

W czerwcu 1920 r., wobec ofensywy wojsk bolszewickich i cofania się naszych oddziałów, zaczął się exodus ludności Kresów. Do Warszawy napływali uchodźcy, z czasem coraz liczniejsi; w końcu ze stolicy też co bardziej przerażeni ewakuowali się w kierunku zachodnim. 27 lipca 1920 r. podczas Konferencji Episkopatu Polski w Jasnogórskim Sanktuarium hierarchowie poświęcili naród i kraj Najświętszemu Sercu Jezusa oraz przypomnieli, że Matka Boża jest Królową Polski. Również jasnogórcy paulini rozesłali pisma, w których wspominali o Augustynie Kordeckiego i wzywali do obrony Ojczyzny. Wielokrotnie biskupi polscy zbiorowo lub indywidualnie zwracali się też do wiernych. W liście z 7 lipca 1920 r. szczegółowo opisali, na czym polega zagrożenie bolszewickie:

„Wróg to tym groźniejszy, bo łączył okrucieństwo i żądzę niszczenia z nienawiścią wszelkiej kultury, szczególnie zaś chrześcijaństwa i Kościoła. Za jego stopami pojawiają się



14 sierpnia 1920 roku ksiądz Ignacy Skorupka zginął od postrzału w głowę podczas toczącej się pod Ossowem bitwy, będącej częścią Bitwy Warszawskiej

„DLA CIEBIE, POLSKO, KREW I CZYNY MOJE”

Byli na pierwszej linii frontu, dodawali żołnierzom odwagi i sił, nieśli duchowe wsparcie - księża i kapelani w wojnie 1920 roku.

Oprac. Jędrzej Lipski

mordy i rzezie, ślady jego znaczą palące się wsie, wioski i miasta, lecz nade wszystko ściga on w swej ślepej zapamiętałej zawiści wszelkie zdrowe związki społeczne, każdy zaczyn prawdziwej oświaty, każdy ustrój zdrowy, religijny wszelką i Kościół. [...] Bądźcie w służbie Ojczyzny ofiarni, bo tylko wielką ofiarą okupicie nadal jej wolność i siłę. [...] Dawajcie jej wasze mienie, gdy was dziś Ojczyzna wzywa, do pożyczki Odrodzenia. Dawajcie jej ofiarę z waszego życia, gdy zagrożona o nią woła. [...] wzywamy was, abyście też dali zastępy ochotnicze dla ratowania narodu i Polski. W dzisiejszym naszym

położeniu, w armii ochotniczej, obok istniejącego wojska, jest nasza nadzieja i przyszłość. Przez jej szeregi dajemy wojsku naszemu niezbędne rezerwy; wielkim czynem narodowym rozniecamy ogień zapału w całym społeczeństwie, ożywiamy nowym duchem zwątpiałe siły armii [...].

W lipcu 1920 r. kard. Kakowski zwrócił się do duchownych, domagając się od nich rygorystycznego wykonywania obowiązków duszpasterskich i obywatelskich. Metropolita nakazał proboszczom i rektorom kościołów warszawskich trwać na stanowiskach w czasie zagrożenia bolszewickiego. 10 sierpnia wy-

stosował do swoich księży apel o pozostanie w parafiach i na wyznaczonych im placówkach. „Tylko najemnik, a nie pasterz, opuszcza owce swoje w chwili niebezpieczeństwa. Gdyby jednak, co nie daj Boże, najemnik taki się znalazł i z jakichkolwiek pobudek opuścił stanowisko, obciążam go ipso facto suspensą ab officio et beneficio. Przy czym dodaję, że zbiegły kapłan na dawne stanowisko nie powróci”.

Armia Ochotnicza i kapelani wojskowi

Polski rząd w obliczu zagrożenia stolicy państwa polskiego złożył wniosek o utworzeniu Rady Obrony Państwa

z Józefem Piłsudskim na czele. Ta z kolei wniosowała o powołaniu Armii Ochotniczej, co nastąpiła 7 lipca z mocy decyzji Ministra Spraw Wojskowych K. Sosnkowskiego. Na czele Armii Ochotniczej stanął gen. Józef Haller. Wcześniej, 3 lipca, ROP wydała odezwę pt. „Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie!”. W szeregi armii mogły zgłaszać się osoby w przedziale wiekowym 17-50. Na apel Rady Obrony Państwa, podpisany przez Józefa Piłsudskiego: „Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej. Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!”, odpowiadało całe społeczeństwo. W ciągu kilku dni w szeregi Armii Ochotniczej wstąpiło ponad 100 tysięcy osób, w tym 30 tysięcy mieszkańców Warszawy.

Decyzją Marszałka Józefa Piłsudskiego ochotników wcielano do oddziałów już istniejących, „w których podnosiliby morale, a sami od starych żołnierzy uczyli się wojennego rzemiosła”. W trakcie walk okazało się to słusznym posunięciem. Do 10 sierpnia ok. 25 tys. ochotników było gotowych zasilić walczące oddziały. Był to wynik szerokiej akcji agitacyjnej duchownych, władz państwowych, samorządowych, organizacji społecznych. Zaciąg był spontaniczny; najmłodszymi ochotnikami byli piętnastoletni uciekinierzy z domu, najstarszym sześćdziesięcioletni mężczyzna. Ważną rolę odegrało zaangażowanie katolickich kapłanów i ich stosunku do sprawy narodowej, poczynając od organicznej dbałości o utrzymanie tożsamości, tradycji historycznej i kulturowej, po różne formy wspierania bezpośredniej walki zbrojnej. Biskupi, odpowiadając na apel Piłsudskiego o dobrych kapłanów, zgodzili się oddać do wojska 5 proc. kapłanów ze swoich diecezji. Wielu prefektów zgłosiło się do służby. W odezwie z 9 lipca 1920 r. kard. Kakowski wzywał kapłanów:

„Wobec powiększenia się kadrów wojskowych i płynącej stąd potrzeby obsługi duchowej, wzywam kapłanów archidiecezji do zgłaszania w Kurii Metropolitalnej swej kandydatury na kapłanów wojskowych, a tymczasem wszyscy kapłani powinni stać na powierzchni siebie przez władzę stanowisk. Całemu podwładnemu duchowieństwu polecam z jak najbardziej wyteżoną gorliwością spełniać wszystkie obowiązki pasterzowania nie tylko za siebie, lecz i za tych, co obsługiwane będą zastępy ochotnicze obrońców Ojczyzny”.

Odpowiedział na ten apel między innymi ks. Ignacy Skorupka, kapelan-ochotnik,

który stał się symbolem Cudu nad Wisłą i całej batalii z bolszewikami w 1920 r. Jego postać przesłoniła innego kapłana - ks. Stanisława Rozumkiewicza, o. Cypriana w zakonie franciszkanów konwentualnych, kapelana 36 pp Legii Akademickiej. Wymuszono na nim przejście na tyły z powodu choroby; wówczas transport sanitarny pod Lidą został zaatakowany przez kozaków, którzy zarabali szablami ks. Rozumkiewicza. Został on pośmiertnie odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i pochowany w Lidzie, skąd go później ekshumowano i złożono na Cmentarzu Orłąt we Lwowie.

Bitwa o Warszawę zwana „Cudem nad Wisłą”, w której żołnierz polski odparł bolszewicką nawałę stała się wyjątkowym egzaminem dla Polski, Polaków i również dla polskiego Kościoła. Patrząc na fenomen tamtych chwil, nie można nie dostrzec zaangażowania katolickich kapłanów wspierających żołnierzy walczących o wolność i broniących ojczyzny. Już w pierwszych oddziałach, formowanych w chwili wybuchu I wojny światowej, znaleźli się księża, pragnący nieść pomoc duchową żołnierzom niepodległości. Pierwszy kapelan legionowy, o. Kosma Lenczowski, swoją decyzję o dołączeniu do żołnierzy Pierwszej Kadrowej wyruszających z Krakowa wspominał następująco: „nie wiele stracę, gdy zginę, bo tylko życie doczesne, a mogę dużo dobrego uczynić. [...] Jakież los zgotował mi to szczęście?”. Kapelani polskich formacji niepodległościowych okresu wojny 1914-1918 towarzyszyli żołnierzom Legionów Polskich, formacjom w Rosji, Armii Polskiej we Francji, konspiratorom z Polskiej Organizacji Wojskowej. Generał Józef Haller wskazywał dobitnie potrzebę służby kapłanów: „Od zrozumienia swego zadania i patriotyzmu kapłanów zależy w dużej mierze stan psychiczny wojska, o które w czasach wojny więcej niż kiedykolwiek dbać należy, gdyż tylko siła moralna, popierająca siłę fizyczną, decyduje o zwycięstwie”. Kapelani lat 1914-1920, służąc w Wojsku Polskim, służyli Bogu i Ojczyźnie, kierując się przesłaniem sformułowanym przez honorowego kapłana I Brygady Legionów Polskich, bp. Władysława Bandurskiego, który napisał: „Dla Ciebie, Polsko, krew i czyn moje”.

17 marca 1921 r. Sejm Ustawodawczy przyjął ustawę o budowie świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie w poczuciu wdzięczności za odzyskaną Niepodległość, a także powołał Obywatelską Komisję Budowy Świątyni pod przewodnictwem kard. Edmunda Dalbora, prymasa Polski, i kard. Aleksandra Kakowskiego, metropolity warszawskiego.

KRASZEWSKI O ZAKUPACH BRONI: LUDZIE SOBIE NIE ZDAJĄ SPRAWY Z TEGO, JAKA TO JEST REWOLUCJA

– Z uporem maniaka pytam, jakie procedury zastosować, żeby wybrać coś, co jest pilnie potrzebne teraz, a nie coś, co ci ktoś obieca, że zaprojektuje i za 15 lat będzie gotowe...

Marcin Kędryna

Zauważyłeś, jak krótka była to defilada? Nie było tych wszystkich przebierańców z pikami, wojów Chrobrego, partyzantów.

Bo ta defilada miała pokazać silną białą-czerwoną. Więc to nie było miejsce dla grup rekonstrukcyjnych. Jeżeli tutaj pokazujemy coś, co ma obywateli naszego państwa przekonać do tego, że jesteśmy bezpieczni. To nie jest to grupa rekonstrukcyjna.

Na defiladzie w 2018 roku, pamiętam, że uzbrojenie, którego było najwięcej, to były pikie. Najwięcej było ludzi z dzidami. Bo wtedy nowoczesnego sprzętu nie pokazano zbyt dużo, bo go zbyt dużo nie mieliśmy.

Poza tym, jak jeździły T72 dwójki to...

Ogrom spalin, pamiętam, że na trybunie ciężko było oddychać. Wyglądało to, jak zadymianie, a to był tylko spalony olej.

Teraz czołgi jechały na pół metra od trybuny i dało się oddychać.

Wygląda na to, że rozwiązaliśmy problem śmigłowców. AW 101, AW 149, mamy Black Hawki, minister Błaszczak zapowiedział, że mają być kupione Apacze (chyba 96). Tak, wygląda na to, że mamy rozwiązany problem śmigłowców.

Mieliśmy brać te Caracale, bo zakłady w Polsce nie są w stanie zrobić niczego porządnego, a się okazuje, że jednak mogą. 7 lat minęło.

Jeszcze byśmy wszystkich Caracali nie mieli, a już tyle krajów się z nich wycofało. Pojawiają się głosy, że śmigłowce są kupowane z pominięciem jakichś procedur, a siedem lat minęło. No to pytam, to jakie jeszcze trzeba procedury wymyślić, żeby ten czas wydłużyć? A chyba powinniśmy dążyć do tego, żeby go skrócić do niezbędnego minimum.

Pytanie, komu, na czym zależy.

Właśnie. Plan zakupów jest realny i pilnie potrzebny. Od dekad o tym rozmawialiśmy. Jeśli chodzi o system obrony powietrznej, przeciwlotniczej i obrony przeciwraкетowej to mówiło się już o tym za czasów świętej pamięci Lecha Kaczyńskiego. Ludzie mówią, że procedur się nie przestrzega, to pytam, czy te procedury są adekwatne do sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Bo można narzekać na MON, że nie przestrzegał jakichś procedur, ale niech mi ktoś pokaże lepszy czołg niż Leopard i Abrams. Leopard i szczególnie Abrams są to czołgi sprawdzone w boju. Leopardy walczyły na Ukrainie. Jedynie K2 nie brały udziału w żadnym konflikcie. To z tej trójki jedyna konstrukcja z XXI wieku, ale nie są sprawdzone w boju. Ja nie mówię, że to źle, bo to jest zgrabna konstrukcja, oparta na niemieckiej technologii. K2 przypomina mocno Leoparda. Jak ktoś się nie zna, to pomyśli te czołgi. Dlatego z uporem maniaka pytam, jakie procedury zastosować, żeby wybrać coś, co jest pilnie potrzebne teraz, a nie coś, co ci ktoś obieca, że zaprojektuje i za 15 lat będzie gotowe...

Chyba że nie będzie...

Ktoś powie, że mu się nie udało. Prosty przykład konstrukcja PLO1 zrobiona z tektury, pokazywana na targach w Kielcach ładnych parę lat temu. Co z tego pozostało? Nic.

A co to było PLO1?

PLO1 to miał być pierwszy skonstruowany w Polsce czołg. Zmarnowano mnóstwo czasu, mnóstwo pieniędzy. Dziś minister obrony narodowej, który wziął na siebie ciężar modernizacji armii, podjął słuszne decyzje zakupowe. My potrzebujemy wymiany sprzętu postsowieckiego. Pilnie. Natychmiast. Zwłaszcza że do czasu ostatnich zakupów, średnio 70% sprzętu, na którym wojsko operowało, to był sprzęt radziecki.

T72, jak rozumiem, już nie mamy.



Bojowy Wóz Piechoty Borsuk na defiladzie z okazji Święta Wojska Polskiego. To jeden z najlepszych wozów bojowych. Gen. Kraszewski: Borsuk będzie kolejnym naszym sztandarowym produktem eksportowym. Państwo polskie może zarobić na jego eksporcie potężne pieniądze

To źle zabrzmiało, ale całe szczęście, że jest wojna na Ukrainie i tam je wysłaliśmy, gdzie są niezbędnie potrzebne Ukraincom, którzy z marszu weszli do nich i zaczęli z powodzeniem wykorzystywać je na polu walki. Pieniądze, które były przeznaczone na ich modernizację, lepiej alokować w Leopardy w wersji PL.

W defiladzie jechały za to Borsuki.

Na produkowanych na koreańskiej licencji podwoziach. W 2014 roku, na odprawie modernizacyjnej w MON, zaproponowałem takie rozwiązanie. Tylko ówczesny inspektor wojsk lądowych gen. Janusz Bronowicz widział w tym sens i logikę.

A inni?

*OPOWIEŚCI O OBRONIE NA LINII
WISŁY NALEŻY ODŁOŻYĆ
DO HISTORII I NAJWYŻEJ UCZYĆ
O TYM, JAKO PRZYKŁADZIE
MILITARNEGO BŁĘDU.*

mówię, że proponuję, żeby odstąpić od pomysłu zakupu PzH 2000, bo zakup samych haubic, pokazałem te zdjęcia, bez wozów dowodzenia, bez systemu kierowania ogniem, bez amunicji - to zakup zabawek. Ten zakup nie ma sensu, czego doświadczyli Chorwaci. Niemcy, jak doliczyli wozy dowodzenia, system kierowania ogniem i amunicję, to cena za PzH2000 wzrosła pięciokrotnie. Poza tym to jest bardzo ciężka haubica, za ciężka. I w związku z tym, panie ministrze, proponuję, żeby prezes Huty Stalowa Wola dogadał się z Koreańczykami i zakupił, na podstawie licencji otwartej, podwozie K9, które będzie multiplikacyjne i można je wykorzystać np. do Borsuka. Osadzimy na nich część wieżową KRABA, która jest już przygotowana, jest perfekcyjnie zrobiona przez konstruktorów z HSW. Wprowadzimy modyfikacje w postaci aparatury filtru-wentylacyjnej i agregatu prądowłórczego, żeby nie obciążać silnika głównego i będziemy mieli jedną z najlepszych haubic na świecie. Przy wsparciu inspektora wojsk lądowych, wiceministra Mroczyk powie: tak robimy. I po tym w nagrodę byłem jedynym po 89 roku szefem Wojsk Rakietowych i Artylerii, który podczas pełnej kadencji nie był awansowany do stopnia generała brygady.

To, co jechało na defiladzie chorwackiej to była właśnie PzH 2000. Duże to jest strasznie.

Za duże. Minister Mroczyk zapytał mnie na tej odprawie: co Pan proponuje w zamian? Ja

Moim zdaniem, utrzymanie w mocy propozycji zakupu PzH2000 skutkowałoby upadkiem i likwidacją HSW. Biorąc pod uwagę fakt, że już wtedy HSW była na skraju bankructwa, ponieważ cały dywizjon Krabów zrobiono z środków własnych. To był sierpień albo wrzesień 2014 roku i huta już nie miała na wypłaty dla pracowników, czyli by upadła, bo poza tym nic więcej nie robili. Kiedyś zażartowałem, że powinni mi tu pomnik postawić. Dzięki umowie na podwozia HSW dalej działa, a Polska może chwalić się Krabami na całym świecie. I to jest powód do dumy. Ponadto, jak

widać jest jedną z najbardziej prężnie rozwijających się firm z przemysłu obronnego. Choć nie jestem jakimś tam wybitnym ekspertem, ale uważam, że Borsuk będzie kolejnym naszym sztandarowym produktem eksportowym. Jeżeli Polska Grupa Zbrojeniowa dobrze to rozegra, to na tym państwo zarobi potężne pieniądze.

Borsuk, Rak, Krab, koreańskie czołgi też w Stalowej Woli.

To są miliardy. Na 30 lat mają zamówień. Po korek. I tak właśnie powinno się wprowadzać nowy sprzęt do użytkowania w Siłach Zbrojnych.

Na defiladzie nie było szturmowych śmigłowców Mi 24. Leciały Apacze amerykańskie, ale już się na nich szkolił polscy piloci. Leciały FA-50.

To jest samolot szkolno-bojowy. Słuchałem ze zdziwieniem innych ekspertów. A po co nam tyle? Chociażby po to, żeby w Polsce na tym zarobić - na szkoleniu innych. A żeby to robić, potrzebujemy więcej takich maszyn. Mamy F-16 już ładnych parę lat. Mamy lotników doświadczonych w misji w Kuwejcie, kilka zmian się przewalilo przez misję w Kuwejcie. Wykonują zadania bojowe w NATO Air-Policing. Będziemy mieli F-35. To czas najwyższy, żebyśmy otworzyli centrum ekspercko-szkoleniowe dla lotników z NATO i UE. Skoro Grecy mogli, to dlaczego nie my? Ucieszyło mnie, gdy usłyszałem, że MON ma ideę, że będziemy tworzyli centrum eksperckie dla Himarsów. Będziemy mieli najwięcej Himarsów i haubic 155 mm w Europie i będziemy na tym zarabiać pieniądze, bo w państwach natowskich na takich ośrodkach zarabia się dużo pieniędzy poprzez szkolenie innych. Proszę popatrzeć, jaką część wydatków na sprzęt zajmują szkolenia. Posiadając nowoczesne centra szkoleniowe, wyposażone również w symulatory i trenerzy, będziemy w obszarze zainteresowania wielu państw

sojuszniczych. To samo dotyczy również śmigłowców.

Słychać narzekanie, że się zadłużamy, a zaraz się okaże, że dzięki naszej zbrojeniówce zacznemy zarabiać potężne pieniądze.

No tak, zadłużamy się, ale ten sprzęt wojskowy jest nam teraz pilnie potrzebny. Z drugiej strony OK, możemy się nie zadłużać, ale wtedy zabraknie na służbę zdrowia, na świadczenia emerytalne, na rozwój szkolnictwa itd. Bo my musimy to kupić. Ale Polska Grupa Zbrojeniowa będzie jednym z głównych motorów napędowych naszej gospodarki, państwowej i prywatnej. Będziemy sprzedawać uzbrojenie. W ten sposób będziemy spłacali ten dług zaciągnięty wobec np. Korei. Druga sprawa - twórzmy centra szkoleniowe, np. mając potencjał FA-50 robimy w Dęblinie, w Mińsku Mazowieckim dla śmigłowców, w Mirosławcu dla BSP, gdzie będą przyjeżdżali i będą płacili za to, że będą się szkolili na polskim sprzęcie. Stwórzmy bazę w Toruniu, gdzie będą szkolili się na Himarsach i na 155. Robimy to. Problemem będzie liczba poligonów - okazuje się, że mamy ich za mało.

Mamy kilka.

Zbyt małych. Kupiliśmy ATACAMS-y. Gdzie będziemy z nich strzelać na 300 kilometrów?

Kiedyś się jeździło do Kazachstanu.

Na Kapustin Jar, poligon do dziś istniejący.

No to będziemy jeździć na Ukrainę.

Daj Boże.

General Reudowicz, podsumowując defiladę, powiedział, że po raz pierwszy w historii była większa niż ta w Moskwie.

No tak, warto też zauważyć, że od wielu, wielu lat nie musieliśmy z defilady zholowywać żadnego sprzętu. A Rosjanom rozkraczyła się najnowsza Armata.

Jak to było z planami obrony Polski? Jeszcze kilka lat temu mieliśmy się bronić na Wiśle czy na Warcie nawet?

Generalnie zakładano, że oddajemy ziemię do Wisły. Wisła to jest ostateczna rubież obronna. I od tej rubieży zaczynamy, wspólnie z siłami wzmocnienia Sojuszu, w której tam dobie walki odzyskiwać teren.

To znaczy, że Warszawa jest na linii frontu, czyli generalnie zakładamy jej zniszczenie?

Tak. Znaczący to nie było wprost powiedziane, ale per analogia należy tak przyjąć, że Białystok jest zrównany z ziemią, Suwałki, Przesmyk Suwalski, Brama Brzeska i Brama Prze-

myska, czyli Przemysł, Lublin, Rzeszów narażone są na największe straty.

Zakładaliśmy, że walkę zaczynamy prowadzić dopiero na naszym terenie.

Koncepcja była taka, że my wpuszczamy, stwarzamy przestrzeń do rozwinięcia wojsk Sojuszu i stwarzamy warunki do wykonania przeciwuderzenia przez NATO.

Jak to w Niemczech nazywano - skracanie frontu?

Chodziło o to, żeby wpuszczając przeciwnika na własne terytorium, wykrwawić go maksymalnie, dać czas na przyjęcie sił wzmocnienia Sojuszu i stworzyć im warunki do tego, żeby rozwinęły się do przeciwwuderzenia.

Czyli, by przy braku planów ewentualnościowych NATO, w którym dniu wojny miały się te wojska pojawić? 180?

No jakoś tak wychodzi. Pamiętajmy, że wtedy NATO nie patrzyło na swój obszar odpowiedzialności przez pryzmat pełnoskalowego konfliktu, bo wszystkie predykcje dotyczyły jakiegoś lokalnego małoskalowego, o małym nasyceniu, nawet nie tyle konfliktu, co walki pomiędzy jakimiś tam grupami etnicznymi. Ćwiczyło scenariusze lokalnej wojny o ropę itp. Był to czas, kiedy NATO, świat zachodni patrzył na siły zbrojne przez pryzmat misji poza granicami kraju - misji stabilizacyjnych i pokojowych. I był to czas, gdzie wiele państw zachodnich, w tym niestety też Polska, powiedziało sobie, że tak duże siły zbrojne są niepotrzebne, bo pokoju na świecie nie zaprowadza się ciężką artylerią, jeszcze cięższymi czołgami. Podjęto proces redukcji jednostek wojskowych, przekształcania z brygad w pułki. Pułki byłyby silniejsze, większe niż brygady. Tworzono takie byty, dziwolągi, na świecie nikt nie mógł tego zrozumieć. Nie mówię tylko o Polsce, ale podam przykład Beneluxu. Holendrzy i Belgowie wyprzedali wszystko, cały prawie sprzęt. Teraz Holendrzy albo Belgowie - nie pamiętam - leasingują te same czołgi, które kiedyś sprzedali.

W sumie jest to logiczne. Kto miałby ich napaść i kądędy? Anglicy przez kanał czy Francuzi?

Czy Hiszpanie.

Hiszpanie już tam kiedyś byli...

Gdy w 2014 nastąpił niespodziewany atak Federacji Rosyjskiej, wszyscy zachłystnęli się wojną podprogową, hybrydową. A to jest to samo, co od wieków zna sztuka wojenna. Tylko że wcześniej nazywano to myleniem, wprowadzaniem w błąd, dezinformacją, teraz modnie brzmi

wojna hybrydowa. Świat zachodu podzielił się na tych, którzy patrzyli na wschód, i tych, którzy patrzyli na południe. Polska, na szczęście, zaczęła wieść prym w dwóch ważnych inicjatywach, czyli B9 - Bukaresztańskiej dziewiątki i najważniejszej dla nas - Trójmorza. Inni koncentrowali się na problemie uchodźców, mówiąc: słuchajcie, radźcie sobie jakoś, wytrzymajcie. NATO zajmowało się problemami Turcji, Włoch, Grecji, Hiszpanii. Jakoś wzmacniano flankę wschodnią, ale to były śladowe ilości. Dopiero dzięki ciężkiej pracy prezydenta Dudy udało się doprowadzić do tego, że amerykańska brygada zaczęła stacjonować rotacyjnie na terenie lubuskiego i dolnośląskiego. I do stałej obecności wojsk NATO na Przesmyku Suwalskim. Zaczęto wtedy dużo mówić na temat Przesmyku. General Hodges, już wtedy emerytowany, zaczął mocną kampanię opowiadając, jak strategicznie ważny jest Przesmyk Suwalski. No i stało się. 2022 rok. Po drodze były różne inicjatywy. Szczyt NATO w Warszawie przyniósł wiele dobrego dla podniesienia poziomu bezpieczeństwa. Bo nagle zorientowaliśmy się, że nie mamy wystarczających zdolności obronnych.

My jako NATO, czy my jako Polska?

My jako Polska. NATO to jest planowanie i struktura stanowisk dowodzenia, a siły zależą od państw członkowskich. I są standardy, do których trzeba dążyć. Zorientowaliśmy się, że trzeba przystąpić do natychmiastowej odbudowy tych zdolności. Gdyby nie inicjatywy Trójmorza i B9, sytuacja 2022 roku mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. Mówię o dwudziestym czwartym lutego. Moim zdaniem te inicjatywy doprowadziły do, po pierwsze, konsolidacji naszych sąsiadów, po drugie do chyba najsilniejszej w dziejach relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Zaczęliśmy odbudowywać zdolności obronne. Ale nie zrobimy tego w ciągu dwóch lat, bo to trzeba kilkunastu lat na to, żeby powiedzieć, że niebo mamy bezpieczne, są silne wojska lądowe, mamy Marynarkę Wojenną dobrą na tyle, na ile ona nam jest potrzebna. Mamy jedne z najlepszych, jeśli nie najlepszych, wojska specjalne i mamy dobre relacje z sąsiadami.

Może nie ze wszystkimi.

Mówię o B9, o krajach Wschodniej Flanki NATO.

Rozumiem że nastąpiła zmiana podejścia. To jest niesamowita rzecz, że my historycznie wiemy, co to znaczy, przejście przez nas armii rosyjskiej, radzieckiej. Wiemy, co to znaczy, z czym się to wiąże. Pomysł

na to, że oddajemy wszystko do linii Wisły, sprawia wrażenie tak jakbyśmy o tym nie pamiętali.

Podjęliśmy decyzję, że nie możemy sobie pozwolić na coś takiego. Musimy pamiętać o tym, że wojnę musimy prowadzić na wschód od naszych granic. Zaczęliśmy zakupy sprzętu. Nie ma czegoś takiego, jak czołg ofensywny i defensywny. Nie ma czegoś takiego, jak haubica ofensywna i defensywna. Ta haubica i ten czołg służą jednemu - zabijaniu. Możemy powiedzieć o tzw. dobrym zabijaniu.

Nazwijmy to niszczeniem siły przeciwnika.

Dobra, niech będzie bardziej humanitarne. I teraz dzięki zakupom sprzętu, mamy takie zdolności, że byłoby poważnym albo wręcz karygodnym błędem strategicznym, jeżeli byśmy dalej utrzymywali, że będziemy bronić linii Wisły. Absolutnie nie. Będziemy bronić linii Bugu. Wiem, że ciężko jest politykom to mówić, bo NATO jest z natury sojuszem defensywnym, ale obrona polega na niszczeniu celów, czy to w obrębie Obwodu Królewieckiego czy Białorusi. Nie zamierzamy nikogo atakować. Wojna nie jest kwestią jednego dnia. Czyli ona nie wybuchła jako totalne zaskoczenie. W tej chwili przy rozpoznaniu satelitarnym wszystko widać. I jeżeli ktoś rozmieszcza elementy gotowe do natychmiastowego użycia, trzeba temu komuś wyraźnie dać do zrozumienia: chłopie, kilometr dalej i nie będziemy czekali. I taki jest przekaz. Prezydent Biden i całe NATO mówi, że nawet centymetra kwadratowego terytorium nie oddamy. A to znaczy, że przeciwnik powinien myśleć o tym, że zaczniemy razić, już wtedy, gdy sytuacja eskaluje.

Jeżeli żołnierz przeciwnika postawi stopę na terenie NATO, to znaczy, że całe kwadratowe pod stopą są już oddane.

Tak. Więc uważam, że musimy reagować wcześniej. Przeciwnik prowadząc dezinformację będzie mówił, że to my byliśmy agresorem.

No tak, ale to właściwie to jest bez znaczenia. Cała rzecz polega na tym, że tu nie o moralne zwycięstwo chodzi. Chodzi o zwycięstwo realne.

Dokładnie. Ale też zwycięstwo realne wcale nie musi być związane bezpośrednio z tym, że my tam zagony pancerne wysłamy, eskadry lotnictwa, które wykonają zmasowane uderzenia. Można to inaczej rozegrać i pokazać przeciwnikowi: „naprawdę wam się nie oplaca”.

Czyli po to kupujemy rakiety, po to kupujemy czołgi, które strzelają dalej niż te radzieckie? No i mają lepsze pancernie i są szybsze i działają dłużej, bo

mają więcej paliwa i silniki mniej paliwożerne.

Poza tym jesteśmy w innej sytuacji, bo wiemy, że większa część opowieści o tej drugiej armii świata, która stała się drugą armią na Ukrainie, jest nieprawdziwa. Opowieść o tym, że oni nam zniszczą wszystko, swoimi raketami, w ciągu pierwszego dnia, pierwszych 15 minut, okazała się niezbyt spójna z rzeczywistością. Trzeba jednak pamiętać, że rosyjski potencjał jest wciąż bardzo duży. I jeżeli Rosja zaatakuje całym swoim potencjałem, to wystrzelanie ich nie będzie takie proste.

No tak, tylko że zanim oni tę masę przetrzucą...

Będziemy o wszystkim wiedzieli. Wracamy do początku. Opowieści o rubieży ostatecznego załamania natarcia przeciwnika na Wiśle należy odłożyć do historii i najlepiej nikogo nie uczyć na ten temat.

Raczej uczyć i pokazywać, że to nie tak.

Uczyć jako o przykładzie błędu militarnego.

Ta koncepcja była efektem decyzji politycznych.

Oczywiście, że to był efekt decyzji politycznych. Nie używaliśmy nazw państw, z którymi byśmy walczyli, pokazywaliśmy, że jesteśmy defensywni, że bronimy się na obszarze naszego terytorium itd. Wojsko jest zawsze elementem będącym w rękach polityków. Problem polega na tym, że w Polsce ani politycy nie potrafią rozmawiać z wojskowymi, ani wojskowi z politykami.

Polityk, który zostaje ministrem obrony narodowej, szybko się orientuje, jak krzyknąć, jak paru generałów wyrzuci, to i temat jest załatwiony. Wojsko jest jego.

Kończy się to tak: Minister pyta, panie generale, czy jeżeli obniżymy liczbę sił zbrojnych do jednej trzeciej, obronicie Polskę? Obронimy! A jak któryś powie prawdę, że się tego nie da zrobić, to natychmiast zostanie zwolniony. Tak to wyglądało.

Przez całe lata obowiązywała doktryna, że jeżeli wojna wybuchnie, to i tak jesteśmy gdzieś, więc lepiej pieniądze na zbrojenia wydajmy w sposób oplacalny politycznie. I teraz, chyba po raz pierwszy w historii, jest podejście nieco inne.

Mam wrażenie, że to nie jest wystarczająco rozgrywane komunikacyjnie. Że ludzie sobie nie zdają sprawy z tego, jaka to jest rewolucja.

Widziałem ten tłum, który oglądał defiladę. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, to nie jest impreza, gdzie ci

chodzą ludzie z dzidami. Jedzie sprzęt, który, po tym, jak obserwujesz wojnę na Ukrainie, sam ten konkretny sprzęt, te kilkadziesiąt pojazdów mogłoby zrobić niezłe zamieszanie na froncie. Ile tam jechało Himarsów? Szczęść.

Mówi się, że dziesięć Himarsów zrobiło Ukraincom ofensywę. Szczęść to spora liczba. Myślimy nie mieli niczego, co by strzelało na odległość większą niż 40 kilometrów, więc to jest już to coś, co może zrobić duże kuku.

Nowe czasy.

A przecież wiadomo, że będzie to napływać. Mnie denerwuje, gdy słyszę narzekania, że to będzie napływać latami. Ale to przecież nie jesteśmy Ukrainą. Nie jesteśmy na wojnie. Jesteśmy w NATO. NATO jest zobowiązane do tego, żeby tu przyjechać, jakby co.

Więcej, po raz pierwszy w historii NATO przygotowuje się do tego.

Tak. Mało tego, przecież sami widzieliśmy jak było. W 2016 roku przyjechało do Polski 1000 Amerykanów i myślimy szaleli ze szczęścia. I się modlili, żeby powstał Fort Trump - jakaś ich baza. A teraz jest ich przeszło 10 tysięcy. Nikt nie mówi o Forcie Trump. A de facto taki fort jest w Rzeszowie, w Jasionce. I patrzmy na to. Nie patrzmy, że dwa śmigłowce na minutę wleciały. Bo nie jest tak, że co sto, dwieście metrów stoi żołnierz z Gatlingiem (działkiem wielolufowym) i czeka, aż mu coś wleci przed lufy, wystrzeli w minutę trzy tysiące pocisków i na pewno w coś trafi. Zresztą pytanie, czy była to prowokacja, czy poziom wyszkolenia pilotów jest tak mizerny, i oni po prostu nie wiedzieli. Ja uważam, że drugie jest bardziej niebezpieczne.



Jarosław Kraszewski General brygady, artylerzysta. Dowodził 23. Śląską Brygadą Artylerii w Boleśławcu i Wielonarodową Brygadą w Lublinie, był szefem Wojsk Rakietowych i Artylerii Wojsk Lądowych, dyrektorem Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego.

W jakimś momencie przed wrześniem 1991 roku Karadzić przeszedł osobistą i polityczną przemianę. Jej dowody można dostrzec w jego przemówieniach, wyobrażeniach i działaniach z września, kiedy dał się ponieść wściekłości wskutek konfrontacji z rywalami. W miarę jak rosła jego frustracja wywołana brakiem kontroli nad przebiegiem wydarzeń, zaczął je interpretować w wypaczony sposób i z głębokim cynizmem patrzeć na intencje swoich przeciwników. Fantazjował o zniknięciu Boszniaków en masse, zdradzając bezduszną obojętność wobec życia nie-Serbów. Jego mroczne, gorzkie urojenia miały wywrzeć doniosły wpływ na przyszłość Bośni, a szczególnie Boszniaków.

Sarajewo, przybrany dom Karadżicia, zmienia się w rytmie pór roku. Zgodnie z rytuałem, zdawałoby się równie odwiecznym jak okoliczne wzgórza, liczni mieszkańcy miasta co roku we wrześniu powracają z leniwych wakacji na wybrzeżu Adriatyku, by ponownie napełnić je pulsującą energią. Zwykle po powrocie z wakacji zastają niemal takie samo, jakie opuścili latem. Tymczasem jesienią 1991 roku przybyli do Sarajewa pełnego złowróźbnych pogłosek i narastających napięć politycznych.

Niepokój wisiał w powietrzu, a co bardziej zorientowanych politycznie zaczął ogarniać strach. Gospodarka pikowała. Poczucie bezpieczeństwa malało w oczach. Z cienia wyszli gangsterzy dopuszczający się coraz zuchwalszych i bardziej ostentacyjnych przestępstw. Trzy nacjonalistyczne partie spierały się zażarcie o konstytucyjny stosunek Bośni względem Jugosławii. Zdobywały broń dla świeżo sformowanych organizacji paramilitarnych. Źle wróżyło to, że odłak wojna rozlała się na Chorwację, Serbowie i Chorwaci ruszyli przelewać nawzajem swoją krew. Sarajewskie media donosiły o potyczkach, po których w miasteczkach na różnych odcinkach w pobliżu bośniackiej granicy zostawały dziesiątki zabitych. Co jeszcze bardziej niepokojące, incydenty coraz częściej przenosiły się na sąsiadujące z Chorwacją tereny Bośni.

Wielu zasiedziały mieszkańców Sarajewa w znacznie większym stopniu niż za Serbów, Chorwatów czy Boszniaków uważało się za sarajewian, obywateli Bośni, Jugosłowian lub miastowych (w dowolnej kolejności). Wielu obawiało się, że coraz gwałtowniejsze starcia między grupami nacjonalistów zniszczą ich wygodny, miejski styl życia. Chyba najbardziej lękali się miejscowi

Karadzić wydawał się nie tyle fanatykiem, ile bandytą i aspirującym tyranem: pienił się z wściekłości na każdego, kto stanął mu na drodze - pisze Robert J. Donia, amerykański historyk Uniwersytetu Michigan



Radovan Karadzić na początku lat 90. był wschodzącą gwiazdą polityki w krajach dawnej Jugosławii. Od początku zdradzał cechy dyktatorskie (zdjęcie z 1992 r.)

KARADŽIĆ. PILNY UCZEŃ MILOŠEVIĆA

Serbowie, których długo nierzucająca się w oczy tożsamość narodowa stała się nagle krępującą widoczną w życiu publicznym. Niektórzy wspierali Miloševicia, Karadżicia i nacjonalistów z SDS, lecz inni martwili się, że z powodu agresywnego serbskiego nacjonalizmu przedstawiciele innych nacji złączą ich uważać za pariasów, słusznie lub niesłusznie podejrzewając o separatyzm, a nawet zdradę.

Pośród niepewności i lęku każdy dobrze poinformowany sarajewianin poświęcał kilka myśli przywódcy serbskich nacjonalistów Radovanowi Karadżiciowi, tajemniczemu wschodzącemu gwiazdzie bośniackiej polityki. Niektórzy słyszeli o jego poetyckich osiągnięciach z lat studenckich, inni znali go jako psychiatrę, lecz tylko nieliczni rozpoznali w nowym wcieleniu wojowniczego, krzykliwego serbskiego nacjo-

nalisty. Pod koniec lata 1991 roku zniknął wszelki ślad po przyjacielskim ojcu rodziny, którego wielu sarajewian znało - a przynajmniej tak sądzili. Pracował ciężko, rezygnując z wypoczynku. Silnie uzależniony od Miloševicia często latał prywatnym samolotem na spotkania do Belgradu, regularnie kontaktował się z prezydentem Serbii telefonicznie i posłusznie wypełniał wskazówki otrzymywane od liderów ze stolicy. Spędzał długie godziny w głównej siedzibie SDS w budynku parlamentu i do późnej nocy odbywał długie rozmowy telefoniczne z prywatnego mieszkania w sarajewskim osiedlu wysokościowców.

Równocześnie wiódł gorączkowo ożywione życie publiczne jako obiekt zainteresowania szerokiego świata. Dziennikarze odkryli, że jest charyzmatyczny, przystępny

i elokwentny. Jego zniszczona, fotogeniczna twarz pasowała do stereotypu prymitywnego bałkańskiego górala. Jego kalendarz wypełniały wywiady dla zagranicznych reporterów, konferencje z europejskimi dyplomatami, dyskusje z liderami innych partii politycznych oraz spotkania z Serbami zabiegającymi o posadę lub przysługi.

Pod każdym względem był najbardziej znaczącym, najnowszym i najbardziej niekonwencjonalnym graczem w zróżnicowanym krajobrazie politycznym Sarajewa. Mieszkańcy z mieszaniną nadziei i niepokoju zastanawiali się, jak daleko posunie się Karadzić w narzucaniu nacjonalistycznego entuzjazmu swoim stronom i całej republice.

We wrześniu 1991 roku dyplomaci WE podjęli intensywne wysiłki, by doprowadzić do zakończenia wojny

w Chorwacji. Przystając 2 września na wynegocjowane przez wspólnotę zawieszenie broni, JNA i chorwackie siły bezpieczeństwa otwały drogę dla wspieranych przez WE rozmów pokojowych w holenderskiej Hadze. Zarówno Milošević, jak i Tudjman z miejsca poinformowali europejskich negocjatorów, że strona przeciwna planuje prowokacje, a zarazem obaj starali się utrzymać na wodzy własne siły. Gdy tylko 7 września zaczęły się oficjalne rozmowy, Milošević zdwoił wysiłki, by pohamować uzbrojonych Serbów - z JNA, lokalnych organizacji paramilitarnych czy z policji - przed otwarciem ognia. Podobnie Tudjman powściągał własne oddziały, równocześnie w tajemnicy pracując nad sprowokowaniem serbskiego odwetu.

Pierwszy z czterech jesiennych kryzysów wybuchł w gminie Bratunac we wschodniej Bośni 3 września, pierwszego dnia chorwackiego zawieszenia broni. Na uczęszczanej drodze pomiędzy wsią Glogova zamieszkaną niemal wyłącznie przez Boszniaków (1901 na 1913 mieszkańców) a pobliską prawie czysto serbską Kravicą (357 z 363 mieszkańców) wiozący czterech Boszniaków. Napastnicy zabili dwóch mężczyzn i ranili dwóch pozostałych. Sarajewska gazeta „Oslobodjenje” nazwała ich pierwszymi ofiarami międzyetnicznych niesnasek w Bośni od drugiej wojny światowej.

Był to zaledwie pierwszy z wielu niewyjaśnionych i niejednoznacznych incydentów w tamtej okolicy. Przedstawiciele lokalnej SDS poinformowali o nim telefonicznie Koljevića i Krajišnika, a ich relacja w znacznej części została potwierdzona przez doniesienia prasowe. Kilka dni przed zasadzką przedstawiciele JNA skonfiskowali urzędnikom gminnym listy rezerwistów podlegających poborowi do wojska. W odpowiedzi Boszniacy zorganizowali protest, podczas którego - wedle oskarżeń Serbów - oddali strzały w kierunku dwóch urzędników serbskich, choć żaden nie został trafiony. Lokalni funkcjonariusze SDS twierdzili, że następnie zwolennicy SDA dokonali „inwazji” na zdominowaną przez Serbów Kravicę, choć relacje prasowe nic o tym nie wspominały. Wedle wszelkich doniesień uzbrojeni Serbowie zaatakowali w efekcie z zasadzki czterech Boszniaków, których samochód zbliżał się do Kravicy od strony boszniackiej Glogovej.

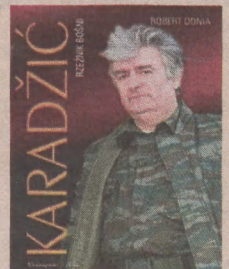
Zabójstwa w Kravicy nasiliły obawy, że Bośnia znalazła się na krawędzi wojny. Zgodnie z ustaloną praktyką bośniackie przydział oddelegowało swoich członków reprezentujących

zwaśnione narodowości, by uspokoił lokalne napięcia. Podśłuchy telefoniczne dowodzą, że 4 września Krajišnik poprosił Karadżicia o zgodę na wyjazd na zaproszenie Muhameda Čengića, przywódcy SDA i wiceprezydenta (zastępcę premiera) Bośni.

Szef przyznał, że obaj politycy powinni razem pojechać do Kravicy, lecz zasugerował także, by Krajišnik wykorzystał misję rozjemczą do przekazania Čengićowi starannie przygotowanego ustnego ostrzeżenia, iż Boszniacy przez swoje prowokacje narażają się na „zniknięcie”. Krajišnik miał powtórzyć Čengićowi: „Widzisz, dokąd to prowadzi, oto dokąd prowadzi twoja polityka!” oraz: „Czy zdajesz sobie sprawę, że przez to wszystko znikniecie?”. Karadzić kazał też ostrzec: „Człowieku, znikniecie. Wielu z nas zniknie także, ale wy zostaniecie unicestwieni!”.

Ostrzeżenie wskazuje na źródła wściekłości Karadżicia. Jego gniew koncentrował się nie na tym, kim są Boszniacy; nie na jakichkolwiek ich cechach fizycznych czy kulturalnych jako narodu, lecz raczej na tym, czego nie chcieli uczynić. Nie uznali słuszności serbskiej sprawy narodowej; nie skapitulowali przed żądaniem Karadżicia i SDS; nie zamierzali przyznać, że Serbowie zabijają, tylko jeśli zostaną sprowokowani przez polityków boszniackich. Karadzić był wściekły na Boszniaków, ponieważ przeszkadzali w realizacji utopijnego marzenia Serbów. Swoją gniew kierował głównie przeciw boszniackim liderom politycznym i elitom. Inni Boszniacy mogli zginąć w ostatecznej apokaliptycznej zemście, lecz ich śmierć byłaby stratą uboczną, nieuniknioną konsekwencją uporu przywódców. Srożył się jak ktoś, kto poczuł się upoważniony do zdominowania ludzi sprzeciwiających się jego dyktatowi. Jesienią 1991 roku Karadzić wydawał się nie tyle fanatykiem, ile bandytą i aspirującym tyranem: pienił się z wściekłości na każdego, kto miał czelność stanąć mu na drodze.

KSIĄŻKA



Robert J. Donia
„Karadžić. Rzeźnik Bośni”,
tłumaczenie: Hanna Pasińska,
wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2023,
cena 99,99 zł



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Biblioteki pozostają ostojami czytelnictwa. Na zdjęciu - wewnątrz Biblioteki Raczyńskich, w której nie odnotowano spadku liczby czytelników, a przeciwnie - wzrost.

POŻEGNANIE Z KSIĄŻKĄ. CZYTELNICTWO UMIERA?

Dla części to ucieczka w inny świat. Dla innych - strata czasu. Pierwsi czytają bez przerwy, ostatni wzruszają ramionami. I już od pewnego czasu są w przewadze.

Marta Jarmuszczak

Dla jednych czytanie jest jak oddychanie. Równie niezbędne i oczywiste, czytają od kiedy nauczyli się samodzielnie składać litery w słowa. Inni w swoim życiu nie przeczytali żadnej książki. A jeśli nawet, to dawno. Często jeszcze w szkole. I takich osób dość szybko przybywa.

Według badań Krajowego Instytutu Mediów, aż 56 proc. Polaków nie przeczytało w ciągu roku ani jednej książki. Przez 15 lat, od 2008 roku odsetek nieczytających książek w ogóle wzrósł o 18 punktów procentowych. Z czego wynika ta statystyka?

Czytający przyczyn szukają w cenach książek, zniechęcającym przymusie czytania lektur i niedopasowanym do współ-

czesności kanonie, ofercie rynku wydawniczego, zdaniem jednych zalewającego czytelników przeciętnymi, masowymi produkcjami, zdaniem drugich - tak obfitym, że łatwo się na nim zagubić.

Nieczytający? Tak naprawdę to oni mają klucz do rozwiązania tej zagadki.

Strata czasu

Damian, student politechniki otwarcie przyznaje, że nie lubi czytać książek, nie robi tego i... nie zamierza.

- Czas poświęcony na czytanie wolę przeznaczyć na inne aktywności - mówi. - Często włączam po prostu serial lub muzykę, ponieważ wtedy mogę jednocześnie chociażby przygotowywać projekty na studia i czuję, że czas upływa mi wtedy przyjemniej - podkreśla.

Nie czuje się wyjątkiem. Jak twierdzi, w jego otoczeniu wiele osób stawia na inne formy przekazu, między innymi seriale, a zamiast książki wybiera jej adaptację filmową.

- Nie lubię czytać, bo mam też problem ze skupieniem. Żeby zrozumieć odpowiednio dany fragment tekstu, często muszę przeczytać go co najmniej dwa razy i to mnie zniechęca - mówi Damian. - Wybieram raczej krótkie formy tekstowe, a dużo czasu pochłania telefon, w którym najczęściej czytam krótkie publikacje dotyczące różnych tematów. Nawet kiedy jakiś naukowy film ma więcej niż 20-30 minut, to często go pomijam, bo jest dla mnie zbyt długi - wyjaśnia.

Jak przyznaje, ograniczenie korzystania z różnych urządzeń

elektronicznych poprawiło jego koncentrację.

- Podczas przygotowań do obrony mojej pracy inżynierskiej odłożyłem telefon, odstaawiłem telewizję i inne rozpraszające mnie rzeczy. Wtedy dopiero poczułem, że mogę się skupić na czytaniu i to było coś naprawdę przyjemnego. Staram się teraz coraz częściej ograniczać użytkowanie tych urządzeń - mówi.

Czy otworzy mu to drogę do książek? Dziś sam nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Droga bez nagrody

O tym, że czujemy się przebodźcowani, mówią zarówno stroniący od książek, jak i ci, którzy lekturze poświęcają całkiem sporo czasu. Natłok krótkich form przekazu stał się tak duży, że nie możemy znaleźć przestrzeni w swoim umyśle, aby przyswoić dłuższą treść. Zdaniem psycholożki Agnieszki Lewicz-Durki sprawa jest bardziej złożona.

- Nie jest to może do końca przebodźcowanie, ale na pewno jesteśmy przyzwyczajeni do pozyskiwania gotowych informacji, a książka wymaga poszukiwania i skupienia - twierdzi specjalistka. - Problemem jest brak umiejętności samodzielnego myślenia, refleksji i koncentracji. Część ludzi nie ma takiej potrzeby i nie czerpie przyjemności z tego, że samemu myśli, skupia się na tym i poświęca czas. Tym niemniej narody takie jak Czesi, Szwedzi czy Skandynawowie, pomimo nadmiaru informacji w internecie, wskaźnik czytelnictwa mają wyższy niż w Polsce.

Problem natłoku informacji nie jest zatem stuprocentowym wytłumaczeniem spadku czytelnictwa w Polsce.

- Ludzie zapewne chcą myśleć, ale nie widzą przyjemności z tego, że wyrażają własną opinię, a wolne i samodzielne myślenie nie jest nagradzane - mówi psycholożka.

Istotną kwestią wskazaną przez psycholożkę jest dbanie o poziom czytelnictwa wśród młodzieży w szkole.

- Myślę, że powodem, dla którego Polacy nie czytają, może być fatalna edukacja. Mamy jeden z najgorszych sposobów nauczania, być może najgorszy w Europie. W polskim systemie edukacji jest przymus wykuwania na pamięć i przymus czytania fatalnych lektur. Uczniowie nie mają wyboru ani tego, czego się uczą, ani tego, co czytają - mówi Agnieszka Lewicz-Durka.

Przez kanon do serca?

Zdaniem Damiana obowiązujący kanon lektur z pewnością nie stanowi dobrej podstawy do zaprzyjaźnienia się z książką.

- Przymus czytania konkretnych lektur w szkole podstawowej czy dawnym gimnazjum, poniekąd zniechęcił mnie do czytania. Mam wrażenie, że w spisie książek znajdują się albo

publikacje fantastyczne, albo całkowicie poważne - tłumaczy Damian. - Przez cały okres nauki znalazła się jedna lektura, od której nie mogłem się odebrać - „Pan Samochodzik i Templariusze” - były tam opisy architektury, budynków, co od zawsze mnie interesowało, ale np. w „Opowieściach z Narnii” występowało zbyt wielu bohaterów, aby to wszystko zrozumieć. W liceum również pojawiały się książki poruszające poważne tematy, ale umieszczanie tego typu pozycji w spisie lektur było zrozumiałe i moim zdaniem słuszne ze względu na wiek dorastania, w którym byliśmy i konieczność rozwoju osobistego.

Czy zatem kanon lektur powinien zostać zreformowany? I czy rzeczywiście jest on skonstruowany na zasadzie przeszkakiwania ze skrajności w skrajność?

Zapytaliśmy o to nauczycielkę języka polskiego w jednej z poznańskich szkół.

- Jest coś takiego jak kod kulturowy, który trzeba uszanować. Jest pewien kanon lektur, który młodzi ludzie muszą poznać. Oczywiście, są niektóre teksty, które w spisie obowiązkowych lektur mogłyby nie występować, jednak znajomość innych zapewnia ciągłość wspomnianego kodu kulturowego w społeczeństwie - wyjaśnia.

Nauczycielka stawia tezę, że problem nie tkwi w samym kanonie lektur, ale istotne jest za to jak wartości, które on niesie, zostaną podane.

- Problemem jest sposób, w jaki kanon powinien zostać przekazany - mówi polonistka. - Nie wychodzę z założenia, że każdy musi paść na kolana przed „Panem Tadeuszem”, ale bywają takie przypadki, że uczniowie sceptycznie nastawieni do lektury po przeczytaniu są zachwyceni. Trzeba pamiętać, że mówię się do młodych ludzi i chociaż część z nich ten przekaz kupi.

Zdaniem polonistki wyzwaniem, które staje przed nauczycielami, jest sposób rozmowy o przeczytanych książkach. Scen jak z filmu „Stowarzyszenie Umarłych Poetów” raczej próżno szukać w polskich szkołach. Czy tego chcą uczniowie?

- Kiedy omawiam z uczniami lekturę, szukam odwołań do życia codziennego. Pragmatyczne podejście pozwala im odnaleźć się w konkretnej sytuacji przedstawionej w utworze. Choćby mały fragment dotyczący może być powodem do zajęcia konkretnego stanowiska, a wtedy wywiązuje się dyskusja, o którą właśnie powinno chodzić - tłumaczy polonistka.

Gdy chodzi o sam system nauczania w polskiej szkole, przykładający największą wagę do pamięciowego opanowania materiału, poniekąd zgadza się z Agnieszką Lewicz-Durką.

- Uważam, że nie jest najważniejsze, żeby uczniowie

znali szczegółowe opisy postaci czy miejsc. Dla mnie ważna jest rozmowa, która zmusza młodych ludzi do myślenia i uczy ich tego, a na tę rozmowę, niestety, brakuje czasu. System edukacji powinien zatem być odchudzony, aby ze spokojem można było wchodzić w świat lektury i odnajdywać się w nim - tłumaczy polonistka. - Sama widzę, że za czasów mojej edukacji w szkole dawano więcej swobody w myśleniu niż dzisiaj. Pisaliśmy wypracowania na dany temat i sami wówczas dobieraliśmy lektury. Teraz, niestety, testy - nie jestem ich zwolenniczką - oraz system oceniania wypracowań ucznia schematycznego myślenia - wyjaśnia.

I dodaje, że brak rozmowy i swobodnego pozatestowego myślenia odsuwa uczniów od książek.

Czytają i... przestają

Paradoksalnie to młodzież właśnie podnosi statystyki czytelnictwa. I sięga nie tylko po lektury. Pokazują, że najchętniej czytana literatura są gatunki przeznaczone właśnie dla młodzieży.

- Z tego co można zauważyć, coraz popularniejsza staje się literatura z kategorii young adult i książka dziecięca. Tytuły te królują na listach bestsellerów. Trendy uległy dość dużej zmianie na przestrzeni ostatnich kilku lat - tłumaczy Daniela Skowronek z wydawnictwa Rebis.

Faktycznie literatura dla tzw. młodych dorosłych, czyli nastolatków i osób nieco starszych znajduje się na szczytach list sprzedażowych księgarń. Nietrudno się domyślić, że sięgają po nią w większości osoby, do których jest skierowana. Czy można traktować to jako dobry znak, a czytająca młodzież będzie darzyć książki sympatią w dorosłym życiu? Pokażą to statystyki w kolejnych latach.

Nadzieja dla czytelnictwa

Choć ogólnopolskie badania wyraźnie sygnalizują spadek czytelnictwa, to poznańska Biblioteka Raczyńskich takiego nie odnotowała.

Jak poinformowała Anna Kozłowska z działu koordynacji działalności kulturalnej i promocji BR, dzięki poznańskim czytelnikom instytucja notuje stały wzrost zainteresowania swoją ofertą. Liczba czytelników w 2022 roku w porównaniu do 2021 wzrosła w Bibliotece Raczyńskich o 12,6 proc., natomiast odwiedziny w instytucji aż o 24,7 proc. Co raz więcej ludzi wypożycza też książki. Biblioteka odnotowała wzrost wypożyczeń o 15,1 proc.

Póki co można sądzić, że biblioteki są ostoją czytelnictwa. Czy staną się źródłem jego renesansu?



Zdaniem ministra Piotra Glińskiego Polska po roku 1989 miała być krajem politycznie i gospodarczo całkowicie od Niemiec zależnym

PROFESOR PIOTR GLIŃSKI: Musimy ujawniać całą prawdę o niemieckich zbrodniach, każdego dnia...

Współczesny świat jest przestrzenią bardzo silnej rywalizacji również w obszarze kultury. Bo kultura stanowi najważniejszy element tożsamościowy narodów - mówi minister kultury i dziedzictwa narodowego

Krzysztof Maria Zaluski

Historia Pomorza Gdańskiego podczas II wojny światowej jest wyjątkowo bolesna. Zwłaszcza dla nas, mieszkańców Pomorza. Niemcy wymordowali w tutejszych lasach około 14 tysięcy Pomorzan - Kaszubów, Kociewiaków, przedstawicieli polskiej inteligencji. A mimo to ten tragiczny epizod nie jest tak powszechnie znany, jak choćby mord w Katyniu, gdzie Sowieci rozstrzelali ponad 20 tysięcy polskich jeńców wojennych. Panie Premierze, dlaczego, Pańskim zdaniem, tak się dzieje?

To prawda, że tylko w Lasach Piaśnickich i w Wejherowie Niemcy zamordowali około 14 tysięcy osób. Natomiast na całym Pomorzu - w 400 różnych miejscach - ofiar niemieckich zbrodni było około 30 tysięcy. Niemcy rzeczywiście likwidowali przede wszystkim polskie elity intelektualne, kulturalne i polityczne, bo to one - zdaniem nazistowskich ideologów - były nosicielami polskiej świadomości narodowej. Jednak eksterminacji podlegali wszyscy, którzy w okresie międzywojennym przyznawali się do polskości i angażowali w działalność polonijną - zarówno społeczną, polityczną, kulturalną, oświatową, religijną, jak i sportową. Niemcy mordowali naszych rodaków całymi rodzinami - mężczyzn, starców, kobiety i dzieci. Zabijali tu zresztą nie tylko Polaków. Ofiarą padali również zwożeni na Pomorze z Rzeszy Czesi i Niemcy. Oddziały SS i miejscowy Selbstschutz likwidowały - zgodnie z nazistowskimi zasadami eugeniki i teoriami rasowymi - także nieuleczalnie chorych, pacjentów zakładów psychiatrycznych, Żydów, Romów i Sinti. Ale rzeczywiście - polskie elity były zasadniczym celem Niemców, bo oni doskonale wiedzieli, że aby obezwładnić naród, trzeba pozbyć go autorytetów i przywódców - intelektualnych i politycznych.

Jeśli zatem mówimy o 30 tysiącach ofiar na Pomorzu i zestawimy tę liczbę z eksterminacją 20 tysięcy polskich oficerów w Katyniu, to jaki mógł być powód, dla którego ten mord przez dekady był przemilczany? Zarówno w tzw. Polsce Ludowej, jak i w III RP. To rzeczywiście jest haniebne zaniechanie. Wielki wstyd dla PRL-u, ale także wielki wstyd dla III RP. Pamiętajmy, że po roku 1989 roku świadomie zaniechano budowania czy odbudowywania podstaw kulturowych i tożsamościowych polskiego narodu. I to jest straszliwy grzech - zarówno postkomunistów, jak i tzw. liberałów.

No właśnie... Dlaczego tak się działo? Dlaczego przez tyle lat

polskie władze nie przypominały Niemcom pomorskich zbrodni ich przodków? Nie budowano muzeów, nie uczono o tym w szkołach...

A jaki interes mieli Niemcy, żeby przypominać Polakom o swoich grzechach, swoich zbrodniach? Jaki interes mieli Rosjanie, żeby Polacy budowali swoją tożsamość na prawdzie historycznej? Niestety, w III RP i jedni i drudzy mieli tak przemożne wpływy w naszych strukturach władzy i w mediach, że latami udawało im się wiele kompromitujących faktów przemilczać. Większość rządów po 1989 roku nie tylko nie sprzeciwiała się takiej „polityce historycznej”, ale postkomuniści i liberałowie świadomie starali się nie tworzyć ani instytucji, które by pamięć o tamtych straszliwych zbrodniach przywracały, ani tym bardziej nie upominali się realnie i skutecznie o zadośćuczynienie od Niemców. Masowa eksterminacja ludności polskich miast, pacyfikacje wsi, Intelligenzaktion, zbrodnia w lasach piaśnickich i szpegawskich, publiczne egzekucje, niewolnicza praca, porwania i germanizacja 200 tysięcy polskich dzieci, zbrodnie na jeńcach wojennych, na pacjentach szpitali psychiatrycznych, zagłada Warszawy, katownie Gestapo, obozy koncentracyjne czy wreszcie rabunek dzieł sztuki i planowe niszczenie dóbr kultury narodowej... Niestety, te przykłady aktywności niemieckich zbrodniarzy, to jedynie ułamek niewygodnej dla Niemców prawdy. Niewygodnej zwłaszcza od czasu, kiedy rząd Prawa i Sprawiedliwości wystawił im rachunek na ponad 6 bln zł za zbrodnie straty wojenne, których Polska doznała podczas II wojny światowej. Raport o naszych stratach wojennych powstał na bazie solidnych kwerend i analiz, które zespołowi wybitnych polskich naukowców, kierowanemu przez ministra Arkadiusza Mularczyka, zajęły pięć lat. I to jest właśnie nasza - racjonalna i systemowa - odpowiedź na niemiecką arogancję i próby wykręcania się od odpowiedzialności za ich niewyobrażalne wręcz zbrodnie.

Odnoszę wrażenie, że po ogłoszeniu przez polski rząd tych roszczeń, Niemcy jeszcze bardziej się usztywnili i nie widzą powodów do rozmów na temat reparacji wojennych. Co gorsza, zmianę tę widać nie tylko w ich polityce wobec Polski, lecz także w polityce unijnej, która została przez Niemców w pewnym sensie zmonopolizowana... To jest właśnie ta niemiecka arogancja czy wręcz buta, która prowadzi do narzucania niemieckiego interesu całej

Europie. Wystarczy przypomnieć choćby to, co przez ostatnie lata działo się z tak zwanymi uchodźcami - z „polityką otwartych drzwi”, w wyniku której do Europy napłynęła niekontrolowana fala emigrantów ekonomicznych. Tych ludzi, którymi Niemcy chcą się teraz z nami „podzielić”. To są działania zupełnie nieodpowiedzialne, a jednocześnie zatrważające... Inny przykład to przyjazne relacje z Władimirem Putinem i Rosją. Przecież fakt zatrudniania byłych polityków najwyższej rangi, z kanclerzem Schröderem włącznie, przez rosyjskie państwowe konsorcja jest rzeczą niewyobrażalną, niemieszczącą się w żadnych demokratycznych, „europejskich” standardach. Notabene, Schröder nie jest jedynym byłym politykiem zychodnim, który za swoją przychylną Rosji politykę, został nagrodzony sowitymi apanażami. To jest rzecz niepojęta, co się stało z Europą... I to właśnie Niemcy są za taki stan rzeczy odpowiedzialni... Ja wiem, że ktoś może się dziwić, że my tu snujemy analogie pomiędzy zbrodniami wojennymi a obecną, nieodpowiedzialną polityką niemiecką, ale te paralele same się narzucają. Jeżeli Niemcy po dokonaniu takich zbrodni nadal nie mają żadnych zahamowań, żeby narzucać nam swoją rację stanu, żeby modelować Europę według własnych fantasmagorii i twardej interesów, to jest rzecz, o której trzeba mówić. I to głośno. Każdego dnia. Ostatecznie mamy przecież w Europie znowu wojnę i zbrodnie wojenne. I nie pozostaje to bez związku z latami prowadzenia prorosyjskiej polityki przez współczesne Niemcy.

Czyli rozumiem, że powodem zaniechań w ujawnianiu niemieckich zbrodni - w tym tych na Pomorzu - do roku 2015 był interes polityczno-gospodarczy Niemiec?

Niestety... Polska po roku 1989 miała być krajem politycznie i gospodarczo całkowicie od Niemiec zależnym. Dlatego m.in. zlikwidowano nasz przemysł stoczniowy czy polskie cukrownie. Dlatego też m.in. za rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz wyprzedawano masowo polskie spółki. Często za bezcen. W ten sposób „sprywatyzowano” Ciech, Telekomunikację Polską, PKP Energetykę... Tak pozbyliśmy się wielu spółek komunalnych, banków. Rząd koalicji PO-PSL sprzedał prawie tysiąc spółek skarbu państwa. W roku 2007 państwo miało jeszcze udziały w 1343 przedsiębiorstwach. Osiem lat później było ich już tylko 393. Tą rabunkową transformację własnościową powstrzymaliśmy dopiero w roku 2016.

Czemu w Niemczech nie działo się podobnie? Czemu nie zamykano stoczni, hut, kopalni? Dlaczego tylko polski przemysł ciężki musiał ulec likwidacji?

Na tym właśnie polegała niemiecka polityka wobec Polski. Uzależnienia poprzez kapitał i „soft power”. My - po okresie komunizmu i wcześniejszych zniszczeniach wojennych - tego kapitału nie posiadaliśmy. Nie mieliśmy też państwowych fundacji działających za granicą. A Niemcy to mieli. Bo mieli Plan Marshalla, dzięki któremu po wojnie odbudowali gospodarkę i stali się największą potęgą gospodarczą w Europie. Co istotne, Niemcy stały się krajem, który doskonale te narzędzia ekonomiczne nauczył się wykorzystywać. Nic więc dziwnego, że Berlinowi tak bardzo odpowiadała sytuacja, w której Polska - we wszystkich wymiarach, bo także w sensie kulturowym - rozwijała się jako państwo zależne, a nie suwerenne i autonomiczne. I również dlatego teraz Niemcy są tak wściekli, że wyrwali się spod ich kontroli. Dlatego Manfred Weber - następca Donalda Tuska na stanowisku przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej - wygaduje takie głupstwa... Ale głupstwa doskonale przemyślane, stanowiące narzędzie nacisku politycznego. A nie jest przecież jedynym prominentnym niemieckim i europejskim politykiem, który jawnie i bezczelnie ingeruje w nasze sprawy wewnętrzne - między innymi w demokratyczne procesy wyborcze.

Z punktu widzenia interesu niemieckiego to wszystko jest jasne. Ale jakie korzyści z blokowania konsultacji gospodarczej w Polsce miał Donald Tusk i jego obóz polityczny?

Postkomuniści i tak zwani liberałowie - mówię tak zwani, bo oni z prawdziwym liberalizmem nie mają wiele wspólnego - raczej z darwinizmem społecznym, postawili po prostu na kartę niemiecką. Takie postrzeganie świata pchnęło ich zresztą do koncepcji, która zakładała zależność Polski od dużego, silniejszego, zachodniego sąsiada. Przy czym ten duży zachodni sąsiad ma z kolei dużego wschodniego sąsiada, z którym robi znakomite interesy. Taka polityka w sposób oczywisty wyklucza traktowanie nas po partnersku. A przy okazji stawia nas w pozycji wasala - zarówno Niemiec, jak i Rosji. I tu na suwerenną Polskę miejsca nie ma.

Panie profesorze, wybacz pan, ale nadal nie rozumiem, jak to możliwe, żeby elitom politycznym, gospodarczym i kulturalnym, jakiegokolwiek państwa na świecie, mo-



Istniejące od 2015 r. Muzeum Piąsnickie otworzono w docelowej siedzibie, w Wejherowie, 11 sierpnia tego roku

gło zależec na tym, aby ich kraj traktowany był jak jakiś bantustan? Zwłaszcza w przypadku polskich elit, wydawać by się to mogło wręcz niemożliwe. Czy po doświadczeniach zaborów, latach okupacji niemieckiej i półwieczu sowieckiej dominacji, pragnienie pełnej wolności nie powinno być oczywistym priorytetem każdego polskiego rządu?

Po II wojnie światowej polscy i sowieccy komuniści stworzyli, w miejsce wymordowanej w poważnym stopniu przez Niemców i Sowieców elity, nową pseudoelitę Polski Ludowej, tzw. „nową inteligencję”. Po roku 1989 również III RP wyhodowała swoich notabli, którzy weszli w różnego rodzaju koligacje z postkomunistami i ich dawnymi tajnymi służbami. Akcesja do tych „elit” następowała także często poprzez symboliczną deklarację, polegającą na bezkrytycznej akceptacji działań tych grup. Komuniści przez prawie pięćdziesiąt lat tworzyli swoje, całkowicie zależne od Związku Sowieckiego i niesamodzielne intelektualnie kadry gospodarcze i medialne. Postkomuna, właśnie rękami byłych agentów służb, stworzyła później bardzo wpływowy koncern medialny, który z kolei wypączkował całymi sieciami powiązań towarzysko-biznesowych. Wszyscy, którzy mieli czelność mieć własne zdanie lub choćby patrzeć trzeźwo na rzeczywistość, byli rugowani i niszczeni. Natomiast popularnych ten układ sowiecnie nagradzał. To w dużym stopniu urwało się od 2016 roku.

A jak to wyglądało w obszarze gospodarczym?

Do roku 2015 polska gospodarka w dużej mierze była kontrolowana przez zagra-

niczne koncerny i - niestety - polskie grupy przestępcze, które korzystały na tym, że państwo nie działa. Proszę sobie przypomnieć te wszystkie mafie watowskie, paliwowe, śmieciowe, deweloperskie, prywatyzacyjne - cały ten nieuczciwy biznes, który po zwycięstwie Zjednoczonej Prawicy został w poważnym stopniu zlikwidowany bądź ograniczony. Dopiero przywrócenie przez Prawo i Sprawiedliwość normalnego funkcjonowania państwa dało polskim przedsiębiorcom możliwość prowadzenia uczciwego i konkurencyjnego biznesu. Przy czym należy podkreślić, że znakomita większość naszych biznesmenów to normalni, uczciwi ludzie, którzy w zderzeniu z praktykami szarej strefy nie mieli szans. Paraliż i patologia naszej gospodarki za rządów Platformy Obywatelskiej jest najlepszym dowodem na to, że gdy państwo nie funkcjonuje lub jest zdominowane przez obcy kapitał, to wygrają nie najlepsi, lecz najsilniejsi i najbardziej cwani, często stosujący nieuczciwe praktyki. Szara strefa jest dobra jedynie z punktu widzenia interesów jej uczestników. Natomiast państwo i całe społeczeństwo na jej działalności traci. Polski cud gospodarczy ostatnich lat jest m.in. efektem likwidacji tej patologii.

Panie ministrze, jak pan uważa - czy w przypadku przegranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborów prowadzona przez ostatnie osiem lat sanacja państwa zostałaby zatrzymana czy byłaby kontynuowana przez ekipę Donalda Tuska?

Dzięki Bogu, powrót Donalda Tuska do władzy nigdy nie nastąpi. Przede wszystkim dla-

tego, że Polacy są zbyt mądrzy, żeby wybrać lenia, który będzie znowu harował w gałę zamiast pracować. Ale ważniejszy jest argument systemowy, niejako ontologiczny. PO, jako partia zewnętrzna, zależna od elit europejskich, systemowo nie jest w stanie, po prostu nie może, realizować programu dobrego dla naszego społeczeństwa. Obietnice Tuska na temat utrzymania naszych programów społecznych czy kontynuowania polityki prorodzinnej Prawa i Sprawiedliwości, nie są funta klaków warte...

Dlaczego?

Ponieważ od niego niewiele by zależało. Tusk nigdy nie był suwerennym premierem. Gdyby na nieszczęście został szefem polskiego rządu, wróciłby do wypełniania poleceń swoich partnerów z Berlina, Brukseli i Moskwy. Tych wszystkich, którzy zresztą zupełnie otwarcie zapowiadają, że będą go wspierać w „robiegnięciu porządków” w Warszawie. Ponadto PO jest także zakładnikiem krajowych grup interesu - tych wszystkich mafii gospodarczych, które chcą wrócić do prowadzenia przerwanego przez PiS ciemnych interesów. To jest sytuacja zupełnie oczywista. Polacy nie mają alternatywy polegającej na tym, że oto pojawił się jakiś nowy, niezależny polityk, który będzie miał możliwość realizowania tego, co zapowiada. On już miał okazję pokazać, co potrafi, i jak bardzo interesuje go los Polaków. Teraz spłacałby jedynie zobowiązania, jakie zaciągnął w Brukseli i u tych, którzy go wspierają, i których on tutaj reprezentuje.

Na pewno zna pan anegdotę o Churchill, któremu

adiutant przyniósł projekt budżetu wojennego Zjednoczonego Królestwa... Premier przejrzał dokument i zapytał: „A gdzie są pieniądze na kulturę?” „Mamy wojnę, więc na kulturę, zabrakło”, odpowiedział oficer. Churchill miał podobno zareagować na to pytaniem: „To o co w takim razie toczymy tę wojnę?”

Panie Profesorze, mamy amerykańską, francuską i niemiecką kulturę. I hollywoodzkie kino. Może wystarczyłoby podłożyć dubbing pod te produkcje? Współczesny świat jest przestrzenią bardzo silnej rywalizacji również w obszarze kultury. Bo kultura stanowi najważniejszy element tożsamościowy narodów. Silniejszy próbują swoją narrację narzucać słabszym. Robią to za pomocą filmu, literatury, muzyki, sztuki, nowoczesnego muzealnictwa. Poprzez kulturę można kształtować wyobrażenie o sobie albo tworzyć wizerunek swoich sąsiadów. I potrafią robić to całkiem sprawnie nawet nieduże państwa. My, niestety, wciąż mamy w tej kwestii olbrzymie zaległości przede wszystkim z okresu komunizmu. Ale nie tylko - również w czasach III RP Polska na wielu obszarach bardzo dużo przegrała. Nie wypromowała np. fenomenu polskiej „Solidarności”. My to zmieniamy, budujemy instytucje broniące i promujące polską kulturę i wizerunek. I dlatego teraz mamy tak wielki opór ze strony środowiska liberalno-lewicowego - a oni mają ogromną siłę medialną i wsparcie podmiotów zagranicznych... Tak, mamy kłopot, żeby się wybić na niezależność. Zwłaszcza jeżeli chodzi o wizerunek Polski. Myślę, że w coraz większym stopniu nam się to udaje, ale

jest to zadanie niebywale trudne i wymagające czasu oraz nakładów. Między innymi dlatego, że inni od lat budowali swój wizerunek, a Polska w tym zakresie jest dla wielu państw konkurencją i zagrożeniem dla ich dobrego samopoczucia. Postawili nam zatem rolę niespecjalnie szlachetną. Od lat słyszymy o „polskich obozach koncentracyjnych”, o „współwinie za wybuch drugiej wojny światowej”, o antysemityzmie czy prześladowaniu Rusinów na Kresach Wschodnich. Takie historie mają nam zamknąć możliwość budowania pozytywnego wizerunku państwa i narodu, narodu, który zasługuje na szacunek i partnerskie traktowanie. Tak, to jest naprawdę bardzo trudna sytuacja, bo albo Polska będzie miała szansę na suwerenność we wszystkich obszarach, w tym w obszarze kultury, albo zrobią z nas pariasów i lokajów Europy. Prawo i Sprawiedliwość przez osiem lat buduje suwerenność i bezpieczeństwo - energetyczne, gospodarcze i obronne, ale również w obszarze kultury. I to z pozytywnym skutkiem, jak chociażby nasza ofensywa w muzealnictwie, której przykładem jest m.in. otwarte właśnie Muzeum Piąsnickie. Ale presja tego, co się dzieje w kulturze globalnej, tego ewidentnego kryzysu globalnej kultury na Polskę jest ogromna.

Mam pan jakąś konkretną dziedzinę na myśli?

No na przykład teatr... Przecież widzimy, co się dzieje we współczesnym teatrze, w którym coraz mniej jest miejsca na klasykę. Dlatego powołał się ostatnio Teatr Klasyki Polskiej. Podejrzewam, że gdyby Polska rządziła do tej pory ekipa Donalda Tuska, już dawno zatracilibyśmy kulturową indywidualność i niezależność. Polska kultura byłaby jedynie kopią i powieleniem zachodniej popkultury i modnych trendów kultury radykalnej. I to jest bardzo przykre, bo przez te wszystkie dekady nauczyliśmy się robić dobre filmy, ale wybitnych nadal nie potrafimy. Podobnie jest z literaturą, historią, sztuką, informacją, a nawet nauką... A najgorsze jest to, że do świadomości zachodniej opinii publicznej przebija się wciąż to, co nas, Polaków, dyskredytuje, o co dbają właśnie publicyści „salonu”... My te krzywdzące Polaków stereotypy staramy się prostować, ale ten proces musi jeszcze trochę potrwać. Chodzenie pod prąd popularnym i dominującym trendom wymaga czasu i determinacji. Ale warto ten trud podejmować. A determinacji i skuteczności nam nie zabraknie.

FOT. JAKUB STEINBORN

Marek Kamiński to nie tylko zdobywca biegunów, ale też odkrywca sensu wewnętrznego życia. Budowanie odporności psychicznej i niezłomnej siły to kluczowe aspekty jego filozofii, którą dzieli się z młodzieżą na Marszach Mocy

Anita Czupryn

BIEGUNY ŻYCIA MARKA KAMIŃSKIEGO

„Dla mnie jedną z ważniejszych rzeczy w życiu jest to, co zostawiamy po sobie. Niekoniecznie coś wielkiego. Ale jest to coś, co powstaje w głowie i z czego mogę być zadowolony” – powiedział mi Pan 2 lata temu. Jakie myśli dziś wypełniają Pana głowę?

Zacznę od tego, że plany były zupełnie inne – miały być wyprawy, podróże; otrzymywałem propozycje udziału w wyprawach na Mount Everest czy biegun południowy. Chciałem przejść w poprzek Antarktydę, pisać więcej książek. Życie skierowało mnie w inną stronę. Czas pandemii pokazał, że znaczenia nabiera kwestia odporności psychicznej. Skupiłem się na rozwijaniu programów wspierających psychiczną odporność. Prawdę mówiąc, budować je zaczynałem już podczas mojej wyprawy na biegun z Jaśkiem Melą. To była pierwsza inicjatywa, która zrodziła się w mojej głowie. Rozpoczęliśmy ją od organizowania warsztatów, a później pracowaliśmy nad stworzeniem aplikacji. Proces trwał trzy lata, ale efekty są tego warte. Problem braku odporności psychicznej staje się coraz bardziej palący; wiele osób doświadcza spadku kondycji psychicznej, trudności narastają w zaskakującym tempie. Odpowiadając więc na pani pytanie, obecnie moje myśli i wysiłki skupiają się na rozwijaniu i wdrażaniu programów wspierających odporność psychiczną. To wyzwanie, które widzę jako klucz do przetrwania ludzkości i jako fundament znaczenia życia. Brakuje nam skalowalnych, niefarmakologicznych rozwiązań dla problemów psychicznych i depresji, jak też brakuje profilaktyki i edukacji w dziedzinie zdrowia psychicznego. Pracuję nad rozwojem rozwiązań praktycznych, piszę książki na temat osiągania celów i budowania wewnętrznej

siły. To, co robię, daje mi ogromną satysfakcję, ponieważ widzę, że moje wysiłki mają realny wpływ i pomagają ludziom tu i teraz.

Na tego rodzaju aspektach będzie się skupiał Kongres Mocy, jaki organizuje Pan w październiku?

To będzie nie tylko spotkanie partnerów, lecz również miejsce debat na temat roli, jaką odgrywa w naszym życiu siła psychiczna. Jakimi narzędziami i praktykami mogą nam pomóc, by być silniejszymi. Wiele z naszych działań wcześniej koncentrowało się na odporności i rezyliencji, ale stwierdziliśmy, że polska terminologia nie oddaje w pełni istoty tego, co chcemy przekazać. A chcemy, by to było bardziej aktywne, związane z osiąganiem celów i radzeniem sobie z porażkami. Z tej perspektywy powstały Marsze Mocy, projekt łączący aktywność fizyczną z pomaganiem, a także zbliżający się Kongres Mocy, planowany na 27 października w hotelu Radisson w Warszawie. To wydarzenie stanowić będzie nie tylko kolejną konferencję – bo już takie na temat odporności psychicznej przeprowadzaliśmy. Wyjątkowość polega na tym, że łączymy kondycję dorosłych jako pracowników i rodziców, ale i ich dzieci, młodzież. Współpracują z nami największe firmy, jak Fonglass, Orange, Nestle, Tefal. Jednocześnie pragniemy przyciągnąć osoby zainteresowane tematem ze środowiska samorządów. Chcemy rozmawiać o tym, jak żywienie wpływa na naszą kondycję psychiczną, jak ruch może pomóc w budowaniu siły wewnętrznej, co pracodawcy mogą zrobić i jak pomóc. Nasza wizja obejmuje szerokie spektrum – od aspektów czysto psychologicznych do ściśle związanych z naszym stylem życia i dbaniem o zdrowie psychiczne. Celem jest stworzenie paneli tematycznych, które nauczą uczestników, jak kształtować odpor-

ność psychiczną w różnych obszarach życia. Szczegółowo można znaleźć na naszych stronach: www.marszmocy.com oraz www.kongresmocy.pl.

Jeśli kongres ma się skupiać na budowaniu odporności psychicznej zarówno w kontekście osobistym, jak i biznesowym, to jakie powiązania widzi Pan między tymi dwoma sferami? Dlaczego są one tak istotne?

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że to dwie oddzielne sfery, ale w rzeczywistości łączą się w istotny sposób. Odporność psychiczna, niezależnie od kontekstu, staje się fundamentem osiągnięć i stabilności. W wymiarze osobistym potrzebujemy odporności, aby radzić sobie z wyzwaniami, stresami czy nieuchronnymi zmianami w życiu. To umiejętność, która pozwala nam trwać w trudnych momentach i kontynuować dążenie do własnych celów. Jednak gdy spojrzymy na to z perspektywy biznesowej, okaże się, że odporność psychiczna jest równie kluczowa. W dzisiejszym świecie większość z nas spędza wiele godzin w miejscu pracy. Dla firm staje się to ważnym wyzwaniem, jak również swego rodzaju okazją. Przedsiębiorstwa, które inwestują w rozwijanie odporności psychicznej swoich pracowników, tworzą zdrowsze i bardziej wydajne środowisko pracy. To z kolei przekłada się na lepsze osiągnięcia i niższe koszty związane z absencją czy rotacją kadry. Firmy coraz częściej oferują szkolenia oraz wsparcie

w zakresie rozwoju osobistego swoim pracownikom. To nie tylko inwestycja w zespół, ale też sposób na zminimalizowanie problemów związanych z brakiem odporności psychicznej. Wychodząc naprzeciw temu, HR wprowadza innowacyjne praktyki, takie jak szkolenia z zakresu radzenia sobie ze stresem czy budowania odporności emocjonalnej. Te niewidoczne, lecz istotne powiązania między osobistym a biznesowym wymiarem odporności są jak most, który łączy dwie strony. To także szansa na osiągnięcie wyższego poziomu równowagi i efektywności w obu sferach. Dlatego zdecydowanie uważam, że skupienie się na budowaniu odporności psychicznej w kontekście osobistym i biznesowym jest nie tylko mądrą strategią, ale wręcz niezbędnym elementem współczesnego życia i działalności.

Poszukiwanie sensu życia jest dzisiaj wyzwaniem, które dotyka nie tylko młodych ludzi, ale również każdego z nas. Jaki jest pierwszy krok na tej drodze?

Proces poszukiwania sensu życia nie zaczyna się nagle, za naciśnięciem magicznego przycisku. Wręcz przeciwnie – to ewolucja myśli, której źródła tkwią w naszym doświadczeniu i otoczeniu. Dawniej sens życia wiązał się częściowo z radzeniem sobie z problemami, które były pod naszą kontrolą. Mogliśmy planować przyszłość, budować dom czy oszczędzać na edukację. Jednak obecnie zmiany, których doświadczamy, są bardziej dynamiczne i trudne do przewi-

zenia. Pandemia, konflikty zbrojne, zmieniający się rynek pracy, a nawet postęp technologiczny – te wszystkie czynniki wprowadzają niepewność i przyczyniają się do utraty poczucia kontroli. Brak stabilności i nadmiar wyzwalaczy strachu może prowadzić do utraty sensu życia. Ludzie zaczynają odczuwać bezsilność, bo wiele z tych zmian jest poza ich wpływem. W wyniku tego pojawiają się pytania o to, co tak naprawdę warto robić i dokąd zmierzamy. Niestety, takie uczucie bezradności może prowadzić do wzrostu liczby prób samobójczych, zarówno w Polsce, jak i na świecie. Czy więc szukanie sensu życia jest jedynie filozoficznym zadaniem, które bierze się nagle? Niezupełnie. To raczej proces, który angażuje naszą psychikę i emocje. Kluczowym punktem wyjścia jest budowanie odporności psychicznej. To ona stanowi pierwszy krok na tej drodze. Dzięki wzmocnieniu odporności psychicznej jesteśmy lepiej przygotowani na stawianie czoła trudnościom. Tworzy ona fundament zdolności radzenia sobie z wyzwaniami, utrzymywania stabilności w zmieniającym się świecie i podtrzymywania sensu życia. Oczywiście, to tylko początek. Proces poszukiwania sensu życia jest złożony i obejmuje różnorodne aspekty. Warto jednak zacząć od budowania odporności psychicznej jako punktu wyjścia w tej inspirującej podróży. Szeroką ofertę programów można znaleźć właśnie w naszej Akademii.

Jakie strategie wykorzystuje Pan w budowaniu i utrzymaniu własnej odporności psychicznej?

To nieustanny proces. Można by go porównać do produkcji nowych przeciwciał, które stale wytwarzamy, aby być gotowym na nowe wyzwania. Jeśli przerwiemy ten proces, utracimy odporność. Warto pamiętać, że odporność psychiczna ma wiele wymiarów,

podobnie jak to, co może ją nadszarpnąć. Właściwe odżywianie i dbanie o ciało są równie ważne, jak pielęgnowanie zdrowia psychicznego. Przykładem może być unikanie substancji szkodliwych, takich jak alkohol czy narkotyki; one mogą poważnie wpłynąć zarówno na ciało, jak i umysł. Innym przykładem jest nasze otoczenie i sposób, w jaki funkcjonujemy w pracy czy relacjach. Praca do granic wyczerpania, długotrwały stres to realne zagrożenia dla odporności psychicznej. Dlatego ważne jest wychodzenie ze strefy komfortu – zdolność do stawiania czoła strachowi, zdobywania nowych umiejętności i pokonywania barier. W moim przypadku, odporność psychiczna to także umiejętność holistycznego myślenia. Widzę ciało i umysł jako nierozdzielnie związane. Nasz umysł wpływa na ciało, a ciało na umysł. Odporność psychiczna to nie tylko tarcza obronna. To cały system, który reaguje na różnorodne bodźce i wyzwania, chroni nas przed zagrożeniami. Kiedy zdobywałem bieguny w skrajnych warunkach, przy temperaturze minus 70 stopni Celsjusza, to była konfrontacja ze strachem i wyczerpaniem. Odporność psychiczna była podstawowym czynnikiem, który umożliwił mi osiągnięcie celów w ekstremalnych okolicznościach. Stanowi ona fundament, który pozwala nam radzić sobie z nieprzewidywalnymi sytuacjami i kontynuować naszą podróż nawet w obliczu zmieniającej się rzeczywistości. To wewnętrzne narzędzie, które daje nam moc, by stawić czoła wyzwaniom z determinacją i wiarą w siebie.

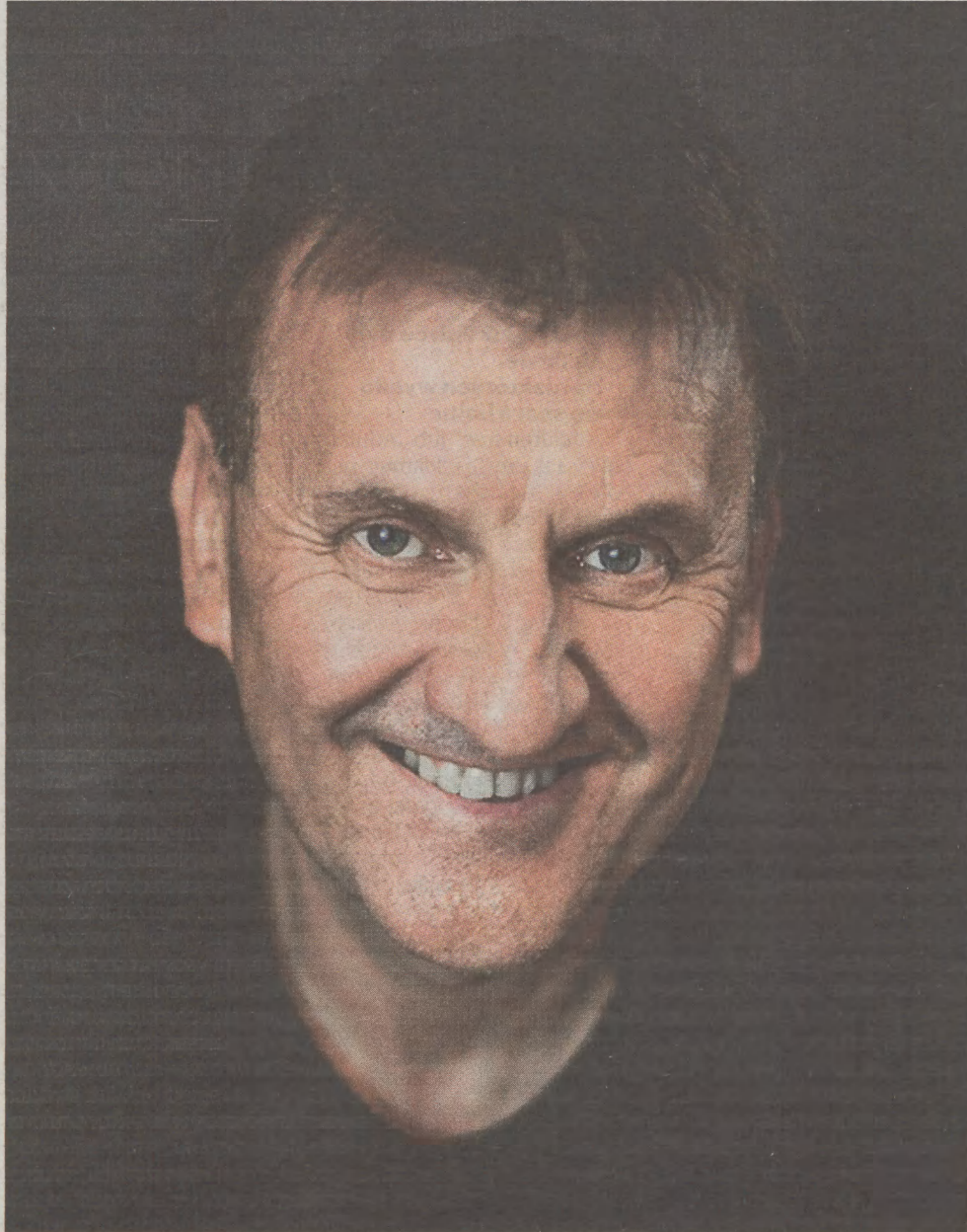
Powraca Pan czasem myślą do tych skrajnych momentów ze swoich podróży, tych chwil, które kiedyś uważał za najtrudniejsze? Czy były to razem najtrudniejsze momenty w Pana życiu?

PROCES POSZUKIWANIA SENSU ŻYCIA NIE ZACZYNA SIĘ NAGLE, ZA NACIŚNIĘCIEM MAGICZNEGO PRZYCISKU. WRĘCZ PRZECIWNIE – TO EWOLUCJA MYŚLI

Bez wątplenia, to doświadczenia, które pozostawiają trwałe ślady i wciąż stanowią dla mnie źródło inspiracji. Jednocześnie, czy można te najtrudniejsze momenty w podróży porównać do najtrudniejszych momentów w życiu jako całości? To subtelne zagadnienie. Oczywiście, życie w cywilizacji niesie ze sobą całkowicie inne, złożone wyzwania, takie jak rodzicielstwo czy codzienne troski. Niemniej jednak, jeśli chodzi o chwile zagrożenia życia, które przeszedłem w trakcie ekstremalnych podróży, to są one jednymi z najtrudniejszych, jakie przyszło mi doświadczyć. Stanowią swoiste kamienie milowe w moim życiu. Ciągłe motywują do refleksji i pogłębiania wiedzy. Jednakże istnieje wyraźna różnica między przeżyciem a zrozumieniem. Przeżywanie chwili to jedno, ale naprawdę zrozumieć i wyciągnąć wnioski to zupełnie inna sfera. Możemy przemierzać życie, ale to nie oznacza, że w pełni rozumiemy wszystko, co się w nim dzieje. Przeszłość, tak samo jak teraźniejszość, jest nieustannie źródłem nauki i odkryć. To jak podróż w nieznaną, gdzie co jakiś czas odkrywamy nowe tajemnice. Czasami sądzimy, że historia, zarówno osobista, jak i globalna, jest już zakończona i zdefiniowana. Jednakże ta perspektywa jest często złudna. Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana i wielowymiarowa, niż moglibyśmy przypuszczać. To prawda, że zdrowy rozsądek jest ważny, ale istnieją też obszary, które przekraczają granice naszej obecnej wiedzy. Współczesny rozwój, technologia i nauka to przykłady dziedzin, które posunęły się daleko od tego, co byłoby akceptowalne dla zdrowego rozsądku nawet 100 lat temu.

Jeśli poruszył Pan temat granic, to czy istnieje granica, której Pan nie przekroczy? Rzecz jasna, istnieje wiele takich granic. Jedną z podstawowych jest granica mojej wolności, która się kończy tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka. Istnieje wiele innych, których absolutnie nie przekraczam. Wiąże się z etyką i wartościami, takie jak np. 10 przykazań.

A jeśli chodzi o granice wytrzymałości fizycznej i psychicznej? Tu jestem przekonany, że wiele z tych ograniczeń można przesunąć. Mimo że posiadamy naturalne ograniczenia, takie jak nasza wytrzymałość fizyczna czy psychiczna, to istnieje wiele sposobów, aby je przesunąć. Wyzwania ekstremalne, jak podróże w skrajnych warunkach, pokazały mi, że te granice są plastyczne. To jest też istotne w budowaniu odporności psychicznej - wyjść ze strefy komfortu. To umiejętność stawiania



Kamiński: Chwile zagrożenia życia, które przeszedłem w trakcie ekstremalnych podróży, są jednymi z najtrudniejszych, jakie przyszło mi doświadczyć. Stanowią swoiste kamienie milowe w moim życiu

czoła strachowi, aby zdobyć nowe doświadczenia. Właśnie to podejście pozwala mi przekraczać granice wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Większość z nich można przesunąć poprzez systematyczne wyzwania i trening.

W dzisiejszym świecie wiele osób, w tym trenerzy, coachowie, różni nauczyciele, polecają praktyki związane z rozwojem psychicznym. Jakie jest Pana podejście do tych praktyk? Wpłynęły na Pana życie? Kiedy byłem jeszcze studentem filozofii i fizyki, sceptycznie podchodziłem do praktyk związanych z umysłem, takich jak medytacja czy joga. Wydawało mi się, że są one może nieco oderwane od rzeczywistości. Podczas ekstremalnych wypraw odkryłem, że takie narzędzia mogą mieć ogromny wpływ na wytrzymałość psychiczną. Kiedy było mi tak strasznie ciężko, że myślałem, że za chwilę umrę, to liczyłem do tysiąca. To pomagało. Nie było to nic innego, jak medytacja właśnie. Praktyki te przeszły ze sfery wyłącznie ekstremalnych wypraw do codziennego życia. Takie podejście

stało się integralną częścią mojej rutyny. Mam zasadę, że rano, po obudzeniu, zanim poświęcę czas dla świata, to najpierw poświęcam pół godziny albo 20 minut, a czasem jest to 15 minut dla siebie. Budzę się wcześniej niż domownicy, po to, żeby mieć czas dla siebie, na ćwiczenia oddechowe, medytację, jogę. Mówi się, że joga zaczyna się poza matą, podobnie prawdziwa medytacja zaczyna się nie wtedy, kiedy mamy na nią czas, ale w ciągu dnia, kiedy robię krótką przerwę, aby połączyć się z oddechem. To dla mnie nie tylko narzędzie, ale także sposób życia. Uczą mnie one odnajdywania spokoju i skupienia w codziennym zabieganiu.

Jednymi z narzędzi, o których będzie mowa na Kongresie Mocy, są słowa - ważne w formowaniu naszej psychiki. Jakie słowa wpłynęły na Pana odporność psychiczną? Odpowiem w szerszym kontekście. Jest pewne zdanie, które uważam za prawdziwe i ma ono istotne znaczenie: granica mojego języka to granica mojego istnienia. To, jak myślimy o sobie, w jaki sposób na-

dajemy znaczenie słowom, ma ogromne znaczenie. Nie dotyczy to jedynie samego słowa, ale także tego, jakie znaczenie nadajemy danym słowom. Miłość, marzenia, rodzina - to przykłady słów, którym różni ludzie nadają odmienne znaczenia. Głęboko wierzę, że granice mojego języka wyznaczają ramy mojego istnienia. To właśnie poprzez słowa na początku stworzyłem swój wizerunek, swoją tożsamość. Słowami wykreowałem wizję siebie - filozofa, podróżnika, biegacza. I to z czasem stało się rzeczywistością. Wierzę w moc słowa i w to, że to słowo tworzy nasz świat, nas samych.

Jak brzmią konkretne słowa, które wywarły na Pana największy wpływ? Było ich tak wiele. Często fragmenty poezji Gałczyńskiego czy piosenek Grechuty, które pomagały mi w trudnych momentach. Na przykład fragment pieśni Gałczyńskiego: „Ile listów, ile rozstań, ciężkich godzin w miastach wielu? I znów upór, żeby powstać i znów iść, i dojść do celu”. Albo słowo „timszel”. Ono bardzo mi pomogło.

„Możesz”. Też czytałam „Na wschód od Edenu” i to słowo mnie zachwyciło.

Mam więc swego rodzaju repertuar słów-amuletów, które odgrywają rolę słów mocy i dodają mi sił. Niemniej uważam, że każdy powinien odnaleźć swoje osobiste słowa mocy. To indywidualne, subiektywne doświadczenie. Warto zastanowić się, jakie słowa budują, napędzają i wzmacniają nas w trudnych chwilach. Zanim zaczniemy się nimi posługiwać, musimy zrozumieć ich moc i znaczenie - to decydujący krok w kształtowaniu naszej psychiki i odporności psychicznej.

Mam jasno wyznaczony cel, pragnę go osiągnąć, lecz przytacza mnie ilość informacji, rozprasza codzienne życie. Jak podjąć wyzwanie? Jak zacząć? Opracowałem metodę, którą po raz pierwszy zastosowałem z Jaśkiem Melą. To pięć kroków, które stanowią solidny fundament; definiują drogę do osiągnięcia celu. Przedstawię je w skrócie. Krok pierwszy to: „Odkryj swój biegun”. To umiejętność precyzyjnego zdefiniowania celu. Poznaj siebie, zrozum, dokąd zmierzasz. Krok drugi: „Stwórz mapę drogi”. Określ kroki, toruj drogę ku celowi. To tak, jakbyś układał plan podróży. Krok trzeci: „Pamiętaj, że ważna jest droga, nie cel”. Koncentruj się na motywacji, energii, umiejętności radzenia sobie z porażkami i kreatywnością. Tu tkwi siła napędowa. Krok czwarty: „Sukces czy porażka” - to pytanie na finiszu. Wartościowe jest samo doświadczenie, zarówno zwycięstwa, jak i porażki. Krok piąty: „Poznaj samego siebie”. To niezbędne, by zrozumieć, jakie działania są dla ciebie najskuteczniejsze. To główny czynnik do planowania kolejnych kroków. Ta metoda, choć pozornie prosta, kryje w sobie głęboką mądrość. Każdy krok to element całości, jak równanie, które skrywa swoje tajemnice przy zachowaniu właściwych proporcji. Moje doświadczenia na biegunach i podczas podróży przekonują mnie, że zrozumienie wymaga praktyki, a nie tylko teoretycznej wiedzy. Jak powiedział Antoine de Saint-Exupéry, „aby zrozumieć, trzeba stawać się”. Słowa te idealnie oddają istotę tego, by doświadczyć, zrozumieć i w ten sposób naprawdę się nauczyć. Czytanie tysięcy książek i słuchanie setek wykładów to jedno, ale zrozumienie poprzez praktykę to zupełnie inna rzecz.

Przeszedł Pan 4 tysiące kilometrów do Santiago de Compostela. Po drodze napotkała kobieta powiedziała Panu, że spotka Pan tam lepszą wersję siebie. Co znaczy dla Pana ta idea? Dla mnie idea stawania się lepszą wersją samego siebie od-

nosi się do harmonii między tym, co nosimy w naszym wnętrzu, a tym, co prezentujemy na zewnątrz. Nasze ja wewnętrzne, autentyczne i prawdziwe, zgodne z naszymi wartościami, powinno równać się naszemu obliczu zewnętrznemu. Moje podróże były okazją do zgłębienia siebie, do zanurzenia się we własnych myślach i uczuciach, do zrozumienia mechanizmów, które nas kształtują. W życiu codziennym rzadko mamy czas na taką intymną refleksję. To jak wyruszenie w podróż do wnętrza samego siebie, gdzie odkrywamy, analizujemy i modyfikujemy te mechanizmy, które zwykle działają w nas nieświadomie. Wartościowe jest również docenienie, że pośród naszych uczuć i przekonań znajdują się także te, które przyjęliśmy z otoczenia. To jak zdanie sobie sprawy, że kosmos, który eksplorujemy, to nie tylko wszechświat za oknem, ale także wszechświat wewnątrz nas. Te podróże były moim sposobem na zrozumienie, że nasza wewnętrzna przestrzeń jest równie obszerna, fascynująca i pełna tajemnic, co nasz zewnętrzny świat.

Powiedział mi Pan dwa lata temu: „Najważniejsze, co do tej pory udało mi się osiągnąć w życiu, to wcale nie są bieguny, choć ich zdobycie było fascynującym doświadczeniem”. Co dziś jest dla Pana spełnieniem? Dziś moim spełnieniem jest to, co najbardziej mnie absorbuje. Jest to dynamiczny proces, w którym się rozwijam. Znajdowanie w tym sensu to jak zgłębianie wciągającej księgi, w której każda strona odsłania nową tajemnicę. Być może jest to klucz do nieśmiertelności, nie w formie ciała, ale wpływu, jaki pozostawiamy w umysłach innych ludzi, jeśli nasze myśli, programy czy ideały będą kontynuowane. Życie jest jak niekończąca się wyprawa, a granice, które wydają się materialne czy narzucone przez świat, można przekroczyć. Poszukiwanie nowości, kwestionowanie i zgłębianie nadaje sens temu, co robimy. To jak zdobywanie tajemniczego skarbu, którego nigdy nie poznamy w całości, ale za każdym razem, gdy myśli stają w obliczu tajemnicy, tworzymy kolejny fragment większej historii. Sens życia tkwi w tych niewyjaśnionych zagadkach, w ciągłym pytaniu, poszukiwaniu wciąż nowych odpowiedzi. To ciekawość, która nigdy nie wygasa, pasja, która mnie napędza. To dziedzictwo, które chcę zostawić - nie tylko jako odcisk w piasku czasu, ale jako myśl, ideę, pytanie, które będzie kontynuowane przez inne umysły. To jest dla mnie prawdziwe spełnienie - niekończący się proces odkrywania i dzielenia się tym, co odkrywam.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



Atrakcje dla dorosłych - takie jak sauna - najlepiej „smakują” w dorosłym towarzystwie

URLOP BEZ „BOMBELKÓW”

Dzieci kochamy, ale... niekoniecznie chcemy w ich towarzystwie spędzać urlop. Przed dekadą hoteli tylko dla dorosłych szukaliśmy za granicą. Teraz są już u nas.

Małgorzata Oberlan

Splajtuje! - ostrzegła mnie koleżanka, gdy ruszaliśmy z naszym pomysłem. To było ponad osiem lat temu. Okazało się jednak, że trafiliśmy w tak zwaną niszę rynkową w Polsce. Właściwie przez cały czas mamy pełne obłożenie - mówi Ewa Mieruszewska, która wraz z mężem Markiem prowadzi Siedlisko Gacanek w Borach Tucholskich.

„Siedlisko przyjazne dorosłym. Zapraszamy bez dzieci i młodzieży” - lojalnie uprzedza Gacanek wszędzie, gdzie się da - na stronie internetowej, profilu facebookowym, podczas telefonicznej informacji. I jest już jednym z wielu miejsc w Polsce, które ma taką ofertę i bez obaw przed hejtem ją prezentuje.

Dorosły urlop w Borach Tucholskich: pełen wiekowy przekrój gości

Ach, jak tu pięknie. I ta cisza, spokój... To zazwyczaj pierwsze wrażenia gości, którzy przyjeżdżają pierwszy raz do Gacanki. Potem okazuje się, że aż tak całkowicie spokojnie być nie musi. To siedlisko w gminie Cekcyn w Borach Tucholskich jest bowiem połączeniem agroturystyki z regionalną galerią sztuki. Ciekawych wydarzeń zatem tu nie brakuje, a gospodarze są nie tylko serdeczni, ale i towarzyscy.

Kim są nasi goście, pragnący odpoczynku bez obecności dzieci i nastolatków? Zdziwi się pani. To naprawdę pełen przekrój wiekowy ludzi. Od studentów i studentek (często z psami; u nas są mile widziane), przez pary i singli w średnim wieku po emerytów - opowiada Ewa Mieruszewska.

Gospodyni zaznacza, że sama bardzo lubi dzieci. Ba, nie może doczekać się wnuków i o tym mogłaby naprawdę długo rozmawiać. Wraz z mężem postawili jednak przed laty na pomysł, który w Polsce dopiero kielkował, nazywany był „zachodnią modą”, a przez całkiem spore grono rodaków bywał wówczas krytykowany. Szybko jednak się okazało, że goście spragnionych odpoczynku bez towarzystwa „bombelków” - własnych i cudzych - jest moc.

Motywacje gości bywają różne, ale to już ich sprawa. Ktoś może nie lubić hałasu. Ktoś inny dzieci lub wnuki przez cały rok ma blisko siebie i może chcieć odetchnąć od nich. Jeszcze inni, np. ludzie młodzi, są na etapie fascynacji własnym towarzystwem. W Gacanku wszyscy znajdują: spokój, piękno przyrody i borowiackiej architektury, wspomniany

kontakt ze sztuką regionu, swoje i dodatkowe atrakcje.

Jakie to dorosłe przyjemności? Ot, na przykład sauna, łódź wiosłowa na wyprawy po jeziorze czy też wiata biesiadna z grilem nad brzegiem. Bez „bombelków” dorosły człowiek może relaksować się nawet do świtu. Warunek: nie przeszkadza przy tym innym wypoczywającym.

Początki w Polsce były niełatwe. Na niektórych wylało się sporo hejtu

„Children free” lub „Adults only” - tak prosto reklamują się hotele dla dorosłych za granicą. Turcja, Włochy, Majorka, Egipt... Kierunków nie brakuje. Od wielu lat nikt nie robi tam problemu, że jakiś hotel czy pensjonat kieruje swoją ofertę wyłącznie do osób dorosłych. W Polsce ten trend rozwija się od około dekady. Dziś już na całego. Nie brakuje hoteli pięć- i czterogwiazdkowych czekających tylko na pełnoletnich gości, ale i skromnych apartamentów czy gospodarstw agroturystycznych. Tyle że słowa, takie jak w Gacanku („Zapraszamy bez dzieci i młodzieży”) nie każdy gospodarz ma odwagę wyartykułować. Nie wspominając o spotykanych za granicą zwrocie „Tylko dla dorosłych”.

„Azyl dla dorosłych”, „Obecność dzieci należy wcześniej uzgodnić”, „Bez atrakcji dla dzieci” - takich zwrotów używa się wciąż w Polsce. Albo oficjalnie nie używa się żadnych, tylko - szczególnie w przypadku mniejszych pensjonatów czy agroturystyk - wieść rozchodzi się pocztą pantoflową. Bywa też jeszcze inaczej - hotel oficjalnie oferuje „pokoje rodzinne”, ale opis jego oferty od razu wskazuje, że dla dzieci praktycznie niczego tu nie przygotowano, nawet miniplacu zabaw.

Przed laty hotelarze startujący z ofertą tylko dla dorosłych bawili narażeni na hejt. Jakies echa tamtych sytuacji być może mają zatem wpływ na dzisiejszą ostrożność w reklamowaniu się.

Hejtu doświadczył np. hotel Leda Spa z Kołobrzegu, który przed laty zmienił profil działalności ze standardowej na „16 plus”. Poprzedziło to badanie rynku. Reakcja części społeczeń-

stwa była jednak przykry. Niedawno wspominała to Monika Różewska-Chudzik, rozmawiając z Sylwią Król, dziennikarką portalu Turystyka wp.pl: „Hejt, który nas spotkał po tym, gdy staliśmy się obiektem 16+, był ogromny” - mówiła. „Oczywiście liczyliśmy się z krytyką, ale to, co się wydarzyło, było trudne do przewidzenia” - opowiada i dodaje, że personel przez długi czas musiał mierzyć się z wieloma nieprzyjemnymi sytuacjami, a także uwagami o charakterze stricte personalnym.

Czego Polak szuka na wakacjach bez dzieci? Bywa, że dorosłych atrakcji

Joanna z Torunia właśnie wróciła z Suwalszczyzny. Wraz z mężem spędzili tu wspaniały urlop w pewnym hotelu, który oferuje „pokoje rodzinne” i oficjalnie dzieci (nawet małe) przyjmuje, ale... - Byliśmy tam już drugi rok z rzędu i „bombelków” nie ma. Goście dobrze wiedzą, że taka jest specyfika tego hotelu. Po prostu żadnych atrakcji ani udogodnień dla dzieci czy rodziców z potomstwem się tu nie oferuje. Przeciwnie - gwarantuje się to, czego szukają osoby dorosłe takie jak my: ciszę, spokój, piękno krajobrazu, spotkanie z duchowością i historią. Nie znajdziesz tu żadnej zabawki dla malucha, karuzeli, huśtawki etc. Zatem przekaz oferty jest jasny - mówi Joanna.

Szukający noclegów bez dzieci goście nie zawsze marzą tylko o ciszy i spokoju. I hotelarze dobrze o tym wiedzą. Są tacy, którzy oferują (i w tym się specjalizują) sporty ekstremalne dla dorosłych. Albo kuszą wachlarzem dorosłych przyjemności typu „bogato zaopatrzone bar” lub „sauna i basen dla beztekstylowych”. W tym drugim przypadku uprzedzają wprost, że wręcz „obowiązuje zakaz noszenia strojów kąpielowych”!

Są i takie miejsca, jak wspomniany hotel na Suwalszczyźnie, ale i np. siedliska w Bieszczadach czy Beskidzie Niskim (niektóre prawie już kultowe), które dorosłych zapraszają właśnie na spotkanie z duchowością, medytacje, rekolekcje, specjalne warsztaty etc. W takich okoliczno-

ściach przyrody żaden nastolatek nie wytrzyma: nie ma zasięgu, obowiązuje zasada bycia offline.

Wyrzuty sumienia, bo szukamy miejsca bez dzieci? Coraz rzadsze

W internetach zostały ślady zagorzałych dyskusji, jakie rodzący o urlopowaniu bez „bombelków” (własnych i cudzych) toczyli przed laty. Znaleźliśmy choćby taką z roku 2011, która trwała lat kilka, na bardzo popularnym forum dla matek. Rozpoczęło ją pytanie kobiety, która wahała się, czy pojechać z mężem na urlop bez dziecka i czy da się znaleźć taki polski hotel, gdzie tych ukończonych stworzeń nie będzie.

Jedno pytanie, a potem... Kilka-kaset wpisów! Najrozmaitszych. Od porad, jak jednak pojechać z dzieckiem i być zadowolonym po ostrej krytyce hoteli tylko dla dorosłych. Zrzadka pojawiały się głosy zrozumienia i wsparcia.

Tak było przed dekadą. A obecnie?

Czasy i obyczaje się zmieniają. - Błoga cisza. Spokój. Żadnych biegających, płaczących czy rechoczących bąbelków... Wychowałam trójkę dzieci, jestem już nawet babcią, a z wykształcenia pedagogiem. Naprawdę kocham dzieci, ale niekoniecznie na urlopie, na który czekam cały rok - mówi pani Joanna. Wyrzutów sumienia żadnych nie ma. I o urlopie w hotelu bez dzieci, kolejnym już, opowiada znajomym głośno i otwarcie.

Jeszcze bardziej otwarty jest Artur, trzysiętletni singiel, również z Torunia. - Dzieci nie planuję. Niespecjalnie dobrze czuję się w towarzystwie maluchów. Przynajmniej dwa razy w roku jedziemy z paczką znajomych na męski wypad. Wiesz - rower, pływanie, skałki czasem. Wieczorem ognisko i piwo. Dzieci do tego nie pasują. My nie pasujemy z tym do dzieci. Skoro są miejsca ze specjalnymi atrakcjami dla rodzin z dziećmi, to w czym tutaj problem? - pyta retorycznie.

Takich gości przybywa. Przybywa zatem i miejsc specjalnie dla nich. Zanim jednak zaczną działać pod jasnym szyldem „Adults only” pewnie jeszcze trochę wody w Wiśle upłynie.



Sielsko - anielsko jest w Gacanku, nic dziwnego, że przyjeżdżają tutaj szukający ciszy

Diagnostyka+



Punkty pobrań:

Słupsk, ul. Jana Pawła II 1a

pon.-pt. 7:00-16:00;
pobieranie materiału do 14:30
sob. 7:00-12:00;
pobieranie materiału do 11:30
Punkt przyjazny dzieciom

Punkt pobrań realizuje program 40+

Słupsk, ul. Wileńska 30

(dawna przychodnia kolejowa)
pon.-pt. 6:45-14:00;
pobieranie materiału do 13:30
sob. 7:00-10:00;
pobieranie materiału do 9:30
Punkt przyjazny dzieciom

Punkt pobrań realizuje program 40+

Słupsk, ul. Tuwima 23

(po przeciwnej stronie DH Manhattan
i Wokulski obok salonu sukien ślubnych)
pon.-pt. 6:30-12:00;
pobieranie materiału do 11:30

Punkt pobrań realizuje program 40+

Słupsk, ul. Szczecińska 59A

(przychodnia rehabilitacyjna Gryf, za US)
pon.-pt. 7:00-11:00; pobieranie materiału do 10:30

Słupsk, ul. Pl. Dąbrowskiego 6

(Karina Center)
pon.-pt. 7:00-10:00;
możliwość umawiania się przez aplikację Booksy

Ustka, ul. Kopernika 19

pon.-pt. 6:30-12:00; pobieranie materiału do 11:30,

Sławno, ul. Koszalińska 4

pon.-pt. 7:30-11:00; pobieranie materiału do 10:30

Lębork, ul. Aleja Wolności 40a

pon.-pt. 7:15-11:00;
pobieranie materiału do 11:00
sob. 7:00-10:00;
pobieranie materiału do 9:30

Punkt pobrań realizuje program 40+

Infolinia laboratorium tel. 59 840 24 28

diagnostyka.pl

Przeszczepiona świńska nerka funkcjonowała w ludzkim ciele 30 dni

oprac. Anna Nagel
Waszyngton

Naukowcy mają nadzieję, że przeszczepę międzygatunkową pomogą ludziom czekającym na ratujące życie narządy.

Chirurdzy z nowojorskiego Uniwersytetu Langone wykazali, że przeszczepiona świńska nerka może funkcjonować w ciele człowieka ponad miesiąc - poinformowała agencja AP.

Chirurdzy przeszczepili nerkę świni do ludzkiego ciała z martwym mózgiem. - Mamy genetycznie zmodyfikowaną nerkę, której udało się funkcjonować przez ponad miesiąc - powiedział dyrektor instytutu transplantologii Robert Montgomery. Jest to najdłuższy okres funkcjonowania świńskiej nerki u człowieka, choć zmarłego. - Te wyniki dają podstawę do badań na żywych pacjentach - podkreślił Montgomery.

Badacze liczą na to, że tego typu przeszczepy pomogą pacjentom potrzebującym narządów ratujących życie.

W samych Stanach Zjednoczonych ponad 103 000 osób potrzebuje przeszczepu narządu, z czego 88 000 nerki. Sukcesy takie jak eksperyment w Langone mogą pomóc w przyspieszeniu tych wysiłków. W środę uniwersytet w Birmingham poinformował, że para świńskich nerek funkcjonowała bez problemu w innym ciele przez tydzień. PAP

Grzegorz Kuczyński
Wojna w Ukrainie

Dwa i pół miesiąca kontrofensywy ukraińskiej nie przyniosło znaczących efektów. Ani w wymiarze terytorialnym, ani strategicznym.

Coraz częściej w Kijowie i na Zachodzie pojawiają się głosy, że przełomu już nie będzie. Tym bardziej że jest coraz bliżej jesieni ograniczającej ruchy wojsk. Dlaczego ukraińska kontrofensywa nie zakończyła się sukcesem na miarę jesiennych operacji w obwodzie charkowskim i obwodzie chersońskim?

Blisko dwa miesiące zajęło siłom ukraińskim dotarcie w szeregu miejsc do tzw. linii Surowikina, czyli głównego pasa umocnień rosyjskich na południu Ukrainy. Ukraińcy ostatnio skupili się na próbach ataków na trzech kierunkach: Bachmutu, Berdiańska i Melitopola. Jednak zdobywana raz na 2-3 tygodnie jakaś wioska to nie zapowiedź przełamania frontu. Widać, że problemem z punktu widzenia Kijowa nie jest tylko umocniona linia obronna Rosjan.

Właściwie od początku dyskusji o wielkiej kontrofensywie jako warunek konieczny rozpoczęcia takiej operacji wymieniano odpowiednio duże wzmocnienie sił ukraińskich ciężką bronią pancerną z Zachodu, jak też - co oczywiste - przeszkoleniem Ukraińców



Złożony z trzech linii obronnych pas rosyjskich fortyfikacji, czyli tzw. linia Surowikina stanowi ogromne wyzwanie dla Ukraińców

do posługiwania się takową. Tymczasem cały proces dostaw takiej pomocy, a wcześniej zatwierdzenia, jaka broń, w jakiej liczbie, i kiedy trafi na Ukrainę, był dość chaotyczny.

Zachód dostarcza Ukrainie zróżnicowany i często niekompatybilny sprzęt, na dodatek z różnych technologicznych epok. Co wywołuje problemy z logistyką. Według projektu Oryx, ukraińskie siły zbrojne mają co najmniej dziewięć różnych transporterów opancerzonych, kilkanaście bojowych wozów piechoty i około dziesięciu typów czołgów (od so-

wieckich T-72 po nowoczesne Challenger i Leopardy). To komplikuje planowanie i wykonywanie operacji, stanowi też ból głowy przy kompletowaniu załóg. Po drugie ten sprzęt napływa powoli, niewielkimi partiami, co oznacza, że na froncie to się rozmywa w morzu po-

Stratedzy wojskowi i decydenci zaczynają już myśleć o przyszłorocznej wiosennej ofensywie, którą miałyby rozpocząć Ukraina

trzeb ukraińskich. Po trzecie, niektóre kraje zachodnie opóźniają dostawy, co komplikuje cały harmonogram wykorzystania pomocy wojskowej przez Ukrainę. Jest mało prawdopodobne, aby ukraińskie dowództwo nie widziało wszystkich tych słabości swojej armii i przewag wroga - świadczy o tym choćby fakt, że rozpoczęcie kontrofensywy było wielokrotnie przekładane. W końcu musiała ona ruszyć, ale już wiadać, że szanse na przełamanie wroga topnieją dosłownie z każdym upływającym dniem dobrej letniej pogody.



W samych Stanach Zjednoczonych ponad sto tysięcy osób potrzebuje przeszczepu narządu

W Sudanie jednego dnia mogło zginąć nawet tysiąc cywilów

oprac. Karolina Wrońska
Al-Dżunajna

Masakry dokonano, gdy ludzie uciekali przed trwającym od kwietnia konfliktem między paramilitarnymi Siłami Szybkiego Wsparcia (RSF) a sudańskim wojskiem.

Według dziennikarzy amerykańskiej stacji CNN mordy miały podłoże etniczne i zostały dokonane przez arabskie RSF i sprzymierzone z nimi bojówki na czarnej ludności. Masakra trwała od 15 do 17 czerwca.

We wczesnych godzinach porannych mieszkańcy Al-Dżunajny, miasta przy granicy z Czadem, szukając schronienia, postanowili udać się do niedalekiej bazy wojskowej armii sudańskiej. Niemal natychmiast rozpoczęły się ataki RSF. Ścigano mieszkańców nie arabskiego pochodzenia

w różnych częściach miasta i wokół niego. Część osób zginęła w pokazowych egzekucjach na ulicach, inni utopili się, próbując masowo przepłynąć rzekę - opowiedzieli świadkowie masakry. Wielu z tych, którym udało się wy dostać z miasta, wpadło w zasadzkę zastawioną tuż przy granicy z Czadem.

- 15, 16 i 17 czerwca to najkrwawsze dni w Al-Dżunajnie - powiedział pracownik organizacji pomocowej, który pomagał w zbieraniu ciał zamordowanych z ulic i oszacowaniu liczby ofiar. - 15 czerwca był najgorszy z nich wszystkich - dodał.

Stacja CNN przeanalizowała nagrania wideo, zdjęcia i fotografie satelitarne, zebrała 11 świadectw ocalałych z masakry w Darfurze oraz pracowników humanitarnych i chirurga, który leczył rannych w Czadzie. O masakrze opo-



Część osób miała zginąć w pokazowych egzekucjach na ulicach, inni utopili się, próbując dostać się do Czadu

wiedzieli uchodźcy, którym udało się przedostać przez granicę. - Dowody zebrane przez CNN sugerują, że RSF i ich sojusznicy prowadzą kampanię morderstw i przemocy seksualnej, niepodobną do niczego, co widziano w re-

gionie od dekad - pisze stacja na swoim portalu. „Powiedzenie, że pochodzi się (z grupy etnicznej) Masalitów, oznaczało wyrok śmierci” - skomentował Jamal Khamiss, prawnik, któremu udało się uciec do Czadu, gdzie przekaza-

zał informacje o masakrach, które miały na celu zagładę jego ludu. - Widziałem jednostki RSF na własne oczy. Mieli pojazdy z tablicami rejestracyjnymi RSF. Mieli na sobie mundury i nakrycia głowy Dżandżawidów (zbrojnej milicji mużulmańskiej) - powiedział Khamiss.

Duża część tych, którym udało się uciec do Czadu, trafiła do przygranicznego miasta Andre. 15 czerwca przyjęto tam najwyższą liczbę uchodźców w ciągu jednego dnia oraz odnotowano największą liczbę rannych - 261 - odkąd rozpoczął się konflikt w Sudanie, jak wynika z informacji Lekarzy Bez Granic.

Następnego dnia liczba rannych zwiększyła się o kolejnych 387 osób. Doktor Papi Maloba, jedyny chirurg pracujący 15 czerwca w Andre, powiedział, że większość rannych, którymi się zajmował,

została postrzelona w trakcie ucieczki, rany można było odnaleźć na plecach, nogach i pośladkach.

Darfur został spustoszony w przeszłości przez trwające dziesięciolecie czystki etnicznej. Na ich czele stał Mohamed Hamdan Dagalo - przywódca arabskich Dżandżawidów, a obecnie dowódca RSF, który ożywił metodę czystek w ogólnokrajowej walce o przejęcie kontroli nad Sudanem - uważa CNN.

Siły RSF pod koniec kwietnia wielokrotnie ostrzeliwały Al-Dżunajnę, co doprowadziło do śmierci setek osób w pierwszych miesiącach przemocy. Walki nasiliły się na początku czerwca, a ich kulminacją była egzekucja gubernatora Darfuru Zachodniego Khamisa Abbakara, 14 czerwca, dzień przed masakrą opisaną przez stację CNN. PAP

tygodnik Regionów

Piątek, 18.08.2023

PITAWAL POMORSKI

Ciosów było około 30. Co spowodowało, że zostały zadane? Zazdrość? **str. 12**

SZCZECIN

Będąc strażakiem, zdobywa trofea i bije rekordy w sporcie **str. 13**

TURYSTYKA

W Szkocji z dudziarzem, a w Irlandii z klifami, czyli świat z roweru **str. 14-15**

KONTROWERSJE

Wojskowy piknik, kiedy trwa wojna? Ile wolno w rekonstrukcji **str. 18-19**



Kiedyś niektórzy jeździli nim do Bułgarii, teraz objeżdża Bałtyk (z kłopotami)

Wielka podróż małym fiatem. Młody koszlinianin zakochał się w modelu 126p i pojechał nim dookoła Bałtyku. W związku z tym, że wrócił, planuje kolejne wyprawy **str. 16**

Stres wojenny czy zawiedziona miłość? - sprawa Viacheslava P.

Mariusz Parkitny
Szczecin

Stanisława ma piękną twarz i nerwy ze stali. Widziała, jak z Aleksandra uchodzi życie, gdy każdy z 27 ciosów nożem rozrywał mu kolejne części ciała. Próbowała ratować ukochanego, ale nie miała szans. - Proszę pokazać, jak sprawca zadawał ciosy - dostała polecenie w sądzie. Wykonała je bez zmruczenia oka.

Dramat rozegrał się w środowisku obywateli Ukrainy mieszkających w Szczecinie.

43-letnia Stanisława jest głównym i naocznym świadkiem zabójstwa Aleksandra. Według prokuratury mordercą jest 37-letni Viacheslav P.

Ale on nie przyznaje się do winy. Albo inaczej. Podejrzewa, że mógł zadać każdy z 27 ciosów, ale zapewnia, że nic z tego nie pamięta. I odwołuje się do swoich wojennych doświadczeń, które mają go przynajmniej w części usprawiedliwić. Czy sąd przyjmie jego linię obrony?

Cios padał za ciosem

Przed Sądem Okręgowym w Szczecinie rozpoczął się proces 37-letniego Viacheslava P. 25 czerwca 2022 roku na ulicy Gombrowicza na szczecińskim osiedlu Majowym zabił znajomego z pracy. Zwykłym kuchennym nożem zadał mu prawie 30 ciosów.

- W tym w serce, płuca i inne narządy wewnętrzne, powodując u pokrzywdzonego masywny krwotok wewnętrzny, skutkujący zgonem - oskarża prokurator.

Viacheslav P. do Polski z Ukrainy przyjechał z nastoletnią córką nie tylko przed wybuchem wojny, ale na tydzień przed wybuchem pandemii koronawirusa.

Był już wtedy związany ze Stanisławą P. Wspólnie zamieszkali w jednym z mieszkań przy ulicy Gombrowicza. Jednak życie, jak to życie dość szybko poddało weryfikacji. marzenia i oczekiwania przede wszystkim kobiety.

- On się okazał damskim bokserem. W końcu z nim zerwałam - twierdzi kobieta.

Rozstali się wiosną 2022 r., czyli trzy miesiące przed tragedią. Stanisława związała się z Aleksandrem O., ich wspólnym kolegą z pracy, który na Ukrainie miał żonę i dwoje



Viacheslav P. w drodze na salę sądową. Przed szczecińskim sądem odpowiada za zabójstwo swojego rodaka, którego miał się dopuścić na jednym ze szczecińskich osiedli. Pograżają go zeznania byłej konkubiny

małych dzieci. To właśnie jego zabije Viacheslav P.

Kombatant sprzed lat

Oskarżony Ukrainiec twierdzi, że ma wykształcenie wyższe, a z zawodu jest ekonomistą. Nie był do tej pory karany.

Podobno brał udział w wojnie na Ukrainie w 2015 roku. To wtedy miał przeżyć traumę, która zapoczątkowała u niego syndrom stresu wojennego.

- Byłem saperem. W pewnym momencie Rosjanin strzelił do mnie serią z bliskiej odległości. Nic z tego nie pamiętam. Życie uratowała mi kamizelka kuloodporna. Na miesiąc trafiłem do szpitala - opowiada.

W obecnej wojnie na Ukrainie nie bierze już udziału, bo mama, która wciąż tam mieszka, poprosiła go, aby został w Polsce i nie narażał się.

Oskarżony twierdzi, że zarówno swoją wojenną sytuację z 2015 r. pamięta jak przez mgłę, podobnie jak niedawny atak nożem na ulicy Gombrowicza. Ale przedstawia wersję zdarzeń, która ni jak ma się do tego, co opowiadają świadkowie. M.in. Stanisława P.

- Gdy z nim zerwałam, nie miałam spokoju. On codziennie w pracy przekonywał mnie, żebym do niego wróciła. Dlatego ukrywaliśmy nasz zwią-

zek z Aleksandrem, aby nie prowokować niezdrowych sytuacji. Z Aleksandrem było nam dobrze ze sobą. On był inny niż Viacheslav - mówiła.

Viacheslav szybko domyślił się, że była dziewczyna ma nowego partnera. Ponoć nawet ich śledził i urządził awanturę w jednej z aptek.

Prawdą jest, że 25 czerwca 2022 r. spał przy otwartym oknie ze względu na gorącą noc i słyszał jak z dołu Aleksander woła go w obraźliwy sposób.

Spór polityczny?

Od tego momentu wersje są już rozbieżne. Ukrainiec twierdzi, że to Aleksander zaatakował go nożem, który przynieśli ze sobą, na polecenie Stanisławy.

- Ja się tylko broniłem, dlatego miałem rany na dłoniach. Nie pamiętam, co było dalej. Ten zanik zdarzył mi się już drugi raz. Pierwszy raz wtedy podczas akcji saperskiej. Byłem przekonany, że Aleksander żyje. Po tym wszystkim poszedłem do lasu odetchnąć świeżym powietrzem. I zatrzymała mnie policja. Bardzo żałuję. Gdybym wyjechał na obecną wojnę na Ukrainie, nie doszłoby do tego - mówi.

W sądzie powiedział, że to Stanisława miała namawiać

Aleksandra, aby zaatakował go nożem.

- Czemu pan wcześniej o tym nie mówił - pytał sąd.
- Bo nie chciałem, aby miała kłopoty - odparł.

Twierdzi, że Aleksander go nie lubił, bo Viacheslav jest ukraińskim patriotą, a Aleksander woli Rosję.

- On był prorosyjski. Wypytywał mnie, gdzie jest jed-

nostka NATO i wojskowe garnizony w Szczecinie. W zamian mówił, że da mi narkotyki, ale ja nie używam narkotyków - opowiadał na sali sądowej.

Ale nawet jego córka twierdzi, że nóż, którym zabiła Aleksandra, był w ich domu, bo Stanisława nie wzięła go ze sobą, gdy wyprowadzała się od nich.

Stanisława była bezpośrednim świadkiem zabójstwa.

W noc zabójstwa przechodzili z Aleksandrem obok bloku oskarżonego. Szli na stację benzynową. Aleksander chciał wiedzieć, gdzie mieszka jej były chłopak. Ona mu pokazała. Ten zaczął do niego dzwonić i wulgarnie krzyczeć z dołu.

Gotowa na wariograf

- W pewnym momencie zobaczyliśmy, że Viacheslav idzie w naszym kierunku. Jedną rękę miał schowaną z tyłu. Gdy to zobaczyliśmy, to przystaliśmy. A on zaczął do nas biec. Wtedy zobaczyłam nóż. Aleksander zaczął uciekać. Doszło do szamotaniny. Potem Viacheslav zaczął zadawać ciosy nożem. Ja w tym czasie dzwoniłam na policję i próbowałam reanimować Aleksandra, kiedy Viacheslav zakończył swój atak - opowiada.

Jest przekonana, że ani przez chwilę jej chłopak nie miał w ręce noża. Jest gotowa poddać się badaniu wariografem.

- Viacheslav skończył zadawać ciosy i przeszedł koło mnie, wracając do klatki. Powiedziałam, żeby mnie też zarżnął. Ale on się tylko uśmiechnął i splunął na mnie - opowiada kobieta.

W sądzie została poproszona, aby pokazała, jak sprawca zadawał ciosy. Zrobiła to bez zmruczenia oczu. Viacheslav przyglądał się jej z ławy oskarżonych. Nie oponował. Na twarzy nie pojawił się żaden grymas złości za to, że kobieta go pograża. Przeciwnie. Wyglądał, jakby nadal był w niej zakochany.



Stanisława z pomocą tłumacza pokazuje, w jaki sposób Viacheslav dźgał jej byłego partnera. Na twarzy oskarżonego nie widać absolutnie żadnych emocji

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

FOT. MARIUSZ PARKITNY

Strażak na medal. Jest niepokonany, bo robi swoje

Tomasz Biel
Rozmowa

Z Przemysławem Barańskim z Komendy Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Szczecinie.

Pochodzący z Trzebiatowa strażak na World Police and Fire Games (mistrzostwach świata służb mundurowych) w Winnipeg (Kanada) zdobył 3 brązowe medale, w biegach na 400 m, 800 m i 3 000 m z przeszkodami.

Skąd wziął się pomysł na to, żeby zostać strażakiem?

Zawsze chciałem pomagać ludziom. To było we mnie od młodych lat. Zaczęło się w sumie od startowania w konkursach wiedzy pożarniczej. Taki mamy konkurs Ogólnopolski Turniej Wiedzy Pożarniczej „Młodzież zapobiega pożarom”, w którym brałem udział i zajmowałem wysokie miejsca w Zachodniopomorskiem. Poszerzałem swoją wiedzę, a że chciałem pomagać ludziom i chciałem być aktywnym człowiekiem i lubiłem, jak coś się dzieje, to postanowiłem wystartować w naborze i wstąpić w strukturę PSP.

Kiedy to się zaczęło?

To był koniec gimnazjum, początek liceum, czyli około 15 lat temu. Zostałem przyjęty do służby w grudniu 2012 roku i obecnie mam 11 lat służby w PSP.

Można powiedzieć strażak z powołania?

Raczej tak, bo rodzinie to miałem wujka i kuzyna w Ochotniczej Straży Pożarnej. W jakimś stopniu miało to wpływ, ale ja sam z siebie wiedziałem, co w życiu chcę robić. Tak naprawdę samodzielnie wstąpiłem w szeregi Ochotniczej Straży Pożarnej w Trzebiatowie w 2010 roku, a jak już wspominałem w 2012 roku w grudniu zostałem przyjęty jako funkcjonariusz do Państwowej Straży Pożarnej, czyli tak naprawdę po 3 latach.

Gdzie teraz służysz?

Od samego początku pełnię służbę w Komendzie Miejskiej PSP w Szczecinie w Jednostce Ratowniczo - Gaśniczej nr 2.

Straż pożarna to powołanie i zawód, a sport jest pasją?

Tę pasję zaszczepił mi tata, Bogusław Barański. Zawsze byłem aktywną osobą. Na po-



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Przemysław Barański: - Jak przewycięzamy słabości i robimy swoje, to nikt na świecie nas nie pokona

czątku grałem w unihokeja i biegałem. W unihokeju w sezonie 2006-7 zdobyłem z drużyną wicemistrzostwo Polski juniorów. Generalnie zawsze startowałem w dużej ilości konkurencji sportowych, a systematyczne treningi zaczęły się od 12 roku życia. Od początku gimnazjum treningi i rywalizację w zawodach potraktowałem bardzo poważnie i z jednoroczną przerwą, kiedy dopadła mnie kontuzja, trenuję i biorę udział w zawodach do dzisiaj. Średnio wychodzi od 35 do 40 startów rocznie, zależy od prio-

rytetów w danym sezonie. Na wyższy poziom wskoczyłem od 2018 roku, kiedy zacząłem się specjalizować w biegach na stadionie. Od pięciu lat stosuję specjalistyczne treningi i startuję na różnego rodzaju zawodach, mityngach na bieżni. W 2022 roku wystartowałem pierwszy raz na zawodach mistrzowskich o randze międzynarodowej. To były World Firefighters Games (światowe igrzyska strażaków) w Lizbo-

Jak wtedy poszło?

Zdobyłem 6 medali, 4 indywidualne, 2 w sztafecie. W tym samym roku były światowe igrzyska mundurowych w Rotterdamie, które zostały przeniesione z 2021 roku ze względu na pandemię, gdzie wystartowałem w dwóch sztafetach 4x100 o 4x400, zdobywając złoto i srebro z kolegami.

Czyli te trzy brązowe medale to są pierwsze indywidualne medale na igrzyskach służb mundurowych?

Zgadza się na World Police and Fire Games to są pierwsze indywidualne medale. Wcześniej były zdobyte w sztafecie. Mam nadzieję, że zdrowie i dyspozy-

cja pozwoli wystartować w kolejnych mistrzostwach w Birmingham-Alabama (USA) w 2025 roku i powalczyć o kolejne medale.

W jakiej kategorii startujesz?

Obecnie mam 30 lat, więc 30-34 lata. Kategoria open jest do 29, a potem przedziały pięcioletnie każdej następnej kategorii. Można powiedzieć, że ta kategoria, w której występuję teraz, jest najgorsza, bo wszyscy zawodnicy przechodzący w spoczynek zawodowy, jeśli chodzi o profesjonalny sport, to wступują do służby mundurowej najczęściej właśnie w tym wieku.

Cztery starty, trzy medale. Czy wyjeżdżasz z Winnipeg zadowolony ze swoich wyników?

Zadowolony, przyjechałem tu walczyć o jeden medal. Planowałem, że może się uda na 800 m, bo specjalizuję się w tej konkurencji i ten dystans najbardziej mi odpowiada. Sytuacja rodzinna ostatnio jest dla mnie ciężka i w sumie przyjechałem na mistrzostwa z takim podwójnym bagażem. Mój tata, Bogusław Barański, zmarł w połowie lipca. On był moim pierwszym trenerem i zawsze,

nawet jak wyjechałem z Trzebiatowa, to zawsze mi doradzał, dawał wskazówki. Wyjeżdżam na pewno bardzo zadowolony, bo różne przebiegi sytuacji, które tu nastąpiły, pozwoliły mi zdobyć 3 medale. Nie myślałem, że aż tyle tu zdobędę. Moje doświadczenie i odpowiednia taktyka zaprocentowały, jak widać bardzo skutecznie.

Co przyjedzie i powie swoim młodym podopiecznym w Szczecinie trener, wracając z trzema medalami?

Zawodnikom, których prowadzę, na pewno powiem, że mimo wszystko trzeba robić swoje i nie patrzeć na innych rywali. Jeśli robimy swoje i przewycięzamy swoje słabości, to nikt nas nie pokona.

Komu chciałbyś podziękować?

Przed wszystkim najbliższymi, mojej mamie Dorocie, rodzinie za ogromne wsparcie, przyjaźniom i znajomym za kibicowanie i trzymane kciuków oraz wspaniałej Polonii z Winnipeg w Kanadzie za bardzo miłe przyjęcie i kibicowanie na zawodach. Dziękuję sponsorom, firmom i instytucjom za wsparcie i wyjazdy. ©©

MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE

0010882354

5G na wyciągnięcie ręki – sprawdź nowy T Tablet i T Phone'y od T-Mobile

Dostęp do najnowszych technologii łączności nie musi być drogi. Świetnym przykładem są propozycje urządzeń od T-Mobile. W zeszłym roku operator wypuścił na rynek własne smartfony T Phone 5G, a teraz nadszedł czas na kolejną generację tych urządzeń, a także zupełnie nowy T Tablet. Jak T-Mobile zwiększa dostępność rozwiązań 5G i co jeszcze znajdziemy w ofercie?

T-Mobile odpowiada na potrzeby polskiego rynku

Sieć 5G to jedna z najważniejszych innowacji ostatnich lat na rynku mobilnym. Nowa technologia łączności niewątpliwie ma wiele zalet, docenianych przez polskich klientów. Warto spojrzeć na garść statystyk zebranych przez T-Mobile – według badań przeprowadzonych przez operatora aż 72% osób uważa, że technologia 5G oznacza łatwiejszy kontakt z bliskimi i korzystanie z internetu. Jednocześnie 78% Polaków chce powszechnego dostępu do nowej sieci. T-Mobile nieustannie pracuje nad zwiększeniem dostępności 5G, zarówno przez rozwój infrastruktury, jak i swoich usług. W ostatnim czasie sieć dodała do swojej oferty także

nowe urządzenia: smartfony T Phone oraz T Tablet.

Dlaczego warto wybrać sieć 5G?

Co sprawia, że sieć 5G jest tak atrakcyjna dla użytkowników? Jednym z głównych czynników jest na pewno prędkość, znacząco większa niż w przypadku 4G. Teoretycznie z 5G można osiągnąć tempo transferu na poziomie ponad 10 Gb/s, podczas gdy dla LTE maksimum wynosi 300 Mb/s. Do tego dochodzi także wyjątkowa stabilność sieci 5G, jak również bardzo niski ping – pod tym względem nowa generacja łączności mobilnej dorównuje nawet połączeniom światłowodowym. W efekcie 5G to łatwiejsze, wygodniejsze i szybsze korzystanie z internetu, co otwiera zupełnie nowe możliwości przed użytkownikami smartfonów, tabletów i innych urządzeń mobilnych.

T Phone 5G i T Phone Pro 5G, czyli łączność 5G dla każdego

W 2022 roku do polskich salonów T-Mobile trafiła pierwsza generacja dwóch bardzo ciekawych urządzeń – T Phone 5G i T Phone Pro 5G, a teraz doczekaliśmy się

ich odświeżonej wersji, która trafi na rynek już 24 sierpnia. Oba smartfony stworzone zostały bezpośrednio pod marką operatora, co zapewnia lepszy stosunek jakości do ceny niż w przypadku urządzeń z porównywalną specyfikacją od innych producentów.

Najnowszy T Phone 5G został wzbogacony m.in. o opcję NFC umożliwiającą płatności zbliżeniowe telefonem czy jeszcze lepszy przedni aparat 8 MP. Z kolei model T Phone Pro 5G zyskał aż 256 GB pamięci wewnętrznej, co w połączeniu z obsługą kart SD o pojemności do 2 TB pozwala na przechowywanie tysięcy zdjęć czy setek nagrań wideo. Dodatkowo można liczyć na pojemną baterię (model standardowy – 4 500 mAh, Pro – 5 000 mAh), trzy aparaty, obsługę kart microSD do 2 TB i potrójny lub poczwórny (w modelu Pro) aparat główny. Smartfony T-Mobile powstały w ramach projektu Google One, który zapewnia optymalne dostosowanie systemu Android, co owocuje świetną wydajnością w bardzo korzystnej cenie. Wszystko to za kwotę nieznacznie wyższą niż tysiąc złotych – dzięki takiej wyce-

nie technologia 5G z T-Mobile jest dostępna dla każdego.

Nowość w ofercie T-Mobile: T Tablet z 5G i e-SIM za niewiele ponad 1000 zł

Dla użytkowników, którzy szukają większego sprzętu mobilnego do pracy, rozrywki czy gier, T-Mobile przygotował T Tablet z ekranem 10,36". Znajdziemy tutaj pojemną baterię 7 040 mAh, 6 GB RAM-u i 128 GB na dane, jak również wsparcie dla kart microSD do 2 TB. Warto zaznaczyć, że tablet obsługuje karty e-SIM, dzięki czemu korzystanie z usług operatora jest jeszcze wygodniejsze. Podobnie jak

w przypadku smartfonów T-Mobile, solidna specyfikacja łączy się z wyjątkowo atrakcyjną ceną. Za tablet zapłacimy jedynie 1089 zł – ponadto można skorzystać ze specjalnej oferty łączonej z nie-limitowanym internetem za tylko 50 zł miesięcznie. Dzięki temu jest to jeden z najtańszych tabletów z 5G na polskim rynku.

Jeszcze większe możliwości z zestawami od T-Mobile

Najbardziej opłacalną opcją zakupu nowych smartfonów T-Mobile jest abonament, do którego można dodać także zestaw akcesoriów. Komplet

obejmuje ładowarkę, etui, folię ochronną i słuchawki bezprzewodowe T-TWS, czyli wszystko, co potrzebne do wygodnego korzystania z urządzenia. Koszt T Phone 5G w zestawie to 1149 zł, a T Phone Pro 5G – 1349 zł. Tak atrakcyjne kwoty sprawiają, że każdy użytkownik sieci może cieszyć się świetną wydajnością i bezproblemowym dostępem do łączności piątej generacji. Więcej informacji na temat urządzeń i promocji można znaleźć na stronie T-Mobile.

Urządzenia będą dostępne w sprzedaży online i salonach T-Mobile od 24 sierpnia.



I want to ride it where I like*, czyli Krystian z wizytą na Wyspach

Wojciech Lesner
Słupsk

Promienie słońca leniwie padają na omszały Mur Hadriana, z oddali dobiega ujadanie pasterskiego psa. Pan Krystian ze Słupska utrzymuje szybkie tempo, na plecach czuje ciepły letni wietrzyk. Warunki atmosferyczne stwarzają pozory przyjemnej trasy.

W rzeczywistości Wyspy Brytyjskie to dla rowerzysty nieprzyjazny grunt. O tym za chwilę.

Licznik pokazuje zawrotne 70 km/h, pan Krystian zdecydowanym chwytem przytrzymuje kierownicę. Skomplikowana i niebezpieczna droga w dół.

Mija zakręt za zakrętem, ale końca zjazdu nie widać. Zerka przez ramię - bandyci zniknęli z zasięgu wzroku. Jego oczom ukazuje się natomiast stromizna, której w tak szybkim tempie już nie pokona. Pozostaje mu tylko zakląć w myślach na uroki Gór Atlas i ruszyć co sił, by jak najszybciej zdobyć wzniesienie. Oddechu w płucach zaczyna brakować, a gdzieś z boku mignął oślepiający promień. To światło połyskującego w słońcu noża. Doganiają go.

Jadąc pod górę, byłem pewien, że mnie dogonią. Na szczęście jechała policja - trzeba przyznać, że na tych terenach było jej dużo. Zatrzymałem się przy nich, pytając o drogę do Marakeszu, choć doskonale wiedziałem, którą ręką jechać. Wskazałem ręką na nadjeżdżających bandytów. Zobaczyli mój gest i odpuścili pogoń - relacjonuje pan Krystian.

To tylko jedna z przygód pana Krystiana, który zwiedził dziesiątki krajów, wybrzeży mórz, pasm górskich i wielkich miast. Objechał całą Europę, był w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Kolarstwo to jego pasja od kąd... kupił synowi na komunię rower - chcąc towarzyszyć mu w wycieczkach i sobie sprawić jednoślad. Tak wszystko się zaczęło.

Lot za Kanał

Jedną z ostatnich wycieczek postanowił spędzić - wydawałoby się - na spokojnie. To był ten fragment mapy,

który wskazywał te tereny, których nie przejechał jeszcze wzdłuż i wszerz.

- W tym roku postanowiłem wybrać się samolotem na Wyspy Brytyjskie. Chciałem zaliczyć wszystkie kraje Europy - do osiągnięcia celu brakowało mi tylko Wielkiej Brytanii i Irlandii. Zjeździłem południową Szkocję, jechałem wzdłuż muru Hadriana, zahaczyłem o Manchester i Liverpool, by wsiąść na prom do Irlandii i objechać Zieloną Wyspę. Zachwycały mnie tamtejsze góry, stare zamki i inne historyczne budowle.

Rowerzystom wstęp wzbroniony

Wydawałoby się, że jedyne przeszkodami, które można napotkać na wycieczce rowerowej w kraju synów Albionu, to angielska pogoda, niezbyt smaczne jedzenie czy podwójne krany w toaletach. Okazuje się jednak, że do brytyjskich warunków przywyknąć nie jest łatwo - i nie chodzi tu o szybkie przestawienie się na ciężkostrawne śniadania z fasołką na czele listy jadłospisu.

- Na Wyspach nie obawiałem się zagrożeń. Nie ma tam niebezpiecznych zwierząt - np. niedźwiedzi czy wilków. Tam to tylko same owce, barany i krowy - mówi pan Krystian.

- Największe wyzwanie stanowiło przyzwyczajenie się do lewostronnego ruchu samochodów oraz zmiana jednostek długości z kilometrów na mile i stopy. W pierwszych dniach zaraz po śniadaniu zdarzało mi się wyjechać rowerem pod prąd!

Czasami trzeba było zawracać, bo niezaplanowane zmodyfikowanie trasy w czasie jazdy graniczy w Wielkiej Brytanii z cudem. Wszystko przez okalające, nawet najmniej ruchliwe drogi, ogrodzenia - murki, płoty, żywo płoty.

- Nigdzie nie dało się wjechać. Tylko w miastach można było zjechać z drogi. Miałem wrażenie, że cała Wielka Brytania jest zamknięta. Nie ma czegoś takiego jak u nas, kiedy można urozmaicić sobie wycieczkę i wjechać do lasu boczną ścieżką. Tam trzeba było trzymać się wyznaczonej drogi. A i to czasem było niemożliwe! - opowiada pan Krystian. Dlaczego? Bo na trasie, szcze-



Być w Szkocji i nie zrobić sobie zdjęcia z bagpiperem? Edynburski dudziarz być musi

gólnie na obszarach wiejskich, zdarzało się, że na środku ulicy wyrastała nagle drewniana brama.

I choć po jej drugiej stronie jak gdyby nigdy nic dalej ciągnął się asfalt, nieznaną brytyjskiej kultury drogowej zmuszała niejednokrotnie pana Krystiana do zawrócenia i poszukania trasy alternatywnej - najczęściej takiej zupełnie na oko.

- Musiałem zawracać, bo nie było przejazdu. Nawigacja skierowała mnie inną trasą -

znowu brama. Tym razem jednak z naprzeciwka nadjeżdżał samochód i kierowca otworzył tę bramę. Wy tłumaczył, że istnieją po to, by nie uciekały owce i mogły je samodzielnie otwierać - dziwi się rowerzysta.

Gość w dom, Polak w namiot

Pan Krystian, jeżdżąc po świecie, w zwyczaju ma nocować w namiocie. Nawet będąc w Afryce, gdzie łatwo było napotkać opuszczone,

gliniane domy, nigdy nie wchodził do środka. Rozbijał się za jedną ze ścian, która chroniła go od wiatru. W Wielkiej Brytanii rzecz jasna było już mniej dziko - na tyle mniej, że najczęściej nie można było nawet wjechać do lasu, by tam w spokoju spędzić noc.

- Na Wyspach zawsze musiałem spędzać noc na czyichś posesjach - przed zmierzchem pytałem się ludzi, czy mogę przenoćować na ich podwórku. Zazwyczaj nie było

z tym problemu - opowiada pan Krystian.

Bo jak się okazało, Brytyjczycy to gościnny naród. A poczuć się jak w domu pan Krystian mógł w Irlandii - tam każdy przyjmował go do siebie z otwartymi ramionami.

- Poznałem pewnego Irlandczyka. Podjechałem pod jego dom i spytałem, czy mogę zanoćować. Zaprosił mnie do środka. Mogłem się wykapać i ogolić, zjeść kolację. Jego żona przygotowała wiele smakołyków. Jak się szybko okazało - facet sam był rowerzystą. Mówił, że był we Francji, Hiszpanii i Portugalii. Jak rowerzyści się spotkają - od razu jest inna rozmowa! - wspomina pan Krystian.

Jest jeszcze jeden element. Na pierwszy rzut nie pamięta się o nim, bo nie wydaje się oczywisty, a jednak jest dość istotny.

Jazdę po Wyspach ułatwia też fakt, że na każdym kroku spotyka się tam Polaków. Zakupy można było zrobić bez piśnięcia słówka po angielsku, choć pan Krystian z załatwianiem spraw w tym języku nie miał większych problemów.

- Na tyle, na ile trzeba - dogadywałem się po angielsku. Nie było z tym problemu, choć biegle tym językiem się nie posługuję. Kiedyś pracowałem w słupskiej Scanii - każdy, jeżeli zarządzał jakimś zespołem, musiał umieć porozumiewać się po angielsku - zdradza mężczyzna.

(nie)angielska pogoda

Pana Krzysztofa podczas brytyjskich peregrynacji zaskoczyło jeszcze jedno. Nie sprawdził się pewien stereotyp i to taki, który obowiązuje na całym świecie. Pogoda. Świetne warunki pogodowe sprzyjały podziwianiu krajobrazów. I choć gęsta mgła nie spowijała murów angielskich zamków, co z pewnością dodałoby wycieczce niepowtarzalnego klimatu, to przynajmniej można było je podziwiać z daleka. Największe wrażenie na przybyszu ze Słupska wywarły jednak dzieła natury. Każdy, kto kiedykolwiek postawił stopę na Wyspach, wie dlaczego. Ale niech opowie o tym sam bohater.

- Z Dublina kierowałem się na Westport, stamtąd na Klify Moheru - są niesamowite, mają czternaście kilometrów

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*cytat z utworu Queen „Bicycle race” - „Chcę jeździć tam, gdzie mi się podoba” (i spać też)

Irlandia. Cliffs of Moher. Niesamowite ciągnące się przez 14 kilometrów klify i rower

długości i są wysokie na ponad dwieście metrów. Było tam mnóstwo turystów, w tym Amerykanów, którzy przejeżdżają odwiedzić ziemię swoich przodków. Stamtąd pojechałem wzdłuż Oceanu Atlantyckiego, odwiedziłem Killarney National Park oraz jedno z większych miast - Cork - opowiada pan Krystian.

Na dłuższy odpoczynek nie było czasu. Do bazy pan Krystian zjeżdżał późnym wieczorem, a skoro świt wyruszał w dalszą trasę. W trakcie dnia pozwalał sobie na drobne przerwy - trzeba było przecież coś zjeść.

- Miałem ze sobą palnik, do którego już na miejscu do kupowałem butlę - nie można jej było zabrać ze sobą

na pokład samolotu. Wszystko sobie na niej podgrzewałem. Jadłem dania z puszek, na przykład fasolkę po bretońsku. Najczęściej częstowali mnie jednak ludzie. Prawda jest taka, że gościli mnie chętnie, bo jechałem sam. Gdy jedzie większa grupa rowerzystów, to dużo osób nie rwie się do pomocy - ubolewa.

Choć jednocześnie zaznacza, że woli pedałowac sam - głównie przez to, że towarzysze najczęściej nie dotrzymują mu tempa i nie dzielają jego zapału do wstawania skoro świt i stawiania sobie wysokich kilometrowych celów.

- Wolę podróżować sam, ale zapraszałem na wycieczkę innych znajomych rowerzystów. Nikt jednak nie był

chętny. Może też ze względu na moje żelazne zasady - pobudka najpóźniej o szóstej rano, o siódmej wyjazd. Ustalam cel - jeśli nie dojechałem do wyznaczonej przez siebie miejscowości w odpowiednim czasie, to na drugi dzień nadrabiam i wstaję jeszcze wcześniej - opowiada rowerzysta, który już snuje plany na kolejną wyprawę.

Krystian Nowak ze Słupska zwiedził rowerem już 43 kraje. Podróż po Wyspach Brytyjskich rozpoczął 25 maja, do Polski wrócił 7 czerwca. Przejechał tam 1625 km. Zapalony kolarz od 38 lat. Co roku przejeżdża od 10 do 15 tysięcy kilometrów - nieważne, czy świeci słońce, wieje wiatr, czy pada śnieg.

REKLAMA

0010862557

URZĄD TRANSPORTU KOLEJOWEGO ZAPRASZA NA Piknik rodzinny

BEZPIECZEŃSTWA UCZĘ SIĘ Z KOLEJOWYM ABC!

Sobota, 19 sierpnia, godz. 15.00

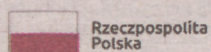
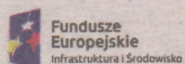
DARŁOWO
Rynek

- konkursy z nagrodami
- dmuchańce
- eurobungee
- pokaz fire show

wstęp i atrakcje
bezpłatne

gwiazda wieczoru: **Natasza Urbańska**
goście specjalni: **Cezik,**
Artur Siódmiak

KOLEJOWE
ABC



www.kolejoweabc.pl

Wielki trip czerwonego malucha



Nordkapp, czyli Przylądek Północny. Aby tam dojechać, trzeba było nieco zboczyć z trasy wokół Bałtyku

Joanna Boroń
Koszalin

Andrzeja Liśniewskiego poznaliśmy, gdy postanowił fiatem 126p, starszym od niego o 10 lat, objechać Bałtyk. Jak postanowił, tak zrobił.

To nie była jego pierwsza motoryzacyjna przygoda ani ostatnia, bo Andrzejowi pomysłów nie brakuje.

Andrzej opowiada, że auta, w tym też klasyki motoryzacji, od zawsze miał w krwi. Wspomina, że już od małego jeździł z ojcem na zloty i rajdy starych samochodów: - To on mnie zarazil tą pasją - mówi. Z pasji postanowił uczynić swój zawód - ukończył koszalińską samochodówkę.

Dwa lata temu kupił malucha. Rocznik 1991 (sam urodził się w 2001 roku). To - jak opowiada - była spontaniczna decyzja: - Maluch miał być tylko samochodem na handel, ponieważ kupiłem go w bardzo korzystnej cenie. Sam wtedy jeździłem wartburgiem 1.3 i miałem poloneza, więc maluch nie był mi potrzebny - wspomina.

Długo broniłem się, żeby kupić 126p dla siebie, pomimo że znajomi mnie namawiali, ponieważ na zlotach jest to bardzo popularny model. Ostatecznie bardzo mi się spodobał i został już u mnie.

Auto kupił od wnuka pierwszego i jedyne go właściciela. Zapłacił 1,5 tys. złotych. Samochód nigdy nie opuszczał Pol-

ski. Był - jak na swoje lata - w idealnym stanie.

Z samochodem przyszedł pomysł na przygodę. Pierwsza była wyprawa granicami Polski - 3800 kilometrów. Bawił się świetnie, na trasie przeżył kilka przygód. Wrócił do Koszalina z myślą, że czas na większe wyzwanie. I wymyślił - postanowił objechać Bałtyk. Trasa, którą sobie wyznaczył, liczy ponad 7 tysięcy kilometrów i biegnie wokół Morza Bałtyckiego i Zatoki Botnickiej przez Niemcy, Danię, Szwecję, Finlandię, Estonię, Łotwę i Litwę aż do północnego krańca kontynentu w Nordkapp.

Od razu zakładał, że dystans nie będzie największym problemem. - Maluch się psuje. To normalne. W Polsce znalezienie części to nie problem. Za granicami, cóż... u nich maluchów nie ma i nie było - śmieje się.

Dlatego szykując się do wyprawy, gromadził części - w tym „nową” skrzynię biegów. Postanowił też nieco zmodyfikować wnętrze malucha, by samochód mógł mu służyć za tymczasowy dom, bo wyprawa, którą zaplanował, miała być w miarę niskobudżetowa.

Po 15 dniach i pokonaniu 7600 kilometrów dotarł do Koszalina. Maluch dał radę, ale... - Było sporo remontów po drodze, nie spodziewałem się aż tylu trudności technicznych i w sumie ledwo dojechałem - przyznaje. - Auto naprawiałem na bieżąco, ale w jednym przypadku musiałem zamawiać części z serwisu aukcyjnego. Jadąc od Estonii, gaz miałem wci-

śnięty do podłogi, ale nie mogłem przekroczyć 100 kilometrów na godzinę, coś się stało z silnikiem.

W trakcie podróży trzeba było między innymi zlikwidować wyciek oleju ze skrzyni biegów, naprawić gaźnik, alternator, poradzić sobie z brakiem mocy i wymienić pęknięty resor.

Problemy techniczne to nie jedyne wspomnienia z tej podróży. Opowiada, że na trasie spotykał się z wieloma sympatycznymi gestami, zwłaszcza ze strony Polaków. - Z tej wyprawy na pewno wyciągnę wnioski na przyszłość, bo mam już plany na kolejne wyjazdy - komentuje.

Jeden z pomysłów, jakie chodzą mu po głowie, to Afryka. - Do Afryki na pewno nie pojedę sam, to trochę zbyt duże wyzwanie. Mam nadzieję namówić swoich znajomych, żeby jechali ze mną - opowiada.

Wstępny plan to dojechanie do Portugalii. - Tam odwiedziłbym najbardziej wysunięty na zachód punkt Europy, następnie przyprawiłbym się do Maroka z Hiszpanii. Odwiedziłby Saharę Zachodnią. Następnie Algierię, Tunezję i z Tunezji promem do Włoch. Z Włoch już do domu.

- Jeżeli nikt się nie odważy, prawdopodobnie popłynę z maluchem na Islandię, gdzie sam już nie będę się bał jeździć. Wszystko okaże się pod koniec tego roku, jak przysiędę i zacznę na poważnie planować co dalej - zdradza.

Liczy jednak, że po sukcesie ostatniej wyprawy - też medial-

nym, bo wiele osób śledziło jego przygody w mediach społecznościowych i tych tradycyjnych - uda mu się namówić innych pasjonatów. Okazję będzie miał już niedługo. Co roku odwiedza ogólnopolski zlot fiatów 126p, w tym roku w Sochaczewie pod Warszawą. - Jeżdżę tam ze względu na znajomych, zbieramy się w 4 czy 5 maluchów i jedziemy tam biwakować pod namiotami - opowiada. - To świetna zabawa i okazja, by poznać innych pozytywnie zakręconych. Liczę, że wśród nich znajdzie się ktoś, kto postanowi dołączyć do nowej przygody.

Co by powiedział komuś, kto myśli o kupnie malucha? - Powiedziałbym, żeby się nie wahał. To naprawdę wspaniała pasja jeździć starym samochodem. Aczkolwiek trzeba mieć duże pokłady cierpliwości, gdy coś pójdzie nie po myśli. Należy również pamiętać, że zwykłe stare samochody to są skarbonki na kołach, jeżeli chcemy utrzymać je w bezpiecznym stanie technicznym. Przed kupnem klasyka warto dowiedzieć się, jak wygląda dostępność części do danego modelu, bo prawie na pewno będziemy ich w przyszłości potrzebować - śmieje się. - I najważniejsze. Remonty nigdy nie zamykają się w założonym budżecie i czasie. Naprawdę lepiej jest kupić już „zrobiony” samochód, niż kupować coś do renowacji, pomimo że ceny gotowych samochodów potrafią być kosmiczne. No chyba że ktoś po prostu lubi się bawić w garażu, to śmiało. ©



Duński garaż, mówi pan Andrzej, pasowałby maluchowi



Maluch na Łotwie spotkał kuzynostwo: żuka i nysę



W trasie nie obyło się bez koniecznych napraw

FIAT 126P - MAŁY FIAT, MALUCH, MALUSZEK...

Maluch produkowany był w latach 1972-2000 na licencji włoskiego Fiata przez polską Fabrykę Samochodów Małolitrażowych (we Włoszech do 1980, w Polsce w okresie od 6 czerwca 1973 do 22 września 2000). Wyprodukowano 4 671 586 egzemplarzy fiata 126, z czego 3 318 674 w Polsce (1 152 325 w Bielsku-Białej, 2 166 349 w Ty-chach), a we Włoszech 1 352 912. Uznawany jest za samochód, który zmotoryzował polskie społeczeństwo. Jego atutami były niska cena zakupu (był najtańszym samochodem dostępnym na polskim rynku) i prosta konstrukcja, umożliwiająca samodzielne naprawy.